



*Krycijata*

ZARODKI CIEMNOTY

PHILIPPA  
GREGORY

*Litoracki*  
EGMONT

**Philippa Gregory**

# **Krucjata**

**Zakon Ciemności**

*Stormbringers*

*Przełożyła Maciejka Mazan*

Z Europy do Ziemi Świętej wyrusza dziecięca krucjata prowadzona przez charyzmatycznego przywódcę. Luca Vero, członek tajnej organizacji o nazwie Zakon Ciemności, której zadaniem jest szukanie znaków zwiastujących nadejście końca świata, musi sprawdzić, czy wyprawa ma szanse powodzenia. W dochodzeniu pomagają mu przyjaciel Freize oraz dwie odważne dziewczyny – Izolda i Iszraq.



## DROGA Z RZYMU DO PESCARY

WŁOCHY, LISTOPAD 1453

Piątka jeźdźców podróżujących wyboistym traktem do Pescary przyciągała spojrzenia wszystkich – kobiety, która podała im słabe piwo w przydrożnej karczynie, wieśniaka budującego przy drodze mur z ciosanego kamienia, chłopca wracającego ze szkoły do pracy w winnicy ojca. Każdy uśmiechał się do promieniejącej dziewczyny i młodzieńca na czele tej małej kawalkady, bo byli piękni, młodzi i – co rzuciło się w oczy – zakochani.

– I jak sądzisz, jak to wszystko się skończy? – zwrócił się Freize do Iszrak, wskazując głową Lucę i Izoldę na prostym gościńcu, biegnącym na wschód ku wybrzeżom Adriatyku.

Był złocisty jesienny dzień i choć zryta głębokimi koleinami droga o tej porze roku była zazwyczaj nieprzejezdna, teraz silne konie pokonywały ją bez

trudu, zmierzając żwawo ku wybrzeżu.

Freize, starszy zaledwie o parę lat od swojego pana młodzieniec o kwadratowej twarzy, z której nie schodził uśmiech, nie czekał na odpowiedź Iszrak.

– Zakochał się w niej po uszy – ciągnął – a gdyby dotąd żył wśród ludzi i spotkał już jakąś dziewczynę, wiedziałby, że musi się strzec. Ale Luca trafił do klasztoru jako chudy niedorostek, dlatego uważa twoją panią za anioła prosto z niebios. Jest jasnowłosa i piękna jak na freskach w klasztorze. To się skończy łzami. Ona mu złamie serce.

Iszrak nie spieszyła się z odpowiedzią. Nie odwracała spojrzenia ciemnych oczu od jadącej przed nimi pary.

– Dlaczego zakładasz, że właśnie on zostanie zraniony? A jeśli to on złamie jej serce? – spytała w końcu. – Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Izolda zachowywała się tak przy jakimś chłopcu. On też będzie jej pierwszą miłością. Była wychowywana na

dame, lecz do zamku zakazano wstępu rycerzom, żaden trubadur nie zjawiał się tam z pieśniami miłosnymi. Niech ci się nie wydaje, że jej życie wyglądało jak w romansie, gdzie damy rzucają kawalerom róże przez zakratowane okna; Izolda została wychowana bardzo surowo. Ojciec uczył ją zarządzania zamkiem i spodziewał się, że będzie panowała na jego ziemiach. Brat ukradł jej wszystko i wysłał ją do klasztoru. Te chwile podróży to jej pierwsze spotkanie z prawdziwym światem... i moje także. Nic dziwnego, że tak się cieszy. Poza tym to wspaniałe, że właśnie Luca jest pierwszym mężczyzną, którego spotkała. Ma mniej więcej tyle lat co ona, jest wyjątkowo przystojny, dobry, uroczy i nie może oderwać od niej wzroku. Jaka dziewczyna nie zakochałaby się w nim od pierwszego wejrzenia?

– Jest tu inny przystojny młodzieniec, którego widuje codziennie – zauważył Freize. – Praktyczny, dobry, silny, chętny, uczynny, z dobrym podejściem

do zwierząt... i przystojny. Wiele osób by go tak nazwało. Niektóre pewnie powiedziałyby nawet: zabójczo przystojny.

Iszrak spojrzała prosto w jego niebieskie szczere oczy i udając, że nie rozumie, spytała:

– Mówisz o bracie Piotrze? – Zerknęła na jadącego za nimi na ośle starszego skrybę. – O nie, on jest dla niej o wiele za poważny. Poza tym raczej jej nie lubi. Uważa, że obie odciągamy was od waszej misji.

– Bo tak jest! – Freize przestał drażnić się z dziewczyną i wrócił do swojej głównej troski. – Sam papież zlecił Luce zbadanie ostatnich dni świata. To jego misja. Jeśli jutro lub pojutrze nastąpi Sąd Ostateczny, jak najwyraźniej im wszystkim się wydaje, Luca nie powinien spędzać ostatnich chwil na ziemi na chichotach z byłą zakonnicą.

– Moim zdaniem nie ma nic lepszego – odparła stanowczo Iszrak. – To przystojny młodzieniec, który

dopiero poznaje świat, a Izolda jest piękną dziewczyną, która niedawno uciekła spod władania brata i rozkazów mężczyzn. Czy istnieje lepszy sposób na przeżycie ostatnich dni świata niż zakochanie się?

– Myślisz tak tylko dlatego, że nie jesteś chrześcijanką – odparował Freize z godnością, wskazując szarawary dziewczyny wystające spod jej obszernej peleryny i bose stopy w sandałach. – A jako poganka nie pojmujesz, jak wielkie mamy znaczenie. Luca musi powiadamiać papieża o wszystkich oznakach zbliżającego się końca świata, wszystkich objawach zła. Jest młody, ale należy do najważniejszego zakonu: tajnego, ustanowionego przez papieża.

Iszrak skinęła głową.

– W rzeczy samej, bardzo często nie pojmuję, że mężczyźni są tak bardzo ważni. Słusznie mnie zganieś.

Usłyszał śmiech w jej głosie i mimo woli poczuł podziw dla tak zdecydowanej niezależności.

– Jesteśmy ważni – powiedział z naciskiem. – Panujemy nad światem, więc powinnaś okazywać mi więcej szacunku.

– Nie jesteś czasem zwykłym służącym? – spytała kpiąco.

– A ty jesteś... kim? Arabską niewolnicą? Uczoną? Heretyczką? Służącą? Żadne z tych słów nie pasuje do ciebie w pełni. Jesteś niczym stworzenie zwane jednorożcem, podobno bardzo dziwne i cudowne, lecz rzadko spotykane i pewnie do niczego nieprzydatne.

– Ach, nie wiem – odparła niestropiona. – Moja piękna ciemnoskóra matka z obcego kraju wychowała mnie tak, bym zawsze wiedziała, kim jestem, nawet jeśli inni tego nie wiedzą.

– Prawdziwy jednorożec.

Uśmiechnęła się.



- Być może.
- Z całą pewnością zachowujesz się, jakbyś dobrze wiedziała, czego chcesz. To takie niekobiece.
- Oczywiście, że zastanawiam się, co z nami będzie – przyznała bardziej poważnie. – Musimy znaleźć syna ojca chrzestnego Izoldy, hrabiego Władysława, a potem przekonać go, żeby zmusił jej brata do oddania zamku i ziem. A jeśli nie zechce nam pomóc? Co wtedy? Jak Izolda wróci do domu? Doprawdy, to, czy jest zakochana w Luce, powinno być ostatnim z naszych zmartwień.

Jadąca przed nimi Izolda odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się głośno z czegoś, co szepnął do niej Luca.

– O tak, nawet widać, jak się zamartwia – mruknął Freize.

– Jesteśmy szczęśliwi, *Inszallah* – powiedziała Iszrak. – Izolda od wielu miesięcy, właściwie od śmierci ojca, nie miała tak lekkiego serca. A jeśli, jak

uważa wasz papież, świat rzeczywiście się skończy, to równie dobrze możemy się dziś cieszyć i nie martwić o przyszłość.

Piąty uczestnik wyprawy, brat Piotr, zrównał się z nimi.

– O zachodzie słońca dotrzemy do nadmorskiego miasteczka Piccolo – oznajmił. – Brat Luca nie powinien jechać z tą kobietą. Wyglądają... – Urwał, szukając właściwego słowa.

– Normalnie? – podsunęła bezczelnie Iszrak.

– Na szczęśliwych – uzupełnił Freize.

– Niestosownie – wycedził brat Piotr. – W najlepszym razie nieformalnie. Tak jakby brat Luca nie był młodzieńcem obiecany Kościołowi. Twoja pani – zwrócił się do Iszrak – powinna jechać obok ciebie. Obie powinnyście mieć spuszczone głowy i oczy, jak panny o czystych myślach. I rozmawiać tylko ze sobą, a i to rzadko i bardzo cicho. Brat Luca powinien jechać sam, pogrążony w modlitwie bądź

też prowadząc ze mną rozmowę na doniosłe tematy. Poza tym to ja mam nasze rozkazy.

Freize palnął się w czoło.

– Zapieczętowane rozkazy! – rzucił gniewnie. – Kiedy tylko jedziemy sobie spokojnie, mając przed sobą przyjemną oberżę i perspektywę kilku dni, które możemy spędzić wyłącznie na karmieniu koni i wypoczywaniu, nagle pojawiają się zapieczętowane rozkazy i wyruszamy, Bóg wie dokąd!

– Wyślano nas z misją – powiedział cicho brat Piotr. – To naturalne, że wieziemy zapieczętowane rozkazy, które mam otwierać i odczytywać w określonym czasie. To naturalne, że zlecono nam dochodzenie. Sensem tej podróży nie jest, bez względu na to, co myślą niektórzy, poznawanie kolejnych przyjemnych gospód i kobiet; podróżujemy po to, by odkryć, jakie znaki zapowiadają nadejście końca naszych dni, końca tego świata. A ja muszę otworzyć te rozkazy dziś o zachodzie słońca.

Wówczas przekonamy się, dokąd mamy pojechać i co zbadać.

Freize włożył do ust dwa palce i gwizdnął przeszywająco. Dwa konie z przodu, posłuszne sygnałowi, natychmiast stanęły. Luca i Izolda zawrócili je i podjechali do pozostałych, którzy zatrzymali się w cieniu gęstych pinii. Zapach żywicy unosił się w ciepłym wieczornym powietrzu, mocny jak perfumy. Suche szyszki chrupały pod końskimi kopytami. Na jasnym piasku czerniały ich wydłużone cienie.

– Nowe rozkazy – powiedział Freize do Luki, wskazując głową brata Piotra, który wyjął z wewnętrznej kieszeni kubraka kremowy zwój, opatrzony ciężkimi czerwonymi pieczęciami i wstążkami. – Dużo ich tam jeszcze chowasz? – spytał z ciekawością.

Starszy mężczyzna nie raczył odpowiedzieć. Złamał pieczęcie i rozwinął sztywny papier na oczach

obserwującej go w milczeniu grupki. Przebiegł tekst wzrokiem i westchnął cicho, z rozczarowaniem.

– Tylko żeby to nie był Rzym! – wypalił Freize, nie wytrzymując napięcia. – Powiedz mi, że nie musimy wracać do dawnego życia! – W oczach Iszrak błysnęło rozbawienie, więc chłopak dodał szybko: – Ta misja to trudne zadanie, ale nie chcę jej zostawić niezakończoną. Jestem człowiekiem odpowiedzialnym.

– Zrobiłbyś wszystko, byle tylko nie wracać do klasztoru, gdzie znowu byłbyś posługaczem w kuchni – odgadła bezbłędnie dziewczyna. – Tak jak ja wolę być tutaj, niż wracać do życia damy dworu w zamku na pustkowiu. Przynajmniej jesteśmy wolni i codziennie budzimy się, wiedząc, że wszystko może się zdarzyć.

– Przypominam, że nie podróżujemy dla waszej przyjemności – powiedział surowo brat Piotr. – Mamy się udać do Piccolo, przepłynąć statkiem do

Splitu i ruszyć do Zagrzebia. Tam mamy ruszyć trasą pielgrzymek do kaplic świętego Jerzego i świętego Marcina w kościele Marii Panny na przedmieściach Zagrzebia.

– Zagrzeb! – wyrwało się Izoldzie.

Gest Luki, który wyciągnął do niej rękę – a potem szybko ją cofnął, przypomniawszy sobie, że nie wolno mu jej dotykać – zdradził i jego.

– Jedziemy w tę samą stronę – powiedział. Wszyscy słyszeli radość w jego głosie. – Możemy zostać razem.

Brat Piotr, zaczytany w nowych rozkazach, nie zwrócił uwagi na błysk ulgi w oczach dziewczyny.

– Po drodze mamy sprawdzić, czy cokolwiek odbiega od normy – odczytał. – Mamy też zatrzymać się i rozpocząć dochodzenie, jeśli napotkamy cokolwiek, co wskazuje na działanie Szatana, wzrost nieznanymi lęków, dowód na ludzką nikczemność lub koniec świata. – Zamilkł i zwinął

list. Spojrzał na czwórkę młodych. – A zatem, skoro Zagrzeb znajduje się na drodze do Budapesztu, a damy utrzymują, że muszą się tam udać, by odnaleźć hrabiego Władysława, widać sam Bóg zdecydował, że będziemy jechać w tym samym kierunku.

Gdy brat Piotr podniósł wzrok, Izolda zdążyła się już opanować. Spuściła oczy, starannie unikając patrzenia na Lucę.

– Oczywiście będziemy wdzięczne za wasze towarzystwo – odezwała się skromnie. – Lecz jest to słynny trakt pielgrzymkowy. Po drodze spotkamy innych podróżnych. Możemy się do nich przyłączyć. Nie chcemy być dla was ciężarem.

Rozpromienione oczy Luki świadczyły, że nie uważał jej za ciężar, ale brat Piotr zdążył się odezwać pierwszy.

– Z pewnością doradzałbym, byście jak najszybciej dołączyły do grupy, w której podróżują inne damy. Nie możemy być dla was przewodnikami

ani opiekunami. Musimy wykonać ważną misję, a wy jesteście młodymi kobietami i choć staracie się zachowywać powściągliwie, mimo woli rozpraszaacie nas i zwodzicie.

– W Vittorio uratowały nam zadki – zauważył spokojnie Freize. Wskazał głową Iszrak. – Ona potrafi walczyć i strzelać z łuku. Zna się też na leczeniu. Trudno znaleźć kogoś bardziej przydatnego w podróży. Trudno znaleźć lepszego towarzysza niebezpiecznej wyprawy.

– Wyraźnie nas rozpraszają – podkreślił surowo Piotr.

– Jak mówią, zostawią nas, gdy napotkają odpowiednią kompanię – podsumował Luca.

Wszyscy widzieli, jak go cieszy, że będzie z Izoldą jeszcze parę dni, nawet gdyby miało ich nie być więcej – a przede wszystkim widziała to sama Izolda. Jej ciemnoniebieskie i jego orzechowe oczy wymieniły przeciągłe spojrzenie.



– Nawet nie pytasz, co mamy zrobić w świętym miejscu? – odezwał się brat Piotr karcąco. – W kaplicach? Nie chcesz znać raportów o herezji, w której sprawie mamy przeprowadzić dochodzenie?

– Tak, oczywiście – rzucił szybko Luca. – Koniecznie mi opowiedz, co tam ujrzemy. Muszę się przygotować. Przeprowadzę pełne śledztwo, a ty spiszesz raport i wyślesz go do zwierzchników naszego zakonu, do papieża. Wykonamy zadanie, które zlecił nam nasz mistrz, papież i sam Bóg.

– A najlepsze ze wszystkiego jest to, że w Piccolo zjemy dobrą kolację – zauważył radośnie Freize, spoglądając na zachodzące słońce. – Jutro rano przyjdzie czas, by się martwić o wynajęcie łodzi, którą popłyniemy do Chorwacji.

## PICCOLO, WŁOCHY,

LISTOPAD 1453

Małe miasteczko otaczały od strony lądu wysokie mury z bramą, zamykaną o zachodzie słońca. Freize zawołał strażnika, który otworzył okiennice, wyjrzał na zewnątrz i zaczął wykrzykiwać, że podróżni powinni okazać poszanowanie dla zasad i że nie mogą wejść do miasta po wieczornych dzwonach, gdy zamyka się bramy na noc.

– Słońce dopiero zaszło! – zaprotestował Freize.

– Niebo jeszcze jasne!

– Zaszło i już – odparł odźwierny. – Skąd mam wiedzieć, kim jesteście?

– Bo skoro nie zapadła ciemna noc, możesz nas sobie obejrzyć – odparował Freize. – Lepiej więc nas wpuść, bo pożałujesz. Mój pan jest inkwizytorem samego Ojca Świętego.

Odźwierny zatrzasnął okiennicę, mamrocząc pod

nosem, i zszedł, by otworzyć bramę. Podróżni, czekający na niego w ostatnich złotych promieniach dnia, słyszeli jego gorzkie utyskiwania. Wreszcie skrzypnęły zawiasy otwieranej bramy, a oni przejechali ze stukotem kopyt pod kamiennym łukiem.

Miasteczko składało się z paru uliczek, które biegły w dół ku przystani. Podróżni zsiadli z koni; zwierzęta z wdziękiem stąpały po wytartym bruku. Dotarli do zachodniej bramy w murze otaczającym miasto pierścieniem i przeszytym małymi zaryglowanymi furtkami od północy i południa. Idąc w stronę przystani, ujrzeni na tle ciemniejącego nieba karczmę z gościnnie otwartymi drzwiami. W jej oknach migotało światło świec.

Zaprowadzili konie na dziedziniec stajenny i weszli do karczmy. Przez półuchylone drzwi sieni dobiegł ich chlupot fal o brzeg i przejmujący zapach słonej wody, zmieszany z bagiennym smrodem sieci

rybackich.

Port Piccolo tętnił życiem, a u jego nabrzeża kołysało się kilka statków przycumowanych do pierścieni wprawionych w mur. Inne stały na kotwicy w zatoce. Pomimo zapadającego jesiennego zmroku w mieście panował gwar. Rybacy wracali do swoich domów, ostatni podróżni schodzili z łodzi przewoźników, które kursowały po ciemniejącym morzu. Chorwacja znajdowała się niespełna sto mil na wschód, a ludzie wchodzący do karczmy i chuchający w zziębnięte palce narzekali na przeciwny wiatr, który wydłużył ich podróż niemal o dwa dni i przemroził ich do szpiku kości. Wkrótce nastanie zima i tylko najbardziej nieustraszeni będą się wyprawiać w morze.

Iszrak i Izolda zajęły ostatnią wolną izbę w zajeździe – mały pokoik na poddaszu. Pod dachówkami słychać było chrobot myszy i pewnie szczurów, ale dziewczętom to nie przeszkadzało.

Położyły podróżne opończe na łóżku i umyły ręce i twarze w małej glinianej misce. Freize, Luca i brat Piotr mieli się ulokować w pokoju naprzeciwko, wraz z półtuzinem innych mężczyzn, co praktykowano, gdy na drogach był duży ruch i w karczmie nocowało wiele osób. Brat Piotr i Luca rzucili monetą o ostatnie miejsce w wielkim wspólnym łożu i Luca, który przegrał, musiał się obejść słomianym materacem na podłodze. Karczmarka przeprosiła chłopca, którego uroda i dobre maniery zwracały uwagę wszystkich. Powiedziała, że dziś w zajeździe jest duży ruch, a jutro będzie jeszcze większy, ponieważ podobno do miasta zbliża się wielka pielgrzymka.

– Nie wiem, jak ich wszystkich wykarmimy – dodała. – Będą musieli się zadowolić zupą rybną i chlebem.

– Dokąd zmierzają? – spytał Luca, ze wstydem przyznając się w duchu, że ma nadzieję, iż pielgrzymi nie kierują się do Zagrzebia.

Chciał być sam na sam z Izoldą i postanowił nie dopuścić, żeby dołączyła do innej grupy.

– Podobno do Jerozolimy.

– Co za podróż! Jakie wyzwanie! – zawołał.

Karczmarka uśmiechnęła się do niego.

– Nie dla mnie. Wystarczy mi wyzwanie, by nagotować galony zupy. Co panie zechcą na kolację?

Freize czasem podawał do stołu, przy którym zasiadał – zależnie od rozmiarów gospody i tego, czy w kuchni potrzebowano pomocników. Tym razem trafił do prywatnej jadalni, gdzie gospodyni umieściła jego przyjaciół.

Dziewczęta powitały go lekkim uśmiechem. Freize skłonił się pani Izoldzie i zauważył, że jej jasne włosy są skromnie schowane pod zwykłym stroikiem, a ciemnoniebieskie oczy odwrócone od Luki, który nie potrafił przestać na nią spoglądać. Brat Piotr, nie zwracając uwagi na nikogo, odmówił przydługą modlitwę. Izolda i Luca modlili się wraz z nim.

Iszrak słuchała ich słów w milczeniu. Nigdy nie odmawiała chrześcijańskich modlitw, ale Freize zauważył – zerkając spomiędzy palców – że dziewczyna wykorzystuje ten czas na rozmyślanie. Nie wydawało mu się, żeby modliła się do własnego boga; w skromnym bagażu nie miała modlitewnego dywanika i nigdy nie zwracała się na wschód. Pod tym względem – tak jak i pod innymi – pozostawała tajemnicza, posłuszna tylko sobie.

– Amen! – powiedział Freize głośno, bo brat Piotr wreszcie zakończył modlitwę i można było podać posiłek.

Żona karczmarza przeszła samą siebie; przyniosła pięć dań – ryby na dwa sposoby, barani gulasz, dość wysuszonego pieczonego bażanta i miejscowy przysmak *pitadine*, czyli naleśniki z nadzieniem o intensywnym smaku. Freize w porywie ciekawości spróbował ich i oznajmił, że są absolutnie doskonałe. Karczmarka uśmiechnęła się i

powiedziała, że skoro tak mu smakują, może dostawać je na śniadanie, obiad i kolację. Farsz zmieniał się zależnie od pory dnia, ale ciasto pozostawało takie samo. Na stole znalazł się też razowy chleb, jeszcze ciepły, domowe masło i pierniki.

Podróżni, wygłodzeni po długiej jeździe, jedli z apetytem. Czuli się ze sobą swobodnie, a brat Piotr tak złagodniał pod wpływem dobrego jedzenia i przyjaznej atmosfery gospody, że nalał damom wina i wzniósł z nimi toast.

Po kolacji obie młode kobiety wstały i pożegnały się ze swoimi towarzyszami. Iszrak poszła prosto do sypialni, Izolda została na schodach. Luca wstał od niechcienia i ruszył do drzwi wyjściowych gospody, przy czym przypadkiem znalazł się przy schodach, co dało mu okazję, by życzyć Izoldzie dobrej nocy. Dziewczyna stała na pierwszych dwóch stopniach, trzymając zapaloną świeczkę. Luca położył dłoń na



jej ręce, spoczywającej na balustradzie.

– Wygląda na to, że będziemy podróżować razem jeszcze przez jakiś czas – powiedział niepewnie, spoglądając na nią.

Izolda skinęła głową.

– Choć będę musiała dotrzymać słowa danego bratu Piotrowi i dołączyć do najbliższej kompanii, jaką spotkamy – przypomniała mu.

– Wyłącznie wtedy, gdy będzie stosowna – zauważył.

Na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

– Wyjątkowo stosowna – zgodziła się.

– Obiecuj mi, że bardzo rozważnie wybierzesz sobie towarzyszy podróży.

– Obiecuję nadzwyczajną rozwagę – powiedziała Izolda z iskierkami w oczach. – Nie opuszczę cię tak łatwo, Luco Vero – dodała ciszej, poważniejąc.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałbym się z tobą rozstać! – zawołał. – Naprawdę nie wierzę, że

mógłbym cię nie widywać po przebudzeniu i nie rozmawiać z tobą przez cały dzień. Nie wiem, jak miałbym podróżować dalej bez ciebie. To głupie, znamy się tylko parę tygodni, ale jesteś dla mnie...

Urwał, a Izolda zeszła o stopień niżej – tak że teraz tylko trochę nad nim górowała.

– Tak...? – szepnęła.

– Coraz ważniejsza – powiedział z prostotą i stanął na pierwszym schodku.

Wreszcie spojrzeli sobie w oczy. Znajdowali się tak blisko siebie, że mogliby się pocałować, gdyby Luca pochylił się odrobinę albo gdyby Izolda odwróciła ku niemu twarz. W końcu on pochylił się odrobinę, ona się odwróciła...

– Omówimy przed snem plan podróży? – spytał cierpko brat Piotr, stając w progu jadalni. – Bracie, nie sądzisz, że powinniśmy wszystko zaplanować, by jutro z samego rana wyruszyć w dalszą drogę?

Luca drgnął i odsunął się od Izoldy.

– Tak – powiedział. – Oczywiście. – Podszedł do zakonnika. – Tak, to trzeba zrobić. Dobranoc, Izoldo.

– Dobranoc – odpowiedziała słodko i odprowadziła go wzrokiem, gdy wrócił do małej jadalni i zamknął drzwi.

Dopiero gdy zniknęła jej z oczu, dotknęła ust, jakby tęskniła za tym pocałunkiem, do którego nie mogło dzisiaj dojść i nie powinno dojść nigdy.

\* \* \*

Rankiem w przystani było rojno i gwarno. Łodzie rybackie, które wypłynęły w morze o świcie, już wróciły i walczyły o dobre miejsce do cumowania. Te, które zjawily się najwcześniej, kołysały się tuż przy nabrzeżu, inne były przycumowane do nich, a z tych najdalszych marynarze przechodzili po trapach łączących jeden pokład z drugim, dźwigając na szerokich ramionach wielkie, ociekające wodą, okrągłe wiklinowe kosze z rybami. Na brzegu stawiali

je w ustalonych miejscach i czekali na klientów, którzy przyjdą obejrzeć dzisiejszy połów.

Nad łodziami roiło się od mew, krążących i pikujących po resztki ryb. Ich krzyki i piski zlewały się w nieustanny hałas, białe skrzydła migały w porannym słońcu.

Na nabrzeżu odbywała się mała aukcja połowu – mężczyzna donośnym głosem podawał ceny, a zebrani ludzie podnosili ręce albo wykrzykiwali swoje nazwiska, gdy padała suma, jaką byli gotowi zapłacić. Zwycięzca występował z tłumu, płacił i dźwigał kosz do swego wózka, który ciągnął na wieś lub windował po kamiennych schodkach na targ.

Na brzegu lądowały kolejne kosze wyładowane stertami sardynek, ryb o błyszczących, nakrapianych czernią łuskach niczym stare srebro. Karczmarka kupiła dwa kosze i kazała je zanieść chłopcu stajennemu. Inne gospodynie czekały, aż sprzedawcy opuszczą cenę, a wówczas kupowały jedną rybę. Żony

i córki szły na łodzie swoich ojców i braci i wybierały najlepsze sztuki na obiad. Rybacy ustawiali na brzegu wagi i wychyleni z łodzi, kładli na szali rybę o perłowych łuskach, unosząc wagę, żeby pokazać ją czekającym kobietom, które chwyciły ryby hakami i wrzuciły do swoich koszyków. Smukłe koty ocierały się o nogi kupujących i sprzedających, czekając, aż ryby zostaną wypatroszone i oczyszczone, a okrawki spadną na ziemię. Na niebie nadal krążyły z krzykiem mewy; w zimnym świetle wczesnego poranka lśniły równie oślepiająco jak skrzące się łuski ryb, jakby powietrze, ziemia i morze świętowały bogactwo wodnych głębin, odwagę rybaków i korzystne interesy miasteczka.

Freize szedł spacerkiem przez tłum na nabrzeżu, wdychając mocny zapach ryb, błota i soli. Uchylił czapki przed co ładniejszymi żonami rybaków, omijał skrzynie ryb i beczułki z homarami, cieszył się odgłosami radości i witalności portu. Zachwycał się

każdą chwilą spędzoną poza cichą samotnią klasztoru. Zmierzał w stronę statku, który miał ich zabrać na wschód, do portu w Splicie. Rozmawiał już z jednym kapitanem i chciał znaleźć drugiego, żeby porównać ceny.

– Nie wątpię, że zwiedzieli się o nas i wywindowali cenę – mruknął pod nosem. – Grupa podróżników z Rzymu, dwie piękne damy i inkwizytor, to musi kosztować. Nie wspominając już o ponurym obliczu brata Piotra. Sam bym policzył za niego dwa razy więcej, za straty moralne poniesione w jego obecności.

Kiedy przystanął, by się rozejrzeć, zauważył kręcącego się przy jego nogach rudego kociaka.

– Głodny? – spytał.

Mały łepiek uniósł się ku niemu, różowy pyszczek otworzył w miauknięciu. Freize bez namysłu pochylił się i zgarnął malucha z ziemi. Przez miękkie futerko wyczuł wyraźnie zebra kociaka, a właściwie koteczki.

Była tak malutka, że mieściła się na dłoni. Zaczęła mruczeć; całe jej ciało wibrowało tym niskim, pełnym błogości dźwiękiem.

– No to chodźmy – powiedział Freize. – Sprawdźmy, co da się dla ciebie znaleźć.

W kącie portu, na kamiennej ławie, osłonięta murem z surowego kamienia przed zimnym porannym wiatrem, siedziała kobieta patrosząca ryby. Ich wnętrzności rzucała na ziemię, gdzie od razu łapały je większe koty.

– Za duże dla ciebie – wyjaśnił Freize kotkowi. – Musisz dorosnąć, żeby tu walczyć o obiad. – A do kobiety zwrócił się uprzejmie: – Witaj, siostrze, czy mogę prosić o ochłap dla tej oto koteczki?

Kobieta, nie podnosząc głowy, odcięła kawałek rybiego ogona i podała mu go.

– Lepiej, żebyś miał ciężką sakiewkę, jeśli zamierzasz karmić bezpańskie koty – rzuciła z dezaprobatą.

– Otóż właśnie nie, bo zobacz: ty jesteś miła dla mnie, a ja dla niej – odparł Freize i usiadł obok kobiety, kładąc sobie na kolanie koteczkę, która zaczęła pożerać ochłap z zadziwiającą prędkością, przesuając się od soczystego kawałka mięsa po łuskowaty koniec ogona.

– Zamierzasz przez cały dzień opiekować się kotką? Nie masz nic innego do roboty? – spytała kobieta.

Kotka usiadła na kolanie Freize’a i zaczęła myć łapki małym różowym języczkiem.

– A to dopiero! Na śmierć zapomniałem! – Freize poderwał się na nogi, chwytając w locie koteczkę. – Mam robotę, i to bardzo ważną! Dziękuję, siostrze, i niech cię Bóg błogosławi. Muszę iść.

Kobieta podniosła głowę, ukazując twarz zrytą głębokimi zmarszczkami.

– A jakąż to pilną pracą masz do załatwienia ty,



któremu nie brakuje czasu ani pieniędzy, by karmić bezpańskie kocięta?

Freize roześmiał się pogodnie.

– Pracuję dla Kościoła, siostró. Służę młodemu panu, który jest inkwizytorem samego papieża. To wielce mądry młodzieniec, wybrany spośród innych dla swojej umiejętności zgłębiania i rozumienia wszystkiego, co nieznanego. To prawdziwy badacz, a ja jestem jego przyjacielem i sługą. Pracuję dla samego Boga.

– Nie jest to bardzo zazdrosny Bóg – zauważyła kobieta, odsłaniając w uśmiechu poczerwiałe zęby. – Nie wymaga, byś nie marnował czasu.

– To Bóg, który nie dopuści, by wróbelkowi stała się krzywda – odparł Freize. – Niech będzie pochwalony On i wszystkie Jego małe stworzenia. Pomyślnego dnia.

Schował koteczkę do kieszeni, a ona skuliła się w niej, opierając łapki na krawędzi materiału i lekko

wychylając łeppek, by widzieć, dokąd zmierzają. Freize szedł przez tłum w stronę miejsca, gdzie rybacy rozpinali sieci, by je naprawić, zrzucali żagle i zwijali liny.

W końcu znalazł kapitana, który zgodził się za rozsądną cenę przeprowadzić ich przez morze do Splitu. Jednak zamierzał wyruszyć dopiero w południe.

– Łowiłem ryby przez pół nocy, chcę zjeść śniadanie i wysuszyć ubranie. Potem was zabiorę – oznajmił. – Wypływamy w południe. Usłyszycie dzwony kościelne wzywające na sekstę.

Uścisnęli sobie ręce i Freize wrócił do karczmy, po drodze zatrzymawszy się w stajni, by zlecić przygotowanie koni do wyjazdu. Wydawało mu się, że tłum na nabrzeżu stał się bardziej ożywiony, choć rybacy nie sprzedawali już połowu. W karczmie przy drzwiach frontowych stłoczyło się wiele młodych osób, zaglądając do środka. Na podwórku stajni co najmniej dziesięcioro dzieci siedziało na pniakach i

cembrowinie studni. Niektóre czerpały z niej wody i piły, nabierając ją rękami z ociekającego wiadra.

– Co wy tu robicie? – zagadnął Freize grupkę sześciu chłopców. Żaden nie miał więcej niż dwanaście lat. – Gdzie wasi rodzice?

Nie odpowiedzieli od razu. Przeżegnali się z powagą.

– Mój ojciec jest w niebie – odrzekł jeden z nich.

– No tak... Bóg z tobą – mruknął Freize, myśląc, że to pewnie mali żebracy, którzy dla bezpieczeństwa podróżują razem.

Wszedł do karczmy kuchennymi drzwiami. Gospodyni właśnie wyjmowała z pieca pół tuzina sporych bochnów żytniego razowca.

– Pięknie pachnie – zauważył Freize ze smakiem.

– Zejdź mi z oczu – odwarknęła. – Do śniadania nic tu po tobie.

Freize roześmiał się i wyszedł na mały, wykładany kamieniem korytarz przy drzwiach

wejściowych. Luca i brat Piotr właśnie rozmawiali z karczmarzem.

Luca odwrócił się, słysząc kroki.

– A, to ty. Na zewnątrz jest wiele osób?

– Zbiera się tłumek. Będzie jarmark czy coś?

– Kruczata – wyjaśnił karczmarz. – Musimy ich wykarmić i wyprawić w drogę.

– Ach, tak? Twoja żona wspomniała wczoraj, że spodziewa się tu pielgrzymów – powiedział Freize.

– Pielgrzymów! – zawołał mężczyzna. – Owszem, tak nam mówiono. Ale teraz zaczęli ściągać tutaj i podobno są ich setki, może tysiące. To nie jest zwykła pielgrzymka, bo wszyscy maszerują razem niczym wojsko. To kruczata.

– Dokąd zmierza? – zainteresował się brat Piotr.

Karczmarz potrząsnął głową.

– Nie wiem. Mają przywódcę. On pewnie lepiej się orientuje. Idę po księdza; będzie musiał dopilnować, żeby wszyscy znaleźli nocleg i

pożywienie. I trzeba powiadomić pana zamku, on się zajmie ich wymarszem. Nie mogą się tu wszyscy zwalić, a poza tym połowa z nich nie ma grosza przy duszy; po drodze zebrali.

– Jeśli wszyscy wykonują dzieło boże, Bóg ich poprowadzi – oznajmił z wiarą brat Piotr. – Pójdę z tobą do księdza i wytłumaczę mu, że musi udzielić im gościny.

– Rozejrzyjmy się na zewnątrz – zwrócił się Luca do Freize'a. – Słyszałem, że wybierają się do Jerozolimy.

Obaj młodzieńcy wyszli z karczmy; na nabrzeżu stał już tłum chłopców i dziewcząt. Niektórzy mieli bose stopy, innych okrywały łachmany, a wszyscy byli brudni i zmęczeni podróżą. Większość siedziała na bruku, parę osób patrzyło na morze. Nikt nie miał więcej niż szesnaście lat; widziało się nawet sześciocy siedmiolatki, a wciąż napływały kolejne szeregi. Strażnik gapił się na nie w osłupieniu, szukając

powodu, żeby zamknąć przed nimi bramy.

– Boże, ratuj! – zawołał Freize. – To wszystko dzieci.

– Nadchodzi ich więcej! – zawołała Izolda z otwartego okna. Wskazywała na północ, ponad dachami domów, na drogę wijącą się zboczem wzgórza. – Widzę je na gościńcu. Są ich pewnie setki.

– Czy ktoś ich prowadzi? Kieruje nimi jakiś dorosły? – zawołał Luca, nie bardzo mogąc zebrać myśli na widok jej rozpuszczonych włosów i rozpiętego kołnierzyka koszuli.

Izolda osłoniła oczy ręką.

– Nie widzę nikogo. Nie towarzyszy im żaden jeździec. Same dzieci. Mnóstwo. Idą bardzo powoli...

Niemal tuż obok nich mała dziewczynka nagle usiadła i rozplakała się cicho.

– Już nie mogę – wyszlochała. – Nie dam rady. Po prostu nie mogę.

Freize przyklęknął obok niej. Jej stópki krwawiły,

pokryte pęcherzami i ranami.

– Oczywiście, że nie możesz – powiedział. – I nie wiem, jak ojciec mógł cię wypuścić z domu. Gdzie mieszkasz?

Rozpromieniła się natychmiast, zapomniawszy o bólu stóp.

– Mieszkam z Johannem Dobrym – odrzekła.

Luca pochylił się ku niej.

– Z kim?

– To on nas tu przyprowadził. Zawiedzie nas do Ziemi Obiecanej.

Obaj młodzieńcy wymienili niespokojne spojrzenia.

– Ten Johann... – zaczął Luca. – Skąd pochodzi?

Dziewczynka zastanowiła się, marszcząc brwi.

– Chyba ze Szwajcarii. Bóg kazał mu nas prowadzić.

– Ze Szwajcarii? – zawołał Freize. – A gdzie cię znalazł?

– Pracowałam w gospodarstwie pod Weroną. – Dziewczynka przesunęła dłońmi po stopach; na jej palcach została krew, ale ona nie zwróciła na to uwagi. – Johann Dobry i inni zjawili się w gospodarstwie i poprosili o jedzenie i nocleg w stajni, ale mój pan był surowym człowiekiem i ich przepędził. Zaczekałam, aż zaśnie, a potem razem z bratem pobiegliśmy za nimi.

– Twój brat tu jest? – spytał Freize, rozglądając się. – Starszy? Opiekuje się tobą?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie, bo już nie żyje. Nabawił się gorączki i zmarł pewnej nocy. Musieliśmy go zostawić w wiosce; powiedzieli, że go pochowają na kościelnym dziedzińcu.

Freize chwycił Lucę za kołnierz i odciągnął go od dziewczynki.

– Jakiej gorączki? – spytał podejrzliwie.

– Nie wiem, to było wiele tygodni temu.



– Gdzie wtedy byliście? Jak się nazywa ta wioska?

– Nie wiem. To nieważne i nie oplakuję mojego brata, bo znowu go zobaczę, kiedy powstanie z martwych. Johann powiedział, że spotka się z nami w Ziemi Obiecanej, gdzie martwi ożyją, a nikczemnicy spłoną.

– Johann powiedział, że martwi powstaną z grobów? – upewnił się Luca. – I że ich zobaczymy?

Freize też miał pytanie.

– Skoro twój brat nie żyje, to kto się tobą opiekuje?

Dziewczynka wzruszyła chudymi ramionkami, jakby odpowiedź była oczywista.

– Bóg – odrzekła. – On mnie powołał i On mną kieruje. Kieruje nami wszystkimi, a Johann przekazuje nam jego rozkazy.

Luca wyprostował się gwałtownie.

– Porozmawiam sobie z tym Johannem.

Dziewczynka wstała, krzywiąc się z bólu.

– Jest tam – odrzekła z prostotą, wskazując krąg chłopców, którzy przeszli przez bramę i właśnie opierali kije o mur i rzucali sakwy na bruk.

– Sprowadź brata Piotra – polecił Freize'owi Luca. – Niech spisze to, co ma do powiedzenia ten chłopak. Powinniśmy sprawdzić, co się tu dzieje. Może to nasz prawdziwy cel.

Freize skinął głową i delikatnie położył rękę na ramieniu dziewczynki.

– Zostań tu – powiedział. – Kiedy wrócę, umyję ci stopy i znajdę dla ciebie jakieś buty. Jak masz na imię?

– Rosa. Ale moim stopom niczego nie trzeba. Bóg je uleczy.

– Ja Mu pomogę – oznajmił zdecydowanie Freize. – Lubi pomocników.

Dziewczynka zachichotała dziecinnie wobec takiej impertynencji.

– On jest wszędzie – przypomniała mu z powagą.  
– Zatem wszędzie potrzebna Mu pomoc –  
skwitował Freize, uśmiechając się do niej ciepło.

Luca stał, patrząc na małych pielgrzymów, a tymczasem Freize popędził wąską uliczką prowadzącą z nabrzeża na plac targowy, gdzie wznosił się kościół, do którego wiodły szerokie schody. Kiedy Freize wbiegał po nich, przeskakując po dwa stopnie naraz, drzwi kościoła się otworzyły i pojawił się w nich brat Piotr.

– Luca cię potrzebuje – rzucił zwięźle chłopak. –  
Chce, żebyś zapisał jego rozmowę z młodzieńcem,  
który kieruje pielgrzymami. Nazywają go Johannem  
Dobrym.

– Dochodzenie? – spytał brat Piotr z nadzieją.  
– Na pewno. Tu dzieje się coś dziwnego.

Wrócili na nabrzeże, jeszcze bardziej zatłoczone.  
Z każdą chwilą przez miejskie bramy – tę główną i tę  
małą na północy – napływali nowi przybysze. Czasem

były to dzieci, dziewięcio– lub dziesięcioletnie, czasem młodzieńcy – czeladnicy, którzy uciekli od swoich mistrzów, albo wieśniacy zbiegli od pług. Na końcu pojawiła się grupka dziewczynek trzymających się za ręce, jakby szły do szkoły. Luca domyślił się, że na każde miejsce postoju młodsze, słabsze dzieci przychodziły z opóźnieniem, a niektóre w ogóle nie docierały.

– Tutejszy ksiądz to dobry człowiek – odezwał się brat Piotr do Luki – i ma pieniądze na jedzenie dla pielgrzymów. W klasztorze piecze się chleb; bracia przyniosą go na rynek, żeby go rozdać.

– Zdaje się, że pielgrzymkę dzieci prowadzi jakiś młodzieniec – rzekł Luca. – Trzeba go przesłuchać.

Brat Piotr skinął głową.

– Może to Bóg go natchnął – powiedział ostrożnie – a może sam Szatan skusił go, by wykraść te dzieci rodzicom. W każdym razie nasz przełożony będzie chciał o tym wiedzieć. To coś, co powinniśmy

zrozumieć i zbadać.

– Mówi, że zmarli powstaną z grobów – dodał Luca.

Zmartwychwstanie było główną oznaką końca świata: groby się otworzą i wszyscy zostaną osądzeni.

Brat Piotr drgnął, zaskoczony.

– Mówi o końcu świata?

– Właśnie – mruknął ponuro Luca.

– Który to?

– Tamten. Nazywają go Johann. – Luca ruszył przez tłum zmęczonych dzieci ku chłopcu, który stał z dala od wszystkich, z głową pochyloną w modlitwie.

– Ta dziewczynka nazwała go Johannem Dobrym.

Przez bramę i po nabrzeżu przechodziło już tak wiele dzieci, że Luca mógł tylko stanąć i patrzeć, jak go mijają. Oceniał, że może ich być siedemset – na ogół wyczerpanych i głodnych, ale z nadzieją w oczach. Niektóre wyglądały nawet jak natchnione, jakby święta determinacja popychała je do przodu.

Freize zabrał Rosę do kuchni w karczmie, by umyć jej stopy. Luca pomyślał, że w pielgrzymce musi iść wiele podobnych do niej dziewczynek, ledwie trzymających się na nogach, pozbawionych opieki, prowadzonych niedzielięcym przekonaniem, że zostały powołane przez Boga.

– To mógłby być cud – rzekł niepewnie brat Piotr, usiłując się przebić przez tłum młodych ludzi, żeby dotrzeć do Luki. – Widziałem coś takiego tylko raz. Gdy Bóg powołuje pielgrzymów, a oni odpowiadają, jest to cud. Ale musimy zbadać, jak wiele dzieci się tu znalazło, dokąd się wybierają i co zamierzają osiągnąć. Może to uzdrowiciele, może mają dar jasnowidzenia, a może przemawiania... lecz możliwe też, że zostały straszliwie oszukane. Mistrz zechce się dowiedzieć, kim jest ich przywódca i co głosi.

– Johann Dobry – powtórzył Luca. – Ze Szwajcarii. Tak powiedziała. To on.

Czekający przy bramie chłopak podniósł głowę, jakby poczuł na sobie ich wzrok, i uśmiechnął się promiennie. Miał jakieś piętnaście lat, długie jasne włosy spływały mu nieporządnymi lokami na ramiona, błękitne oczy patrzyły przenikliwie. Był ubrany jak szwajcarski pastuch – w krótką sukmanę, grube zasznurowane nogawice i mocne sandały. W dłoni trzymał zakrzywiony kij pasterski, rzeźbiony w rząd krzyży. Pocałował jeden z nich, wyszeptał modlitwę i odwrócił się do nich.

– Niech Bóg was błogosławi i zachowa, panowie – odezwał się.

Brat Piotr, bardziej przyzwyczajony do udzielania niż przyjmowania błogosławieństw, odparł sztywno:

– I ciebie. Co cię tu sprowadza?

– Bóg – odpowiedział chłopak. – A was?

Luca zdusił cichy śmiech na widok zaskoczenia brata Piotra, który nie spodziewał się, że to chłopak będzie przesłuchiwać jego.

– My także wykonujemy dzieło boże – oznajmił.  
– Brat Piotr i ja prowadzimy śledztwo w sprawie stanu chrześcijaństwa. Sam Ojciec Święty zlecił nam, byśmy powiadamiali go o wynikach.

– Nadchodzi koniec świata – powiedział chłopiec z prostotą. – Czas chrześcijaństwa się skończył. Widziałem znaki. Czy Ojciec Święty o tym wie?

– Jakie znaki widziałeś? – spytał Luca.

– Wystarczające, żeby mieć pewność. Dlatego wyruszyliśmy w drogę.

– Co widziałeś? – Luca nie dał się zbyć. – Co konkretnie? Opowiedz nam.

Johann westchnął, jakby miał dość cudów.

– Wiele, wiele rzeczy. Ale teraz muszę coś zjeść, odpocząć, a potem pomodlić się z moją rodziną. W oczach Boga to wszystko moi bracia i siostry. Przebyliśmy długą drogę, a przed nami jeszcze dłuższa.

– Chcielibyśmy z tobą porozmawiać – odezwał



się brat Piotr. – Naszą misją jest dowiedzieć się, co widziałeś. Ojciec Święty pragnie się o tym dowiedzieć. Musimy osądzić, czy twoje wizje są prawdziwe.

Chłopak pokiwał głową, jakby nie interesowało go ich zdanie.

– Może później. Musicie mi wybaczyć. Wiele osób chce wiedzieć, co widziałem i co wiem. A mnie nie obchodzą sądy tego świata. Potem stanę na schodach kościoła i będę głosił Słowo tutaj mieszkającym. Możecie przyjść i posłuchać, jeśli chcecie.

– Złożyłeś śluby święte? Jesteś sługą Kościoła? – spytał brat Piotr.

Johann wskazał z uśmiechem na swój ubogi strój.

– Powołał mnie Bóg. Nie odebrałem nauk Jego Kościoła. Jestem prostym pastuszkiem. Nie podaję się za nikogo więcej. Bóg zaszczycił mnie swym

powołaniem, tak jak zaszczyił rybaków i innych biednych ludzi. On sam do mnie przemawia. Nie potrzebuję innego nauczyciela.

Odwrócił się i nakreślił w powietrzu znak krzyża nad dziećmi, które przeszły przez bramę, śpiewając psalm, i zasiadły wokół niego na bruku przystani z taką swobodą, jakby znajdowały się na własnym polu.

– Chciałbyś przyjść do karczmy i śniadać z nami?  
– spytał Luca zachęcająco. – Będziesz mógł się posilić, odpocząć i opowiedzieć nam o swojej podróży.

Chłopak przyglądał się im przez chwilę.

– Tak zrobię. – Odwrócił się i zamienił parę słów z dziećmi stojącymi najbliżej.

Natychmiast usiadły na nabrzeżu, rozpakowały swoje sakwy i zaczęły jeść skromny posiłek – małe skibki chleba i trochę sera. Inne dzieci, które nie miały nic do jedzenia, siedziały w otępieniu, jakby

były zbyt zmęczone, żeby czuć głód.

– A twoi towarzysze? – spytał Luca.

– Bóg się o nich zatroszczy – oznajmił chłopak z przekonaniem.

Luca zerknął na brata Piotra.

– Ksiądz przyniesie im jedzenie. W klasztorze pieką chleb – wyjaśnił brat Piotr dość chłodno. – Widzę, że nie pościsz z nimi.

– Wiedziałem, że Bóg się o nich zatroszczy – odparł Johann. – A ty to potwierdziłeś. Zapraszacie mnie na śniadanie, zatem zatroszczył się i o mnie. Dlaczego miałbym Mu nie ufać i nie chwalić Jego świętego imienia?

– W rzeczy samej, dlaczego? – wycedził zimno brat Piotr i ruszył do karczmy.

\* \* \*

Iszrak i Izolda nie spotkały się z mężczyznami przy śniadaniu. Zerknęły przez otwarte drzwi na

Johanna i zaniósłły swoje talerze do sypialni na górze. Zjadłły, siedząc przy oknie i przyglądając się przystani. Dzieci nadal ściągają do miasteczka; najmniejsze i najslabsze w końcu dogoniły pozostałe. Ich łachmany świadczyły o pochodzeniu z wielu różnych rejonów. Dzieci z osad rybackich na północy wybrzeża miały na sobie płócienne sukmany, a te, które przybyły z gospodarstw, nosiły peleryny i nogawice pastuszków. Było wśród nich wiele dziewcząt, czasem w strojach służących, w samodziałowych sukniach z fartuchami z koziej skóry. Izolda trąciła Iszrak, gdy przez bramę przeszły trzy dziewczyny w szatach nowicjuszek, z różańcami w rękach i pochylonymi głowami w welonach.

– Pewnie uciekły z klasztoru – powiedziała.

– Jak my – dodała Iszrak. – Ale jak im się wydaje, dokąd zmierzają?

W jadalni młodzieniec pomodlił się w milczeniu, pobłogosławił chleb i zjadł solidne śniadanie, które

Freize przyniósł z kuchni. Posiliwszy się, odmówił przydługą modlitwę i krótko podziękował Luce. Brat Piotr wyjął z podróżnego biurka przybory do pisania i zanurzył pióro w kałamarzu.

– Muszę złożyć raport mojemu przełożonemu, który z kolei przekaze go Ojcu Świętemu – wyjaśnił, gdy chłopak spojrział na niego pytająco. – Jeśli twoją wyprawę pobłogosławił Bóg, to Ojciec Święty będzie chciał poznać dowody. Jeśli uzna, że masz powołanie, to cię wesprze. Jeśli nie, to zechce się dowiedzieć, kim jesteś.

– Bóg nas pobłogosławił – odparł chłopak. – Myślisz, że przeszlibyśmy taką drogę, gdyby On nami nie kierował?

– A... skąd przychodzicie? – spytał ostrożnie Luca.

– Byłem pasterzem kóz w kantonie zuryskim, gdy usłyszałem głos Boga – zaczął spokojnie mówić Johann. – Powiedział mi, że na wschodzie wydarzyła

się okropność, coś straszniejszego niż wielka powódź. Coś gorszego niż potop, w którym zginęli wszyscy z wyjątkiem Noego. Powiedział, że Osmanowie powstali przeciwko chrześcijaństwu niczym wielka fala, podbili Konstantynopol, nasze święte miasto, ośrodek Kościoła na Wschodzie i zniszczyli go. Dobrze usłyszałem?

– Dobrze – potwierdził Luca. – Ale to mógł ci powiedzieć każdy wędrowny handlarz. Wydarzyło się to w maju tego roku.

– Nie powiedział mi tego żaden wędrowny handlarz, bo byłem w górach z moimi kozami. O świcie opuszczałem wioskę i pędziłem kozy na położone wysoko hale, gdzie trawa jest świeża i słodka. Codziennie siedziałem przy moim stadzie i go strzegłem. Czasem grałem na fujarce, czasem leżałem na plecach i przyglądałem się chmurom. Kiedy słońce docierało do najwyższych gałęzi srebrnej brzozy, zjadałem chleb i ser z węzełka, który dawała mi

matka. Co wieczór, gdy słońce zaczynało spływać w dół, odprowadzałem stado z powrotem i zapędzałem je na pola i do stajni sąsiadów. Nikogo nie widywałem, z nikim nie rozmawiałem. Jedynym moim towarzyszem był anioł. Pewnego dnia przemówił do mnie Bóg. Powiedział mi, że niewierni zdobyli święty kościół w Konstantynopolu. Morze wezbrało tak wysoko, iż przepłynęli galerami nad murem portu. Bóg powiedział, że największy kościół świata był niegdyś zwany Hagia Sophia i że teraz znajduje się w rękach niewiernych, którzy zrobią z niego meczet, zburzą ołtarz i zbezczeszczą go, i że to niechybna oznaka końca świata. Dobrze usłyszałem?

– Zdobyli katedrę – przyznał Luca z niepokojem.  
– I miasto.

– Czy księża modlili się przy ołtarzu, gdy niewierni weszli do kościoła i rozsiekali ich? – spytał Johann.

Luca zerknął na brata Piotra, który to

potwierdził:

- Odprawiali mszę do ostatniej chwili.
- Czy przepłynęli galerami nad murem?
- To nie może być prawda – wtrącił Luca.
- Nie całkiem tak było – wyjaśnił brat Piotr. –

Był to fortel wojenny. Osadzili galery na wielkich belkach i przepchnęli je lądem do śródlądowej przystani. Sam diabeł chyba im podpowiedział, żeby posadzić ludzi przy wiosłach i kazać wybijać rytm na bębnach, by wydawało się, iż galery suną w powietrzu. Wszyscy twierdzili, że wyglądało to tak, jakby flota płynęła drogą.

Luca słuchał w zdumieniu. Nie znał tej historii, ale Johann pokiwał głową, jakby na własne oczy widział tę przerażającą scenę i to świętokradztwo.

– Bóg powiedział mi, że niewierni nadejdą i będą siać grozę na całym świecie, i że tak jak przeszli przez Grecję, będą przeć coraz dalej i nic ich nie powstrzyma. Powiedział, że przyjdą do mojego



kantonu, do wszystkich szwajcarskich wiosek. Powiedział, że prowadzi ich młodzieniec tylko nieco starszy ode mnie. Czy to prawda?

Luca spojrział na brata Piotra.

– Sułtan Mehmed ma dziewiętnaście lat – potwierdził skryba.

– Bóg powiedział mi, że to wojna dla młodych ludzi i dzieci. Niewiernymi dowodzi młodzieniec. Usłyszałem powołanie. Zrozumiałem, że muszę opuścić mój dom.

Luca i brat Piotr milczeli.

– Wziąłem kij i sakwę i pożegnałem się z rodzicami. Cała wioska wyszła, żeby mnie pożegnać. Wiedzieli, że natchnął mnie sam Bóg.

– Czy ktoś odszedł z tobą?

Johann pokręcił głową i zapatrzył się w okno, jakby widział na zakurzonych szybkach nędzę brudnych wiejskich uliczek, ponure życie ludzi, którzy z trudem wydzierają jałowej górskiej glebie

plony wystarczające tylko na to, by nie umrzeć z głodu, i którzy każdej zimy marzną i głodują, wiedząc, nawet podczas ciepłego lata, że zimno i głód przyjdą znowu. Ludzi, którzy byli przekonani, że nic się nigdy nie zmieni, że życie będzie się toczyło nadal w tym samym niemiłosiernym wiecznym cyklu okrutnych zim i pogodnych lat – aż do dnia, gdy usłyszeli o nadejściu Turków i zrozumieli, że wszystko w ułamku chwili zmieniło się na gorsze, a będzie jeszcze gorzej.

– Dzieci dołączały do mnie po drodze – powiedział Johann. – Usłyszały mój głos i rozumiały. Wszyscy wiemy, że nadchodzi koniec świata. Wszyscy chcemy znaleźć się w Jerozolimie w dniu Sądu Ostatecznego.

– Wydaje ci się, że zmierzasz do Jerozolimy? – odezwał się z niedowierzaniem stojący w progu Freize. – Prowadzisz tam te dzieci?

Chłopiec uśmiechnął się do niego.

– Bóg je tam prowadzi – wyjaśnił cierpliwie. – Ja tylko idę z nimi. Kroczę u ich boku.

– W takim razie Bóg wybrał dziwną trasę – oznajmił opryskliwie Freize. – Dlaczego wysłał cię na wschód Italii? Czemu nie do Rzymu, gdzie otrzymałbyś pomoc? Czemu nie odpłyniecie stąd statkiem? Czemu każesz tym dzieciom przemierzać tak długą drogę?

Chłopiec wydawał się wstrząśnięty tym jawnym sceptycyzmem.

– Ja ich nie prowadzę. Nie ja wybrałem trasę. Idę tam, dokąd każe mi Bóg – powiedział cicho. – On wyjawia mi to po drodze. Kim jest ten człowiek, który mnie przesłuchuje?

– To sługa brata Luki – warknął z irytacją brat Piotr. – Nie musisz odpowiadać na jego pytania. On nie prowadzi dochodzenia.

– O, najmocniej przepraszam, że pozwoliłem sobie wam przerwać – rzucił Freize bez cienia

skruchy. – Czy mogę zostawić resztki śniadania na progu? Twoi towarzysze podróży wyglądają na głodnych. A nam zostało sporo mięsa i nietkniętego chleba. Nieźle sobie podjadłeś.

Chłopiec oddał swój talerz i chleb w koszyku, nawet na nie nie spojrzawszy.

– Bóg się o nas troszczy – powiedział. – Daj im wszystko, z moim błogosławieństwem.

– I dopilnuj, żeby jedzenie z klasztoru zostało sprawiedliwie rozdzielone – dodał brat Piotr. Freize skinął głową i wyszedł. Usłyszeli, jak wpada do kuchni i trzaska drzwiami wyjściowymi. Brat Piotr znowu przeniósł uwagę na chłopaka. – A twoje nazwisko brzmi...?

– Johann Johansson.

– Ile masz lat?

– Zdaje się, że prawie szesnaście. Nie wiem na pewno.

– Czy wcześniej widywałeś cuda lub coś

słyszałeś?

Chłopak uśmiechnął się do niego.

– Słyszałem śpiew kościelnych dzwonów w mojej wiosce – wyznał. – Gdy dzwoniły na mszę, słyszałem, jak wołają moje imię, jakby sam Bóg zapraszał mnie do swojego stołu. Potem, gdy latem byłem z kozami na wysokich halach, słyszałem czasem głos, piękny głos wołający moje imię. Był to anioł, który spotykał się ze mną na najwyższych halach. Wiedziałem, że czeka mnie zadanie, ale nie wiedziałem jakie. Bóg powiedział mi o końcu świata, gdy siedziałem samotnie na wysokiej hali, a ja długo zastanawiałem się, co powinienem zrobić z tą wiedzą. Rozmawiałem z księdzem, a on uznał, że to mogło być objawienie; mieliśmy poczekać, aż dowiemy się więcej. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co usłyszałem na pastwisku o kościele na wschodzie. Nikt nie mógł uwierzyć w to, że miasto tak wielkie jak Konstantynopol mogłoby upaść. Ale potem na targ przyszedł wędrowny

handlarz. Stał na rynku i ze łzami w oczach opowiedział nam, że kościół na wschodzie upadł, a miasto broniło się tak długo, jak mogło, niczym światełko w ciemnościach, lecz ciemności gęstniały, gdyż Turków było zbyt wielu. Wtedy zrozumiałem, że moja wizja była prawdziwa, że głos, który usłyszałem, był głosem Boga, że nadchodzi koniec świata, a ja muszę wyruszyć do Jerozolimy.

– Wiedziałeś o upadku Konstantynopola, zanim w twojej wiosce zjawił się handlarz? – Brat Piotr zrobił notatkę. – Opowiedziałeś księdzu o swojej wizji?

– Tak – bez wahania odrzekł chłopak.

– Jesteś pewien, że mówiłeś księdzu o końcu świata przed przybyciem handlarza?

Johann tylko skinął głową.

– A jak zamierzasz się dostać stąd do Jerozolimy? – spytał Luca.

– Bóg powiedział mi, że morze wyschnie na

naszej drodze – wyjaśnił chłopiec. – Tak jak przed dziećmi Izraela. Kiedy dotrzemy do najbardziej wysuniętego na południe punktu Italii, fale z pewnością się rozstąpią, a my przejdziemy do Ziemi Świętej.

Luca i brat Piotr wymienili spojrzenia, zdziwieni jego pewnością siebie.

– To bardzo, bardzo daleko – zauważył łagodnie Luca. – Znasz drogę? Wiesz, jak długo będziecie iść?

– Dla mnie nie ma znaczenia, jak nazywa się ta droga ani jak jest długa – oznajmił śmiało chłopiec. – Drogę wskazuje mi Bóg, nie drogowskazy. Nie jestem zabawką tych, którzy rysują mapy i chcą wszystko zmierzyć i zważyć. Kieruję się wiarą. Podążam za wizją Boga, nie ludzi.

– A co zrobisz, kiedy dotrzesz na miejsce? – spytał brat Piotr.

– To nie jest zbrojna krucjata – odparł Johann – lecz krucjata dziecięca. Gdy dotrzemy na miejsce,

przybędą do nas dzieci Izraela i dzieci Turków. Przybędą dzieci osmańskie i arabskie i wszyscy będziemy służyć jednemu Bogu. Jeśli na tych nieszczęsnych ziemiach zostały jakieś dzieci chrześcijańskie, one także do nas przybędą. Wszystko wyjaśnią swoim rodzicom i zapanuje pokój. Dzieci wszystkich wrogów zaprowadzą pokój na świecie. To kruczata dziecięca i wszystkie dzieci odpowiedzą na wezwanie. Potem do Jerozolimy przybędzie Jezus i świat się skończy.

– Widziałeś to wszystko w wizji? – upewnił się brat Piotr. – Naprawdę?

Chłopiec skinął głową, promieniejąc pewnością siebie.

– Tak się stało – potwierdził. – Jak inaczej te dzieci mogłyby do mnie dołączyć? Przybyły z wiosek i małych gospodarstw, z brudnych warsztatów i z zaułków niegodziwych miast. Przybyły z braćmi i siostrami. Z przyjaciółmi. Przybyły z różnych krajów,



przybyły, choć nie rozumieją mojego języka, bo Bóg do nich przemawia. Dzieci arabskie i żydowskie także przybędą. – Wytarł usta rękawem, jak prawdziwy wieśniak. – Widzę, panowie, że się dziwicie, ale taka właśnie jest prawda. To dziecięca krucjata, która zmieni ten świat. A teraz muszę się pomodlić z moimi braćmi i siostrami – dodał. – Możecie do nas dołączyć, jeśli chcecie.

Wstał, wziął kij i ruszył do drzwi.

– Jak rozstąpi się morze? – spytał zaciekawiony Luca.

Johann obiema rękami rozgarnął powietrze przed sobą.

– Tak jak poprzednio – powiedział. – Przed Mojżeszem. Fale rozstąpią się na obie strony. Ujrzymy pod stopami morskie dno. Zobaczymy wraki statków, które na nim leżą, i będziemy po drodze zbierać ukryte w nich skarby. Będziemy zbierać perły niczym kwiaty. Przejdziemy suchą stopą aż do

Palestyny. – Zastygł na chwilę. – Aniołowie będą śpiewać – dodał zadowolony, po czym wyszedł, zostawiając Lucę i brata Piotra.

– Co za niezwykły chłopak! – zawołał Luca, wstając. – Ma dar, trudno zaprzeczyć. – Dotknął swojej ręki i karku. – Włosy stanęły mi dęba. Uwierzyłem mu. Naprawdę mnie przekonał. Żałuję, że nie mogę z nim iść. Gdybym usłyszał go jako dziecko, odszedłbym od pługą i pobiegł za nim.

– Charyzmatyczny przywódca – zgodził się brat Piotr. – Ale nie wiem, czy to marzyciel, prorok, czy też oszust. Musimy posłuchać jego kazania i może zapytać go jeszcze o parę spraw. Będę musiał przekazać mistrzowi nowe wieści. To pilna sprawa.

– Zaciekawi go taki chłopiec?

– Taki chłopiec i taka krucjata. To może być kolejna oznaka końca świata. Pan zechce się dowiedzieć wszystkiego. Jeśli krucjata dotrze do Palestyny i osiągnie choćby połowę tego, co

zapowiedział Johann, to Osmanowie będą musieli się z nią jakoś rozprawić. Te dzieci to ich najgorszy koszmar. Będą musieli albo zaatakować je i pojmać, albo pozwolić im wejść do najświętszych miejsc. W każdym wypadku te dzieci całkiem zmieniają sytuację. Mogą się okazać najlepszą bronią. Nigdy nie wpadliśmy na taki pomysł, ale one mogą być skuteczniejsze niż jakakolwiek armia dorosłych chrześcijan. Gdyby Johann zaapelował do dzieci osmańskich i tureckich i gdyby dołączyły do jego chrześcijańskiej krucjaty, świat stanąłby na głowie.

– Naprawdę sądzisz, że dotrą aż do Jerozolimy?

– Kto by pomyślał, że dotrą tutaj? A jednak udało się to tysiącom.

– A na pewno setkom – poprawił go ostrożnie Luca.

– Za tym chłopcem idą tysiące dzieci. Ile mógł ich porwać za sobą?

– Chyba nie wierzysz, że morze się przed nimi

rozstąpi? Jak to możliwe?

– A wierzysz, że Morze Czerwone rozstąpiło się przed dziećmi Izraela?

– Muszę w to wierzyć. Tak stwierdza Biblia. Kwestionowanie jej słów to herezja.

– Zatem dlaczego taki cud nie mógłby się wydarzyć jeszcze raz?

Luca pokręcił głową.

– Pewnie by mógł... ale... Nie rozumiem, jak to możliwe. Jak mogłoby do tego dojść. Nie podawaj w wątpliwość mojej wiary, wierzę w słowa Biblii, bo taka jest moja powinność. Nie podważam ich. Ale to morze odsłaniające swoje dno? I te dzieci idące suchą stopą do Palestyny? Czy to możliwe?

– Musimy to zobaczyć. A jeśli woda się przed nimi nie rozstąpi, to może mistrz przyśle im statki.

– Po co miałyby robić sobie tyle kłopotu? – Luca zawahał się, widząc rozgorączkowanie brata Piotra. – Czy nasze dochodzenie dotyczy końca świata, czy też

zakon jest bardziej zainteresowany pokonaniem Osmanów? Szukamy prawdy czy broni?

– Obu, oczywiście, że obu – przyznał brat Piotr.  
– Zawsze obu. To jedno i to samo. Świat się skończy, gdy Osmanowie wtargną w bramy Rzymu, i wtedy zmarli powstaną z grobów na Sąd Ostateczny. Ty i ja musimy przemierzać cały świat chrześcijański, żeby wypatrywać, czy proces ten już się rozpoczął, czy Szatan już się pojawił, a wojska osmańskie podchodzą coraz bliżej. Niewierni w Jerozolimie i Jezus zstępujący z nieba to jedno i to samo, gdyż zapowiadają koniec. My winniśmy zbadać, kiedy to nastąpi. Te dzieci mogą być znakiem. Naprawdę w to wierzę. Musimy powiadomić mistrza i dowiedzieć się więcej.

\* \* \*

Luca zapukał do drzwi Izoldy; dziewczyna na jego widok otworzyła je szeroko.

– Nie mogę zostać – powiedział. – Ale chciałem ostrzec Iszrak.

Smagła towarzyszka Izoldy wyjrzała zza jej ramienia.

– Mnie?

– Tak. Widziałaś dzieci, które tutaj ściągają. To krucjata, setki, jeśli nie tysiące dzieci. Zmierzają na południe, do Jerozolimy, by pokonać Osmanów.

– Widziałyśmy je przez okno. Są bardzo zmęczone.

– Owszem, ale z wielką determinacją zmierzają do Palestyny. To ogromna krucjata i oznaka końca świata. Wiedzą, że Osmanowie napadli Konstantynopol. Jeśli w ogóle wyjdiesz na dwór, nie możesz nosić arabskiego stroju. Te dzieci mogłyby cię zaatakować. Nie mam pojęcia, co im chodzi po głowie.

– Mam nie nosić arabskiego stroju? Moich ubrań? Mam się wyprzeć swojego pochodzenia?

– Dopóki jest tu dziecięca kruczata. Włóż suknie, jakie nosi pani Izolda.

Iszrak spojrzała na niego spokojnie swoimi ciemnymi oczami.

– A co mam zrobić z moją arabską cerą?

Luca oblał się rumieńcem.

– Masz piękną cerę, Bóg mi świadkiem, niewiele kobiet dorównuje ci urodą z tą skórą koloru wrzosowego miodu i oczami ciemnymi jak niebo o północy – powiedział żarliwie. – Ale nie możesz nosić szarawarów, opończy i zasłony na twarzy, dopóki kruczata nie opuści miasta albo póki stąd nie wypłyniemy. Musisz się ubrać jak Izolda, jak chrześcijanka, dla własnego bezpieczeństwa.

– Zrobi to – oświadczyła Izolda, po czym zwróciła się do Iszrak: – Nie sprawi ci to różnicy, nosisz moje suknie równie często jak swoje szarawary. Niczego nie dowiedziesz, upierając się przy arabskim stroju. – Spojrzała na Lucę. –

Wyływamy w południe, jak było ustalone?

– Nie. Musimy porozmawiać z dziećmi i wysłać raport do Rzymu. Brat Piotr uważa, że natchnął je sam Bóg, lecz jeśli z pomocą bożą lub bez niej dotrą do Jerozolimy, staną się wielkim wyzwaniem dla Osmanów.

– Ruszają dalej?

– Zapewne dziś po południu. Ludzie dają im jedzenie i pieniądze na drogę. Kościół ich karmi. A one są zdecydowane, by iść dalej. To niezwykła pielgrzymka. Cieszę się, że ją widziałem. Kiedy rozmawia się z tym chłopcem, Johannem, czuje się natchnienie. Wiesz, gdybym był wolny, sam bym z nim poszedł.

– Myślisz, że dotrą do Jerozolimy? – spytała Iszrak.

– Kto by pomyślał, że dotrą aż tutaj? Dzieci prowadzone przez młodzieńca, który nawet nie wie, gdzie leży Jerozolima. Brat Piotr sądzi, że to właśnie



takie oznaki, jakie mamy obserwować. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że to coś w rodzaju cudu. Ten chłopiec to prosty wieśniak ze Szwajcarii, a tu proszę, dotarł do Italii i zmierza dalej. To niemal zdarzenie nadprzyrodzone.

– Ale nie masz pewności – zauważyła Iszrak.

Luca wzruszył ramionami.

– Twierdzi, że rozstąpi się przed nimi morze. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. To byłby cud. Ale może zdołają dojść do Mesyny, a ktoś da im statki. Istnieje wiele sposobów, by mogły dotrzeć do Jerozolimy suchą stopą. Zdarzają się różne cuda, równie wielkie jak rozstąpienie się morza.

– Wierzysz, że ten chłopiec dotrze do Mesyny? – Głos Iszrak zabrzmiał sceptycznie.

Luca zmarszczył brwi.

– To nie twoja religia – powiedział, jakby się bronił. – Widzę, że nie uwierzyłybyś tym pielgrzymom. Uznałybyś ich za głupców

prowadzonych przez szarlatana. Ale ten chłopiec ma wielką moc. Wie o rzeczach, które mógł poznać tylko drogą objawienia. Twierdzi, że Bóg do niego przemawia, i muszę w to uwierzyć. I już dotarł tak daleko!

– Czy możemy go posłuchać? – spytała Izolda.

Luca skinął głową.

– Dziś po południu będzie głosić kazanie. Jeśli zakryjecie głowy i włożycie opończe, możecie do nas dołączyć. Podejrzewam, że pół miasta zechce go posłuchać.

\* \* \*

Izolda i Iszrak, ubrane w szare suknie i brązowe opończe, wyszły z karczmy przez drzwi frontowe i ruszyły kamiennym nabrzeżem. Większość łodzi rybackich stała w przystani, kołysząc się na łagodnych falach. Rybacy naprawiali sieci, cerowali żagle lub zwijali liny na brzegu. Dziewczęta nie

zwracały uwagi na gwizdy i wrzaski mężczyzn na widok dwóch smukłych postaci w opończach z kapturami, pod którymi domyślali się ładnych twarzy. Izolda rumieniła się i uśmiechała, słysząc wykrzykiwane komplementy, ale Iszrak z pogardą odwracała głowę.

– Nie musisz się tak obrażać, to nie obelgi – powiedziała Izolda.

– Dla mnie tak – rzuciła Iszrak. – Dlaczego im się wydaje, że mogą komentować mój wygląd?

Skreśliły w wąską uliczkę biegnącą w górę, na plac targowy, i przeszły pod krzyżującymi się sznurkami z praniem, rozciągniętym między balkonami. Na schodach domów siedziało parę staruszek, zajętych cerowaniem lub robieniem koronek. Pozdrawiały dziewczęta skinieniem głowy. Poza nimi nie było tu prawie nikogo; większość mieszkańców poszła na plac, żeby posłuchać kazania Johanna. Izolda i Iszrak minęły piekarnię, której

drzwi właśnie zamykał piekarz o twarzy i włosach oprószonych mąką. Jego sąsiad szewc siedział po turecku w oknie. Zapomniawszy o bucie na kowadle, spoglądał na gromadzący się tłum. Kolejny sklep, z zaopatrzeniem dla marynarzy, krył w mrocznym wnętrzu mnóstwo różnych towarów, od sieci i korkowych spławików po noże do oprawiania ryb, dulki, sól w bryłach i beczki. Sąsiadowały z nim lokale kapelusznika i pasamonika<sup>1</sup>, a dalej – siodlarza.

Dziewczęta mijały sklepy, ledwie rzucając na nie okiem. Ich uwagę przyciągały schody kościoła i lśniąca złotem głowa chłopca, który czekał z policzkiem opartym o swój prosty pasterski kij, jakby w coś zasłuchany.

Przed nim gęstniejący tłum mamrotał cicho, z uwagą. Za nim, w ciemnych drzwiach kościoła, stali brat Piotr, Luca i Freize, ramię w ramię z miejscowym księdzem. Wielu rybaków i niemal

wszystkie kobiety i dzieci przybyli, by wysłuchać kazania Johanna Dobrego, ale Izolda zauważyła, że brakuje niektórych starszych dzieci. Podejrzewała, że zostały wysłane na morze z ojcami lub też zakazano im wstępu na plac – nie wszystkie rodziny chciały ryzykować, że ich dzieci usłyszą słowa, które wywabią je z domu. Wiele matek uważało, że Johann, niczym flecista z Hamelin, poprowadzi ich dzieci na wieczne zatracenie. Część nazywała go złodziejem dzieci, którego należało się bać – zwłaszcza gdy miało się tylko jedno dziecko.

Dzieci z krucjaty zjadły skromne śniadanie, złożone z chleba i ryb. Ksiądz zebrał jedzenie od swoich wiernych oraz od sprzedawców z targu, którzy ofiarowali mu resztki towarów. Mnisi z klasztoru przysłali kosze świeżo upieczonego chleba i miodowych ciastek. Widać było, że niektóre dzieci się nie najadły, a wiele z nich głodowało od dawna. Ale wciąż miały tak samo pogodne buzie jak wtedy, gdy

wkroczyły do Piccolo.

Iszrak, zawsze wyczulona na nastrój tłumu, niemal fizycznie czuła żarliwe przekonanie młodych krzyżowców: te dzieci chciały wierzyć, że Johann został powołany przez Boga i że prowadzi je do Jerozolimy.

– To nie jest wiara – szepnęła do Izoldy. – To pragnienie, coś zupełnie innego.

– Pytacie, dlaczego powinniśmy przejść tę długą drogę do Ziemi Obiecanej? – zaczął Johann niespodziewanie, bez wstępu, bez proszenia o uwagę, bez modlitwy.

Nawet nie podniósł głosu, nie podniósł też oczu, nadal opierając policzek na pasterskim kiju, a jednak setki ludzi natychmiast ucichły i zaczęły słuchać. Ubrany w szary zgrzebny habit cystersów pyzaty ksiądz, który nigdy w życiu nie widział takiego zgromadzenia, spuścił wzrok na próg swojego kościółka. Brat Piotr zrobił krok naprzód, jakby nie

chciał uronić ani słowa.

– Powiem wam, dlaczego musimy iść tak daleko – podjął cicho Johann. – Bo chcemy. I tyle. Bo tak zdecydowaliśmy. Chcemy odegrać rolę w końcu świata. Niewierni mają w swoim posiadaniu wszystkie święte miejsca, niewierni podbili największy kościół w Konstantynopolu i przy najważniejszym ołtarzu świata nie odprawia się już mszy. Musimy iść tam, gdzie Jezus Chrystus był dzieckiem, musimy iść w Jego ślady. Musimy być jak dzieci, które wchodzą do Królestwa Niebieskiego. On obiecał, że ci, którzy przyjdą do Niego jak małe dzieci, nie zostaną odtrąceni. My, Jego dzieci, pójdziemy do Niego, a On znowu pojawi się, jak obiecał, by osądzić żywych i umarłych, starych i młodych. I będziemy w Jerozolimie, będziemy dziećmi, które wchodzą do Królestwa Niebieskiego. Rozumiecie?

– Tak – przebiegło przez tłum.

Dzieci odpowiedziały bez namysłu, od razu, ale nawet starsi ludzie, nawet ci, którzy nigdy nie słyszeli takich słów, poddali się cichemu autorytetowi Johanna.

– Tak – powiedzieli.

Johann odrzucił głowę, złote loki opadły do tyłu, odsłaniając twarz. Chłopak rozejrzał się po zebranych.

Luca odniósł nagle niepokojące wrażenie, że przenikliwe błękitne oczy młodego kaznodziei patrzą właśnie na niego, jakby ten wiedział coś o nim, jakby chciał powiedzieć coś właśnie jemu.

– Tęsknisz za swoim ojcem – przemówił chłopak do tłumu. Luca, który miał zaledwie czternaście lat, gdy jego ojciec zniknął po osmańskim najeździe, drgnął i spojrział nad głowami dzieci na Izoldę, której ojciec zmarł zaledwie pięć miesięcy temu. Błada, wpatrywała się w Johanna jak zahipnotyzowana. – Czuję twój smutek. – W jego głosie zabrzmiała



czułość, a błękitne oczy znów przesunęły się po Luce i spoczęły na Izoldzie. – Nie pożegnał się z tobą – dodał łagodnie.

Izolda zagryzła wargę, walcząc z tym głębokim smutkiem, który nieustannie jej towarzyszył; z tłumu dobiegł cichy jęk, bo wiele osób straciło ojców – na morzu, z powodu choroby lub w wypadku. Iszrak, stojąca obok Izoldy, wzięła ją za rękę i poczuła jej drżenie.

– Widzę pana zamku, leżącego w kaplicy, zimnego i bladego... i syna, który kradnie jego miejsce – powiedział Johann. Izolda pobladła; chłopak opowiadał jej historię. – Widzę dziewczynę tęskniącą za ojcem i jego, wołającego ją na łożu śmierci. Ale nie pozwalali im się zobaczyć, a teraz ona go nie słyszy.

Luca stłumił okrzyk, który cisnął mu się na usta.

– Nic mu o niej nie mówiłem – szepnął do brata Piotra.

– Ani ja.

– To skąd wie?

– Widzę samotny katafalk w kaplicy – ciągnął Johann. – Ale nikt nie oplakuje mężczyzny, który odszedł. – Z tłumu dobiegł szloch kobiety, która osunęła się na kolana. Izolda stała nieruchomo jak posąg, zasłuchana w słowa młodzieńca. – Widzę córkę, wygnaną z domu i pragnącą wrócić.

Izolda spojrzała na przyjaciółkę.

– On mówi o mnie.

– Na to wygląda – przyznała ostrożnie Iszrak. – Ale to może dotyczyć wielu osób.

– Widzę dziewczynę, której nie było u boku umierającego ojca, której brat ukradł spadek, która wciąż pragnie wrócić do domu, znowu zobaczyć ojca – mówił Johann cichym, sugestywnym głosem. – I mam dobre wieści. Dobre wieści! Widzę tę młodą kobietę z sercem złamanym rozpaczą i mogę powiedzieć, że ona powróci. Powróci i znowu zajmie

swoje miejsce.

Izolda ścisnęła spokojną dłoń Iszrak.

– Słyszysz?

– Widzę więcej – kontynuował Johann. – Widzę młodzieńca, chłopca. Chłopca i jego zaginionego na morzu ojca. Och! Widzę, że ten chłopiec czeka i czeka na wybrzeżu, wypatrując żagli łodzi, która nigdy nie wróci.

Jakiś chłopak, niewidoczny w wielkim tłumie, załkał cicho; inni odpowiedzieli stłumionym płaczem. Najwyraźniej Johann trafił w sedno. Wiele osób rozpoznało się w tej wizji. Niektórzy prosili Boga o błogosławieństwo dla rodziny pozbawionej pana domu, ktoś pocieszał kobietę, cicho płaczącą za ojcem, który nie wróci z morza.

– Łatwo odgadnąć, że w porcie przytrafiają się takie historie – szepnęła Iszrak do Izoldy, która zgromiła ją spojrzeniem.

– Widzę chłopca... młodzieńca... który

dowiedział się, że jego ojca pojмали niewierni. Przybyli nocą na strasznych galerach i zabrali jego ojca, matkę i cały ich dobytek. Ten chłopiec chce się dowiedzieć dlaczego. Ten chłopiec chce się dowiedzieć jak. Ten chłopiec do końca życia będzie zadawać pytania.

Freize, który był przy Luce w klasztorze, gdy opat powiadomił chłopaka, że jego rodzice zaginęli po osmańskim najeździe, wymienił z nim spojrzenia.

– Dziwne – powiedział tylko.

– Młodzieniec, który stracił ojca w niewytłumaczalny sposób, będzie do końca życia zadawać pytania – powtórzył Johann.

Luca nie mógł oderwać oczu od młodego kaznodziei; miał wrażenie, że chłopiec mówi o nim, jakby znał go na wylot.

– Mogę odpowiedzieć na jego pytania – podjął Johann słodkim głosem, jakby znajdował się w transie. – Mogę odpowiedzieć temu chłopcu, który

pyta: „Gdzie jest mój ojciec?”, „Gdzie jest moja matka?”. Bóg zdradzi mi odpowiedź. Mogę ci powiedzieć, że usłyszysz swojego ojca. Mogę ci powiedzieć, jak usłyszeć jego głos. – Spojrzał na Izoldę, stojącą wśród miejscowych kobiet, ubraną tak jak one, z lśniącymi jasnymi włosami ukrytymi pod kapturem. – Mogę ci powiedzieć, jak odzyskać spadek i zasiąść na krześle ojca, które on ci przeznaczył. Mogę ci powiedzieć, jak wrócić do domu.

Izolda wydała stłumiony okrzyk; Luca z trudem powstrzymał się, by do niej nie podbiec.

– Chodź z nami – powiedział chłopiec cicho. – Chodź do Jerozolimy, gdzie martwi powstaną z grobów, a twój ojciec się z tobą spotka. Chodź ze mną, chodź z nami, a dotrzemy do Jerozolimy i świat się nie skończy, a twój ojciec położy ci rękę na głowie i jeszcze raz cię pobłogosławi, a ty poczujesz jego miłość i poznasz, że jesteś jego dzieckiem. – Izolda

plakała głośno, tak jak połowa obecnych. Luca przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło i nawet Freize otarł oczy pięścią. Johann odwrócił się do księdza. – Teraz się pomódlmy. Ojciec Benito wysłucha spowiedzi i odmówi z nami modlitwę. Czy mogę ci się wyspowiadać, ojczy?

Ksiądz, głęboko poruszony, skinął głową i odszedł w mroczne wnętrza kościoła. Ludzie uklękli tam, gdzie stali, i zamknęli oczy, zatopieni w modlitwie. Izolda padła na kolana na zakurzony bruk rynku; Iszrak stała obok niej, niemal jakby chciała strzec jej przed tym objawieniem, przed samą rozpaczą. Freize zerknął na nią, napotkał spokojne spojrzenie jej ciemnych oczu i zrozumiał, że sam także jest wstrząśnięty i zaskoczony tym, co usłyszeli.

– On wie rzeczy, o których mu nie mówiłem – szepnął gwałtownie Luca do brata Piotra. – Wie to, o czym mógł się dowiedzieć tylko w objawieniu. Mówił o mnie i o moim dzieciństwie. Mówił o pani Izoldzie,

a nawet jej nie zna. Nikt tu nic o nas nie wie.

– Może Freize... – Brat Piotr zawiesił głos.

Freize pokręcił głową.

– To nie ja zaproponowałem śniadanie chłopcu zebrzącemu koło przystani – oznajmił wyniośle. – I nie plotkuję. Nie powiedziałem do niego ani słowa, którego byście nie słyszeli. Jeśli pytacie mnie o zdanie, to uważam, że strzelił na chybił trafił i zobaczył, jak reagują ludzie.

– Płakałeś – zauważył Luca bez ogródek.

– Mówił tak pięknie, że zapłakałby nawet kamień! – odparł Freize. – Ale to, że doprowadził kogoś do płaczu, nie znaczy, że mówił prawdę.

– A to o osmańskim najeździe? – rzucił Luca. – To nie był strzał na chybił trafił. A to o Izoldzie wypędzonej z własnego zamku? Tu także nie zgadywał. Nie mógł tego w żaden sposób wymyślić, nie mógł się tego dowiedzieć. Nic o niej nie wiedział... nie wiedział o jej obecności! A jednak mówił o jej

ojcu, leżącym na zimnym katafalku, i o bracie, który okradł ją ze spadku.

– Wierzę, że jest natchniony – odezwał się brat Piotr, nie zważając na sceptycyzm Freize’a. – Ale spytam księdza o zdanie. Spytam, co mu powiedział Johann. – Zerknął w mroczne wnętrze kościoła, gdzie po jednej stronie rzeźbionej kraty z drewna klęczał ksiądz, a po drugiej Johann ze spuszczoną jasną głową, z szacunkiem szepczący słowa spowiedzi.

– Księdza obowiązuje tajemnica – zwrócił mu uwagę Luca. – To sprawa między grzesznikiem, kapłanem i Bogiem.

Brat Piotr przytaknął.

– Oczywiście. Ale ojciec Benito może mi coś zasugerować. I kiedy tylko z nim porozmawiam, wyślę raport do Rzymu. Sądzę, że nasz zwierzchnik zechce nam pomóc, niezależnie od tego, czy chłopiec jest wizjonerem, czy oszustem. To może być bardzo



ważne. To spontaniczna krucjata, pospolite ruszenie. Ma o wiele większe znaczenie niż narzucony pobór do wojska. Właśnie o to prosił papież, ale bezskutecznie. To może zmienić wszystko. W drodze przez Italię Johann może zebrać tysiące osób. Teraz, gdy widziałem, jak wygłasza kazanie, rozumiem, do czego jest zdolny. Mógłby stworzyć armię wierzących, a takiej nie da się powstrzymać. Nasz zwierzchnik będzie chciał, żeby uczestnicy krucjaty zostali nakarmieni i przewiezieni do Ziemi Świętej. Dopilnuje, żeby byli bezpieczni i uzbrojeni.

– Mówił o ojcach – ciągnął Luca, nie zwracając uwagi na plany brata Piotra. – Mówił o mnie i o moim ojcu. I o Izoldzie i jej ojcu. To nie ogólniki. To nie było zwykłe kazanie. On mówił o Izoldzie, o mnie... Wiedział o sprawach, o których mógł się dowiedzieć wyłącznie poprzez prawdziwe objawienie.

– Jest natchniony – zgodził się brat Piotr. – Może to prawdziwy wizjoner. Z pewnością ma dar

przemawiania... widziałaś, jak go słuchali?

Luca przedarł się przez rozmodlony tłum do Izoldy, która nadal klęczała, strzeżona przez Iszrak. Przeżegnała się i podniosła głowę, a wówczas podał jej rękę i pomógł wstać.

– Myślałem, że mówił o mnie – odezwał się schrypniętym głosem. – I o moim ojcu.

– Ja jestem pewna, że mówił o mnie – odrzekła.  
– Do mnie. Powiedział o tym, o czym mógł wiedzieć tylko ktoś mieszkający w moim zamku... albo natchniony przez Boga.

– Wierzysz mu?

Skinęła głową.

– Tak. Muszę. Nie mógłby tego odgadnąć. Mówił zbyt konkretnie, wymienił zbyt wiele szczegółów.

Luca podał jej ramię; oparła dłoń w zgięciu jego łokcia i zeszli razem wąskimi schodami do karczmy na nabrzeżu. Freize i Iszrak podążyli za nimi w sceptycznym milczeniu. Ruda koteczka dreptała

obok, nie odstępując Freize'a na krok.

– Nie widzę, żebyś płakała – odezwał się Freize do swojej towarzyszki.

– Nie płaczę z byle powodu – odparła.

– A ja buczałem jak dziecko – przyznał się. – Był poruszający. Ale nie wiem, co myśleć.

– To, co powiedział, pasowałoby wszędzie – oznajmiła Iszrak bez wahania. – We wszystkich portach mieszkają kobiety, które straciły ojców. Prawie w każdej wiosce spotka się kogoś, kto został pozbawiony spadku.

– Nie wierzysz, że Johann jest natchniony przez Boga?

Iszrak parsknęła śmiechem.

– Nie jestem nawet pewna, czy Bóg istnieje – odważyła się wyznać.

Freize uśmiechnął się do niej.

– Zatem naprawdę jesteś poganką?

– Matka wychowała mnie w wierze

muzułmańskiej, lecz przez całe życie mieszkałam wśród chrześcijan. Ojciec Izoldy, pan Lucretili, wychował mnie na uczoną, która kwestionuje wszystko. Nie wiem, w co wierzę.

Przed nimi Luca i Izolda rozmawiali cicho.

– Tęskniłem za ojcem bardziej, niż potrafię to wyrazić – rzekł Luca. – A matka... – Urwał. – Nie wiedziałem, że to takie straszne. Nie wiedziałem, co się stało, kiedy ich uprowadzono, i nadal nie wiem, czy żyją.

– To oni wysłali cię do klasztoru? – spytała Izolda.

– Uważali, że mam nadzwyczajne zdolności i że trzeba mi dać szansę, bym mógł się zająć czymś lepszym niż praca na roli. Oni sami mieli gospodarstwo, dzięki któremu żyliśmy dostatnio, ale gdybym je po nich odziedziczył i został w wiosce, nie zapuściłbym się poza wzgórze wokół domu. Po ich śmierci pracowałbym w gospodarstwie i przekazał je

potem swojemu synowi. A oni chcieli, żebym mógł studiować. Chcieli, żeby wychował mnie Kościół. Matka była przekonana, że zostałem wyróżniony przez Boga. Ojciec widział tylko, że lepiej od kupców orientuję się w liczbach i mówię w każdym obcym języku, ledwie go usłyszę. Powiedział, że trzeba mnie kształcić. Że to ich obowiązek.

– Ale jako nowicjusz mogłeś się z nimi spotykać?

– Tak. Przychodzili do kościoła prawie codziennie rano, a w niedzielę dwa razy, żeby tylko na mnie spojrzeć, niech ich Bóg błogosławi. Gdy byłem chórzystą, tak małym, że nie dosięgałem głową do balustrady stalli, stawali w głębi kościoła i mnie wypatrywali. Musiałem wejść na klęcznik, żeby ich dostrzec. Matka odwiedzała mnie co miesiąc i zawsze coś mi przynosiła, gałązkę lawendy albo parę jajek. Wiem, że za mną tęskniła. Byłem jej jedynym dzieckiem. Bóg jeden wie, jak ja tęskniłem za nią.

– Nie chciała zatrzymać cię w domu, pomimo

ambicji twego ojca? – spytała Izolda, myśląc, jakim musiał być cudownym chłopcem.

Luca zawahał się.

– To nie wszystko – wyznał po chwili. – Mieli jeszcze inny powód, żeby mnie odesłać. Widzisz... kiedy się urodziłem, byli już dość starzy. Od lat modlili się o syna, a Bóg nie dawał im dziecka, więc moje narodziny zdziwiły wiele osób z wioski.

– Naprawdę?

Bruk był śliski i Izolda zachwiała się nagle. Luca ją podtrzymał. Oboje zamarli, jakby wstrząśnięci tą bliskością, a potem ruszyli razem, bez trudu odnajdując wspólny rytm kroków.

– Szczerze mówiąc, było gorzej. Nie lubię o tym mówić. To był okropny czas. Wieśniacy mówili, że jestem dzieckiem demonów, podrzuconym moim rodzicom, a nie spłodzonym przez nich. Plotkowano, że rodzice znaleźli mnie na progu albo w lesie. Nazywano mnie o... o...

– Odmieńcem? – spytała bardzo cicho, świadoma jego bolesnego wstydu.

Skinął głową, jakby przyznawał się do zbrodni.

– To żaden wstyd – oznajmiła zdecydowanie. – Ludzie wygadują najgłupsze rzeczy, a ignoranci wolą wierzyć w magię zamiast w rozsądek.

– Wstydziliśmy się. W pobliżu naszego domu, na naszych ziemiach, rósł las zwany nawiedzonym. Ludzie mówili, że moja matka, rozpaczliwie pragnąc dziecka, poszła tam i oddała się przywódcy nadprzyrodzonych istot. Urodziła mnie i wmówiła mojemu ojcu, że jestem zwykłym chłopcem. A kiedy dorosłem i zacząłem się uczyć języków i pojmować cyfry w mgnieniu oka, wszyscy uznali to za dowód mojego nieludzkiego pochodzenia.

Izolda patrzyła na niego ze współczuciem.

– Ludzie potrafią być okrutni. Uważali cię za dziecko demona?

Luca odwrócił głowę i przytaknął w milczeniu.

– I dlatego rodzice cię odesłali? Bo byłeś tak zdolny? Tak utalentowany? Tak przystojny?

– Wtedy uważałem to za przekleństwo, nie dar. Stawałem przy ojcu, gdy siedział przed kominkiem, a on mnie obejmował, wyjmował z kieszeni monety i kazał mi obliczać, ile będzie miał, gdyby wydał ich połowę, jedną trzecią, gdyby połowę pożyczył i zarobił piętnaście procent, lecz drugą połowę stracił. A ja nigdy się nie myliłem. Po prostu widziałem odpowiedzi, jakby były zapisane w powietrzu, widziałem jarzące się kolorowo cyfry. Ojciec całował mnie w czoło i mówił: „Mój syn, mój mądry synek”, a matka odpowiadała: „O tak, to twój syn”, jakby ojciec potrzebował zapewnienia. A potem któregoś dnia do wioski przybyli obcy, wędrowna trupa Cyganów, i poszedłem wraz z innymi dziećmi, żeby ich zobaczyć. Słyszałem, jak rozmawiają ze sobą. Dzieci śmiały się z nich, ktoś rzucił w nich kamieniem, ale jeden Cygan spostrzegł, jak na nich patrzę, i powiedział coś do



mnie, a ja mu odpowiedziałem. Nauczyłem się ich języka w chwili, gdy go usłyszałem. I to był koniec. Następnego dnia znaleźliśmy gruby solny krąg wokół naszego domu oraz podkowy rozłożone od północy, południa, wschodu i zachodu.

– Co?

– Duchy i upiory boją się soli i żelaza. Mieszkańcy wioski myśleli, że w ten sposób mnie uwiężą. To przesądziło sprawę. Rodzice przestraszyli się, że ludzie otoczą nasz dom i go podpalą. – Wzruszył ramionami. – To się zdarza. Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. Owszem, szanowali mojego ojca. Ale nie miałem przyjaciół wśród dzieci. Nigdy nie byłem taki jak one. Nie umiałem z nimi rozmawiać. Nie pasowałem do nich. Byłem inny i nie mogliśmy tego dłużej ukrywać. Rodzice uznali, że przebywanie w wiosce stało się dla mnie zbyt niebezpieczne, więc wysłali mnie do klasztoru, żeby mnie ochronić.

– I tam odnalazłeś swoje miejsce? – spytała, myśląc o własnym pobycie w klasztorze, gdzie czułaby się bardzo samotnie, gdyby nie Iszrak, także obca w tym świecie.

Luca pokręcił głową.

– Freize mnie polubił – powiedział z uśmiechem.  
– Tylko on. Był posługaczem w kuchni i kradł jedzenie, żeby mnie odkarmić. A kiedy nauczono mnie czytać i liczyć, zacząłem zadawać pytania. –  
Znów wzruszył ramionami. – Nie mogłem się powstrzymać. Ale okazało się, że te pytania są herezją.

– A potem osmańscy łowcy niewolników pojмали twoich rodziców?

– Od tego czasu minęły cztery lata, ale nadal myślę o nich codziennie... muszę się dowiedzieć, czy przeżyli. Jeśli tak, muszę ich uratować. Zrobili dla mnie wszystko. Chcę ich znowu zobaczyć. A jeśli się spóźniłem i już nie żyją, pragnę oddać im cześć i

pochować ich jak należy. Jeśli Johann ma rację i w Jerozolimie powstaną z martwych, to czuję, że muszę z nim iść. To coś jak powołanie: święta powinność.

Izolda oblała się rumieńcem.

– Chyba nie myślisz o wyprawie do Jerozolimy?

Luca niechętnie skinął głową.

– Czuję, że powinienem wypełnić misję, którą mi powierzył mistrz, z błogosławieństwem papieża. Dopiero zacząłem... ale jeśli tylko dostanę pozwolenie zwierzchnika naszego zakonu, chcę tam wyruszyć. Tak czuję. Mam wrażenie, że Johann przemówił do mnie i obiecał mi, że w Jerozolimie spotkam rodziców. Czy może być coś wspanialszego niż to, że znowu ich zobaczę, nim skończy się świat?

Przybyli na nabrzeże i skręcili w stronę karczmy, idąc jak najwolniej, by przedłużyć czas spędzany razem.

– Ja też pójdę – powiedziała żarliwie Izolda. – Nie pojedę na Węgry, nie teraz, gdy to usłyszałam.

Noszę śmierć ojca jak ranę. To dla mnie straszne. Codziennie gdy się budzę, myślę, że jestem w swojej sypialni w Lucretili, a on żyje... i codziennie przypominam sobie, że on zmarł, a ja utraciłam dom i prawie straciłam samą siebie. Gdybym mogła go znowu zobaczyć! Choć raz... Poszłabym wszędzie, żeby zyskać taką szansę.

– Naprawdę sądzisz, że w Jerozolimie go zobaczysz? Wierzysz Johannowi?

– Kiedy mówił, byłam tego pewna, ale teraz... kiedy mnie pytasz... oczywiście już nie.

Stanęli razem: Izolda oparła rękę na jego ramieniu, mewy krzyczały nad ich głowami, a obok na kotwicy kołysały się łodzie. Błady księżyc zaczął się wspinać w mroku zimowego popołudnia, kładąc na morzu wstążkę srebrnego światła.

– Wiem, to brzmi nieprawdopodobnie. A jednak... jesteście tutaj, przysłani przez papieża, który wierzy, że koniec świata się zbliża. Sam Ojciec

Święty uważa, że dzień Sądu Ostatecznego nastąpi lada chwila. A wszyscy wiemy, że w tym dniu zmarli powstaną z grobów... – Urwała i położyła rękę na piersi, jakby chciała poczuć bicie swojego serca. Jakby jego miarowe tętno ją uspokajało. – Dlaczego to nie mogłaby być prawda? Wierzę, że Johann miał wizję. To musi być jakiś znak. Na pewno. Pójdę z nim do Jerozolimy i będę się modlić, żeby spotkać tam ojca wśród powstałych z grobów zmarłych i żeby mi wybaczył, że go zawiodłam. I by powiedział mi, jak mogę wrócić do domu.

Poruszony jej smutkiem Luca wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, a potem – śmieiej – musnął wierzchem dłoni gładką linię jej brody. Poczuł, że Izolda zadrżała pod jego dotykiem. Przez chwilę stała zupełnie nieruchomo, po czym odsunęła się, mruknąwszy coś niezrozumiałego.

– Dlaczego mówisz, że go zawiodłaś? – spytał Luca bardzo cicho.

– Brat oznajmił mi, że ojciec nie chce, żebym widziała go w bólu i agonii. Uwierzyłam i modliłam się w kaplicy, a ojciec umarł samotnie. Kiedy zrozumiałam, że brat mnie okłamał i zagarnął mój spadek, przestraszyłam się, że okłamał i ojca. A jeśli powiedział mu, że nie chcę do niego przyjść? Nie mogę znieść tej myśli.

Jej głos zdławiło łkanie. Odkaszlnęła.

– Dlaczego zaufałaś bratu? – spytał Luca łagodnie. – Dlaczego od razu mu się nie sprzeciwiłaś?

Piękne wargi Izoldy drgnęły w gorzkim grymasie.

– Wychowano mnie na damę. A dama powinna być ponad kłamstwo i podstęp, powinna być godna zaufania i honorowa. Dama odgrywa swoją rolę w świecie z godnością i spodziewa się, że mężczyzna postępuje tak samo. Wierzyłam, że mój brat jest człowiekiem honoru, synem wielkiego pana, wychowanym na równie dobrego człowieka, jakim był mój ojciec. Długo nie mogłam uwierzyć, że to

złodziej. I długo nie potrafiłam zrozumieć, że muszę wybrać własne życie, znaleźć własną drogę. Że nie mogę ufać jego honorowi. Nie mogę czekać, aż ktoś mnie uratuje.

Ruszyli powoli, równym krokiem, w stronę karczmy. Izolda trzymała Lucę pod ramię.

– Naprawdę myślisz, że twój ojciec powstanie z martwych? – spytał z zaciekawieniem.

– Nie wiem, jak to możliwe, ale teraz nie potrafię przestać o tym myśleć. Jak Johann mógł na mnie spojrzeć i opisać mojego ojca? Czy mógłby mówić o katafalku w kaplicy, gdyby Bóg nie użyczył mu swoich oczu? Musi wiedzieć rzeczy niepoznane, widzieć to, na co my jesteśmy ślepi.

Zatrzymali się przed otwartymi drzwiami karczmy. Nie mogli dłużej przeciągać tego spaceru. Luca ujął dłonie dziewczyny.

– Dziwne, że oboje jesteśmy sierotami – powiedział.

Izolda spojrzała na niego ciepło.

– Chciałabym cię pocieszyć – szepnęła.

Luca nabrał tchu.

– A ja ciebie.

Stali, ściskając sobie dłonie. Iszrak i Freize zatrzymali się z tyłu, patrząc na nich.

– Czy zgodziłabyś się uważać mnie za swojego przyjaciela? – spytał Luca bardzo cicho.

Nie wahała się ani przez chwilę.

– Oboje jesteśmy sami na tym świecie – powiedziała. – Pragnęłabym mieć przyjaciela równie stałego jak mój ojciec, cierpliwego i wiernego jak on.

– A ja pragnę przyjaciółki, z której mógłbym być dumny – odrzekł cicho Luca. – Może nigdy nie przedstawię cię mojej matce. Może nie żyje od wielu lat, ale wierzę, że gdybyście się spotkały, polubiłaby cię... – Urwał, nagle przypomniawszy sobie o ślubach. Prawie wyrwał rękę z jej ciepłego uścisku. – Oczywiście nie mogę myśleć o niczym więcej niż



przyjaźń. Mam zostać księdzem. Ślubowałem czystość.

– Jeszcze nie złożyłeś ostatecznych ślubów – szepnęła.

Spojrzał na nią jak na kusicielkę.

– Nie złożyłem – przyznał. – Nie ograniczają mnie żadne więzy. Zamierzałem zostać księdzem... zanim... – Zamilkł, nim zdążył powiedzieć: „zanim poznałem ciebie”.

\* \* \*

Tłum zebrany przed kościołem szedł wolno. Jednak słowa kaznodziei były tak zdumiewające, że wszyscy wciąż zastanawiali się nad ich znaczeniem.

Brat Piotr czekał cierpliwie, aż Johann skończy się spowiadać. Wreszcie młodzieniec wstał, przeżegnał się, z szacunkiem skłonił się księdzu i przeszedł przez kościół, by uklęknąć na schodach prezbiterium, z głową opartą o bogato rzeźbioną

ściankę osłaniającą krucyfiks. Tylko księża mieli prawo zbliżyć się do ołtarza.

Stojący w nawie brat Piotr rozejrzał się i widząc, że nikt go nie obserwuje, podszedł do konfesjonału. Po drugiej stronie ażurowej ściany siedział ksiądz.

– Ojczy, potrzebuję twojej porady – zaczął brat Piotr, składając ręce, lecz najwyraźniej bez zamiaru wyznawania grzechów.

Ksiądz modlił się, pochylony nad różańcem. Dłonie mu się trzęsły. Ledwie zdołał podnieść głowę.

– Nie mogę ci nic powiedzieć.

– Nie ma nic ważniejszego.

– Zgadza się. To najważniejsze. Nigdy nie słyszałem o niczym ważniejszym.

– Muszę spytać...

Ksiądz opanował się i usiadł prosto.

– Ach, chcesz wiedzieć, czy ten chłopiec naprawdę ma wizje – domyślił się.

– Muszę to wiedzieć. Nie jest to zwykły

pastuszek, za którym poszła garstka zwolenników. To staje się ogromną krucjatą. Jeśli dotrą do Ziemi Świętej, wszystko może się zmienić. Muszę donieść mistrzowi, który doradza Ojcu Świętemu, czy to prawdziwa krucjata. Jeśli ten młodzieniec jest szarlatanem, muszę to wiedzieć natychmiast, musimy się przygotować. Jeśli jest świętym, to jeszcze ważniejsze... musimy dowiedzieć się o nim wszystkiego. Przed chwilą ci się wypowiadał. Twoja opinia ma wielką wagę.

Ksiądz spojrział przez kratę na wielkiego dostojnika z Rzymu.

– Mój synu, doprawdy nie mogę ci pomóc.

– Chodzi o dobro samego Kościoła. Rozkazuję ci przemówić.

– Nie mogę.

– Ojcze, nie pytam o szczegóły, nie żądam złamania tajemnicy spowiedzi. Daj mi tylko ogólne pojęcie: czy grzeszy jak śmiertelnik? Bo jeśli

spowiadał się jak głupi, niewykształcony chłopak, który ma dar przemawiania do tłumu, lecz nic poza tym, to jest oszustem, porywającym ludzi do wielkiej misji, i tak go potraktujemy. Co roku pojawiają się dziesiątki takich jak on, a my radzimy sobie z nimi dla dobra Kościoła i chwały bożej. Pomóż mi zdecydować, co należy zrobić z tym chłopcem.

Ksiądz zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, źle mnie zrozumiałeś. Nie odmawiam ci pomocy. Chodziło mi o to, że nie mogę ci nic powiedzieć. On się nie spowiadał.

– Odmówił spowiedzi? – zdumiał się brat Piotr.

– Nie! Nie! Nie miał się z czego spowiadać. – Ksiądz spojrzał mu prosto w oczy. – Otóż to. Nie łamię tajemnicy spowiedzi, bo żadnej spowiedzi nie było. Nie mam czego sugerować, czego pomijać milczeniem jako tajemnicę grzesznika. Johann przyszedł do mnie, przystąpił do spowiedzi, a ja nie znalazłem żadnego grzechu. Nie dałem mu pokuty,

bo nie miał za co pokutować.

– Nikt nie żyje bezgrzesznie – zauważył sucho brat Piotr.

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Wypytywałem go, lecz nie doszukałem się żadnego grzechu.

– Duma – rzucił brat Piotr, myśląc o kazaniu Johanna, o setkach słuchających go osób i o tym, jak sam by się czuł, gdyby wygłaszał takie przemowy i nawoływał ludzi, by opuścili domy i przemierzili cały chrześcijański świat. – Uważa się za narzędzie Boga – powiedział z namysłem.

– Nie jest dumny – odparł ksiądz. – Poddałem go próbie i mam pewność. Nie przypisuje sobie zasług. Choć prowadzi setki ludzi, nie szczyli się tym. Mówi, że wie dzie ich Bóg, a on kroczy u Jego boku.

– Łakomstwo. – Brat Piotr przypomniał sobie, że chłopak zjadł obfite śniadanie.

– Je wtedy, gdy nakazuje mu Bóg, zależnie od

tego, czy Bóg zsyła im jedzenie, czy nie. Często pości, ponieważ wierzy, że Bóg chce, by głodował jak biedacy. Na ogół chodzi głodny, bo nie mają wiele pożywienia, a tym, co mają, dzielą się sprawiedliwie. Nie dziwi mnie, że jadł wiele przy waszym stole. Sądził, że Bóg zesłał mu te potrawy, a więc ma obowiązek je zjeść. Czy odmówił modlitwę?

– Tak.

– Czy podziękował wam za gościnność?

– Tak – przyznał niechętnie brat Piotr.

– W takim razie czego jeszcze od niego wymagasz?

Brat Piotr wzruszył ramionami.

– Je, gdy Bóg mu tak nakaze. Cierpi pragnienie, gdy jest to wolą bożą. Potem Bóg go zwalnia, by mógł wykonywać Jego dzieło.

– Czy kusi dzieci? Czy zwabia je, choć powinny pozostać w domu? Czy możemy nazwać go złodziejem? Czy pragnie mieć wyznawców?

– Mówi, że wykonuje wolę Boga. Pytałem go o dzieci. Mówi, że ponieważ został powołany przez Boga, grzechy go opuściły, bo jest narzędziem, nie człowiekiem. Kieruje się tylko wolą bożą, nie ludzkimi popędami. Wypytywałem go szczegółowo, a on odpowiadał bez wahania. Przekonał mnie. Myślę, że może być kandydatem na świętego. Przez wszystkie lata słuchania spowiedzi nigdy nie rozmawiałem z młodym człowiekiem, którego życie byłoby tak czystą kartą. Nigdy bym się tego nie spodziewał. Żaden kapłan nie mógłby nawet marzyć o czymś takim.

– Pożądanie? – nie ustępował brat Piotr, myśląc o zwykłych grzechach młodych mężczyzn.

– Powiedział, że nigdy nie zaznał bliskości z żadną kobietą, i ja mu wierzę.

– Czy to możliwe? – spytał brat Piotr, któremu zaczęło kręcić się w głowie. – Nieskalany młodzieniec? Całkiem niewinny?

– Bracie... wierzę mu. Jeśli mi pozwoli, jeśli biskup się nie sprzeciwi, pójdę z nim.

– Ty?

– Wiem, pewnie wydaję się śmieszny. Jestem tylko skromnym proboszczem, który w dostatku roztył się i rozleniwił. Ale ten chłopiec wie, że nadchodzi koniec świata. Podał mi na to dowody. Takie, o jakich napisano w Biblii. Nie nauczono go tego, lecz poznał je dzięki objawieniu. Mówi, że musimy się znaleźć w Jerozolimie, jeśli chcemy zostać zbawieni. Wierzę, że Bóg powiedział mu o końcu świata. Zamknę plebanię i pójdę z dziecięcą krucjatą do Jerozolimy, jeśli dostanę na to pozwolenie. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Brat Piotr wstał; w głowie nadal mu wirowało.

– Muszę wysłać raport.

– Powiedz im. Powiedz tym w Rzymie, że na naszych oczach wydarza się cud. Cud w tej mieścinie,



tuż przed nami, gromadą przyziemnych głupców. Dziękuję Bogu, że było mi to dane zobaczyć. Dziękuję Bogu, że do tego grzesznego domu przybył Johann Dobry, by poprowadzić mnie do Jerozolimy.

\* \* \*

Brat Piotr i Luca wspólnie spisali raport. Freize znalazł stajennego, który zgodził się wyruszyć w długą podróż do Avezzano.

– Pojedziesz starą rzymską drogą – wyjaśnił Freize chłopcu, któremu przekazano cenny list. – Dobrze ją widać, nie zgubisz się.

– Na miejscu udasz się do kościoła Świętego Pawła i spytasz o proboszcza – pouczył go brat Piotr. – Powie ci, że nazywa się ojciec Józef. Oddasz mu ten list, a on wyśle go dalej.

Luca patrzył, jak brat Piotr składa kartkę na pół i zapala cienką świeczkę od ognia na kominku. Ze skrzynki z przyborami do pisania wyjął wosk do

pieczęci i przytrzymał go nad świecą. Szkarłatne krople skapnęły na kartkę w trzech miejscach. Brat Piotr sięgnął po sygnet, który nosił zawieszony na szyi, i przycisnął go do zastygającego wosku. Na czerwonej masie pozostał obrazek – taki sam jak tatuaż na ramieniu mężczyzny, który przyjął Lucę do tajnego zakonu: smok pożerający swój ogon.

– Zostaniesz tam – mówił dalej brat Piotr do chłopaka, który patrzył na te przygotowania w takim osłupieniu, jakby widział alchemika wytwarzającego złoto. – Zostaniesz na noc i na następny dzień. Na plebanii otrzymasz pożywienie i nocleg. Wieczorem pójdziesz znowu do kościoła, spotkasz się z ojcem Józefem, a on da ci list dla mnie. Weźmiesz go, dobrze schowasz i przywieziesz mi, nie czytając. Rozumiesz?

– On nie umie czytać – zauważył Freize. – A więc o to możesz być spokojny. My, służący, o niczym nie mamy pojęcia. Chłopak nie pozna twoich tajemnic,

nawet nie przyjdzie mu do głowy, że mógłby złamać pieczęcie. Ale pojmuję, co mówisz. Ma dość rozumu.

Brat Piotr niechętnie wręczył list Luce, który zerknął na pieczęcie, po czym przekazał go chłopcu. Ten dotknął czoła palcami, jakby salutował, i wyszedł.

– Co to za symbol? Ten na pieczęci? – spytał Luca. – Widziałem go na ręce człowieka, który przyjmował mnie do zakonu.

– To symbol organizacji, którą znasz pod nazwą Zakonu Ciemności – powiedział cicho brat Piotr. Zaczekał, aż Freize zamknie za sobą drzwi, a potem podwinął rękaw sutanny i pokazał spłowiały symbol wytatuowany na ramieniu. Spojrzał na zaskoczonego Lucę. – Wyblakł, bo tak długo go noszę – wyjaśnił. – Przyjęto mnie, gdy byłem młodszy od ciebie. Złożyłem śluby niemal jako dziecko.

– Nikt mi nie kazał nosić tego symbolu na skórze – powiedział Luca z niepokojem. – Nie wiem,

czybym się zgodził.

– Jesteś tylko uczniem. Kiedy przeprowadzisz wystarczająco wiele dochodzeń i wystarczająco wiele się nauczysz, gdy staniesz się wystarczająco mądry i wnikliwy, wówczas może zostaniesz zaproszony do zakonu.

– Przez kogo?

Brat Piotr tylko się uśmiechnął.

– To tajny zakon. Nawet ja nie wiem, kto w nim służy. Wysyłam raporty mistrzowi, a on śle je Ojcu Świętemu. Znam ciebie i dwóch innych inkwizytorów, z którymi służyłem. Poza tym nie znam nikogo. Szukamy oznak działalności Boga i Szatana i ostrzegamy przed końcem świata.

– I tylko się bronimy? – spytał przebiegle Luca. – Czy także atakujemy?

– Postępujemy zgodnie z rozkazami – odpowiedział gładko brat Piotr. – Czy się bronimy, czy atakujemy, jesteśmy posłuszni zakonowi.

– A ten, którego nazywasz mistrzem... Czy to on zabrał mnie z mojego klasztoru do Zamku Świętego Anioła? To on ze mną rozmawiał, powierzył mi tę misję i wysłał mnie na naukę?

– Tak.

– Czy to zwierzchnik zakonu?

– Tak.

– Znasz jego imię?

W odpowiedzi brat Piotr pokazał Luce spoczywające w jego kasecie z przyborami do pisania czyste karty raportów, już zaadresowane i gotowe, by je wysłać. Na wszystkich widniało tylko jedno słowo: „Pilne”.

– Bez żadnego imienia?

– Bez.

– A mimo to list do niego trafi? Tak po prostu? Wystarczy pieczęć ze smokiem? Nie trzeba nazwiska ani adresu?

– List dotrze do niego, jeśli chłopiec odda go ojcu

Józefowi z Avezzano.

– Ten ojciec Józef... proboszcz kościoła Świętego Pawła... należy do naszego zakonu?

– Nie nosi imienia Józef. I nie jest proboszczem z Avezzano. Ale jeśli chłopiec odda mu list, on go otworzy, zobaczy pieczęć zakonu i prześle wiadomość do mistrza. Bezzwłocznie. Żaden z nas nie zwleka z przekazaniem raportu. Wiemy, jak wielkie może mieć znaczenie. Mogą to być wieści o samym końcu świata.

– A zatem skoro w takim małym miasteczku jak Avezzano przebywa człowiek, który wcale nie ma na imię Józef, a który rozpozna pieczęć i wie, dokąd skierować list, zapewne w całej Italii jest wielu takich ludzi?

– Tak. To prawda.

– I w całej Francji? Hiszpanii? W całym świecie chrześcijańskim?

– Nie wiem, ilu ich jest – powiedział ostrożnie

brat Piotr. – Znam tych, których muszę znać, żeby przekazywać raporty mistrzowi i otrzymywać od niego rozkazy. Gdy opuszczam Rzym w sprawie nowego dochodzenia, mówi mi, na kim w danej okolicy mogę polegać, o kogo pytać w napotkanych kościołach.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do jadalni zajrzał Freize.

– Pojechał. Dałem mu mojego konia, Rufina, a chłopak obiecał, że zawiezie twój list, poczeka na odpowiedź i wróci. Niełatwo było go przekonać. Połowa mieszkańców zaklina się, że wyruszy z krucjatą, i on także chciał iść.

Brat Piotr wstał.

– Zrozumiał, do którego kościoła ma dotrzeć i o kogo pytać?

– Tak, i zaczeka tam na odpowiedź z Rzymu.

– Powiedziałeś mu, że nie może zawieść?

– To dobry chłopak. Da z siebie wszystko. A

Rufino to świetny koń i na pewno znajdzie drogę.

– Bardzo dobrze. Możesz odejść – zezwolił brat Piotr, ale Freize oparł się o drzwi i spojrzał na Lucę.

– Tośmy wdepnęli – powiedział tylko. – I to jak. Potem wziął na ręce koteczkę i wyszedł.

\* \* \*

Natchnieni przez Johanna Dobrego ludzie wrócili do swoich domów i gospodarstw i opowiedzieli o nim przyjaciołom i sąsiadom. Następnego dnia do Piccolo przyszło jeszcze więcej osób, które przyniosły jedzenie, wino i pieniądze dla dziecięcej krucjaty i chciały posłuchać kazania Johanna. A on znowu stanął na schodach kościoła i obiecał im, że jeśli pójdą z nim do Jerozolimy, spotkają się z utraconymi bliskimi. Byli to ludzie, którzy wcześniej stracili rodziców lub pierworodne dzieci; kiedy Johann mówił im o zmartwychwstaniu umarłych, szlochali tak rozpaczliwie, jakby po raz



pierwszy oplakiwali ich śmierć. Izolda i Iszrak stały na rozpalonym słońcem rynku wśród pospólstwa. Luca, brat Piotr i ksiądz przystanęli w drzwiach kościoła, słuchając uważnie.

– Wróćcie do domu – powiedział Johann, zaskakując tych ludzi, którzy bez wyjątku urodzili się i wychowali w promieniu piętnastu kilometrów i których domy były najbardziej odrażającymi budami.

– Wróćcie do swojego prawdziwego domu. Do Jerozolimy. Do Betlejem. – Skierował wzrok na Iszrak, ubraną skromnie niczym dama na pielgrzymce; kaptur skrywał jej twarz, suknia sięgała do kostek, a brązowe stopy ze srebrnymi pierścionkami na palcach były osłonięte mocnymi butami do konnej jazdy. – Wróćcie do Akki, wy, którzy urodziliście się, czując smak mleka i miodu. Wróćcie tam, gdzie wasza matka po raz pierwszy ujrzała świat. Wróćcie do kraju swojej matki.

Iszrak drgnęła i spojrzała na Izoldę.

– Czy on mówi o mnie? – spytała szeptem. – Czy jemu naprawdę chodzi o Akkę, piękne arabskie miasto, mój dom?

– Słyszę, jak matka cię woła – powiedział Johann. – Słyszę, jak woła cię przez morze.

– Słyszę ją! – krzyknęła jakaś kobieta. – Słyszę mamę!

– Gdy dotrzemy do Jerozolimy i Pan wyciągnie do nas ręce, skończą się smutki, skończy się opłakiwanie. Wtedy sierota znajdzie swoją matkę, a dziewczyna pozna swego ojca. – Zerknął na Iszrak. – Wtedy dziewczyna, która przez całe życie przebywała wśród obcych, znowu będzie wśród swoich. Ogrzeje cię słońce, które zobaczyłaś, gdy po raz pierwszy otworzyłaś oczy. Poczujesz smak owoców swojej ojczyzny.

– Skąd on wie? – szepnęła Iszrak do Izoldy. – Skąd wie, że urodziłam się w Akce? I że matka obiecała mi, iż pewnego dnia wrócimy do domu? On

rzeczywiście słyszy głos Boga. Wątpiłam w to, ale musi to być prawdziwe objawienie.

Ludzie wokół nich płakali i napierali na chłopaka, pytając go o swoje rodziny; jakaś kobieta błagała, by powiedział, że jej syn, utracone dziecko, jest w niebie i że znowu go zobaczy. Johann wyciągnął rękę, by go nie popychano, a wtedy ludzie w pierwszych rzędach padli na kolana i złożyli dłonie jak przed świętym obrazem noszonym na ramionach podczas procesji.

– Chodźcie z nami – powiedział chłopak. – Chodźcie i sami zobaczcie, jak w ten cudowny dzień Sądu Ostatecznego wasze dzieci, ojciec i – jego błękitne oczy znowu odnalazły Iszrak – matka wezmą was za rękę i przywitają w waszym domu.

Iszrak zrobiła krok naprzód, jakby nie mogła się powstrzymać, niczym we śnie.

– Mój ojciec? Moja matka? – szepnęła.

– Czekają na ciebie. – Johann mówił tylko do

niej cicho, ale z pewnością siebie, co brzmiało o wiele bardziej przekonująco, niż gdyby krzyczał, co czyniła większość kaznodziejów. – Utraceni bliscy czekają na ciebie. Ojciec, którego imienia nie znasz, matka, która umarła, nie zdradziwszy go. Będzie tam i wtedy ci powie. Zobaczysz ich razem, a oni uśmiechną się do ciebie, swojej córki. Wszyscy powstaną. A teraz – dodał cicho – wypowiadam się i pomodłę. Niech was Bóg błogosławi.

Bez słowa ruszył do kościoła, a brat Piotr i Luca ustąpili mu z drogi. Ojciec Benito poszedł w głąb nawy, by uklęknąć obok tego niezwykłego proroka. Otworzył lektorium i zaprowadził Johanna na stopnie ołtarza, gdzie mieli wstęp tylko namaszczeni przez Boga. Uklękli obok siebie, skromny kapłan i chłopiec, który mógł być świętym.

\* \* \*

Dziewczęta zastały Lucę w prywatnej jadalni,

zajętego rozmową z bratem Piotrem.

– Podjęliśmy decyzję – oznajmiła Izolda. – Iszrak jest równie pewna jak ja. Prorok Johann przemówił także do niej. Nie jedziemy do Chorwacji. Nie jedziemy na Węgry.

Luca nawet się nie zdziwił.

– Idziecie do Jerozolimy? Na pewno? Obie? Chcecie iść z Johannem? – Spojrzał na Iszrak. – I akurat ty chcesz dołączyć do chrześcijańskiej krucjaty?

– Muszę – powiedziała, niemal wbrew własnej woli. – Przekonał mnie. Początkowo myślałam, że to sztuczka. Myślałam, że mógł rozmawiać z ludźmi, żeby znaleźć to, co najlepiej do nich dotrze, podchwycić plotki i wpleść je w swoją przemowę tak, żeby wyglądało to na przepowiednię. Widywałam wróżki czytające z kuli i z ręki, które w ten sposób naciągały naiwnych. To łatwe: mówisz coś na chybił trafił, a jeśli ci się poszczęści i ktoś zapłaci, wiesz

już, że jesteś na dobrym tropie i możesz drążyć dalej. Ale to coś innego. Wierzę, że on ma prawdziwe wizje. Wierzę, że wie. Przemawiał do Izoldy, a dziś do mnie, i powiedział rzeczy, o których nie wie nikt w tym mieście. Mówił o mnie tak, jak nawet nie ośmielałam się myśleć. To nie może być przypadek. Uważam, że to wizja. I że wszystko, co widzi, jest prawdą. – Spuściła wzrok, żeby nie patrzeć Luce w oczy, i odkaszlnęła. – Mówił o mojej matce – dodała cicho. – Umarła, nie wyjawiając mi imienia ojca. Umarła, mówiąc o Akce, swoim mieście, w którym mnie urodziła. To także wiedział.

– My też wierzymy w jego dar widzenia – odezwał się Luca. – Wspólnie z bratem Piotrem napisaliśmy raport do Rzymu. Czekamy na odpowiedź. I spytałem, czy możemy pójść z Johannem.

– Naprawdę? – szepnęła Izolda.

– Do mnie również przemówił – przypomniał jej

Luca. – Mówił o moim ojcu, o uprowadzeniu przez osmańskich łowców niewolników. O tych sprawach nie wie nikt z wyjątkiem dwóch osób, którym się zwierzyłem: Freize'a i ciebie. Nie opowiadałem nikomu innemu. Freize raz wspomniał o tym bratu Piotrowi, ale nikt tutaj nie wie o nas nic więcej ponad to, że razem pielgrzymujemy i że mam błogosławieństwo Ojca Świętego. Johann nie mógł niczego usłyszeć od plotkarzy. A zatem dowiedział się o tym w sposób nadprzyrodzony. Muszę założyć, że to, co mówi, jest prawdą: że istotnie kieruje nim Bóg.

– Nie masz żadnych pytań? – spytała Iszrak, lekko się uśmiechając. – Myślałam, inkwizytorze, że zawsze je masz. Sądziłam, że nie potrafisz ich powstrzymać.

– Mam ich wiele – przyznał ze śmiechem Luca. – Dziesiątki. Ale w tej chwili na podstawie tego, co widziałem, wierzę Johannowi. Ufam mu.

– Ja także – odezwał się brat Piotr. – Odpowiedź

powinna przyjść z Rzymu pojutrze. Myślę, że otrzymamy polecenie, by dołączyć do dziecięcej krucjaty i pomagać jej w drodze.

Oczy Iszrak załśniły.

– Powiedział, że powinnam wrócić do domu – odezwała się. – Nigdy nie myślałam o Ziemi Świętej jako o moim domu. Nauczono mnie, że jest nim zamek Lucretili; teraz jednak wszystko nagle zaczęło wyglądać inaczej.

– Ale ty się nie zmienisz? – spytała Izolda nieśmiało. – Nie zmienisz swoich uczuć do mnie? Nawet kiedy spotkasz w Akce swoją rodzinę?

– Nigdy – odrzekła Iszrak. – Ale znaleźć się w kraju matki i usłyszeć jej język! Poczuć żar słońca, o którym mi opowiadała! Rozejrzeć się i zobaczyć ludzi o takiej skórze jak moja, w takich strojach jak mój, zrozumieć, że gdzieś tu jest moja rodzina, rodzina mojej matki. Może nawet jest tam mój ojciec...

– Zwracał się do ciebie, jakbyś była chrześcijanką



i miała ujrzeć dzień Sądu Ostatecznego tak jak my – zauważył brat Piotr.

– Matka zawsze powtarzała, że wszyscy jesteśmy ludem Księgi – odparła Iszrak. – Wszyscy czcimy tego samego Boga: żydzi, chrześcijanie i muzułmanie. Mamy jednego Boga, tylko różnych proroków.

– Twoja matka mogła się bardzo mylić – powiedział brat Piotr łagodnie. – A to, co mówisz, jest herezją.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Moja matka pochodziła z Akki, z kraju, gdzie Jezusa uważa się za proroka, lecz na pewno nie Boga. Mieszkała ze mną w Granadzie, w kraju chrześcijan, żydów i muzułmanów. Na własne oczy widziałam synagogę stojącą obok kościoła i meczetu. Widziałam ludzi różnych wyznań, którzy pracowali, czytali i modlili się obok siebie. Nazywają to *La Convivencia*, co oznacza życie w harmonii z innymi ludźmi bez względu na ich religię. Bo wrogiem nie jest człowiek,

który wierzy w Boga; wróg to ignorancja i ludzie, którzy nie wierzą w nic i niczego nie cenią. Powinieneś to już wiedzieć, bracie Piotrze.

\* \* \*

Trzy dni po wysłaniu wiadomości do Rzymu Freize, stojąc przed małym kościółkiem, ujrzał na zboczu wzgórza swego konia Rufina, który zbliżał się ku bramom. Zawołał go, a koń podniósł łeb i zastrzygł uszami, rżąc z radości na dźwięk znajomego głosu, po czym pocwałował ku niemu. Freize ujął cugle i sprowadził konia po stromych schodach do nadbrzeżnej karczmy. Na dziedzińcu pomógł zsiąść zmęczonemu chłopcu, przejął od niego zapieczętowany list i schował go pod kamizelkę.

– Dobrze się sprawiłeś – pochwalił chłopaka. – A tutaj nic cię nie ominęło. Było mnóstwo modlitw, obietnic i planów, ale dziecięca kruczjata nadal przebywa w mieście i jeśli mama ci pozwoli, choć

raczej w to wątpię, możesz z nimi wyruszyć. Idź więc i posil się kolacją. – Następnie odwrócił się do Rufina. – A teraz zajmijmy się tobą – powiedział do niego czule.

Zaprowadził wyczerpanego konia do stajni, zdjął mu siodło i wędzidło i wytarł go garścią słomy, nieustannie do niego przemawiając. Chwalił go, że pokonał tak długą drogę, i obiecywał mu dobry wypoczynek. Delikatnie oklepał jego zmęczone mięśnie, a potem wyszczotkował srokatą sierść, aż załśniła. Gdy się upewnił, że w boksie znajduje się mały zapas siana i wody, wziął rudą koteczkę śpiącą w żłobie i poszedł do karczmy.

– Oto twoja odpowiedź – oznajmił.

Wręczył zapieczętowany list Luce, który siedział w jadalni z bratem Piotrem, studiując przepowiednie zapisane w manuskryptach, pieczołowicie zwiniętych w zwoje, oraz w Biblii, leżącej na stole przed nimi. Dziewczęta szyły w milczeniu, siedząc na ławeczce

przy oknie, przez które wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Luca złamał pieczęcie i rozłożył list na stole, tak by móc go przeczytać równocześnie z bratem Piotrem. Freize i dziewczęta czekali.

– Pozwala nam iść – rzucił Luca bez tchu. – Mistrz pisze, że możemy udać się z Johannem do Jerozolimy.

Dziewczęta uścisnęły sobie dłonie.

– Pisze, że muszę słuchać kazań Johanna i... – Urwał, a oczy mu przygasły. – I wypatrywać wszelkich oznak herezji lub przestępstwa, badać wszystko, co chłopak mówi, i składać raporty biskupowi rejonu, w którym się znajdziemy, jeśli wyda mi się, że Johann powiedział coś niezgodnego z naukami Kościoła. Muszę przeprowadzić dochodzenie, czy nie zawarł on paktu z diabłem, i baczyć, czy nie dopuszcza się bezbożności. Jeśli dostrzegę coś podejrzanego, muszę natychmiast

donieść na niego władzom kościelnym, które go pojną. – Spojrzał na brata Piotra. – To nie śledztwo, tylko donosicielstwo.

– Nie, przeczytaj dokładnie. – Brat Piotr wskazał list. – To część naszego zwykłego dochodzenia. Mamy iść z Johannem i szukać światła bożego we wszystkich jego czynach, by stwierdzić z całą pewnością, czy jego powołanie jest prawdziwe, a także wypatrywać wszelkich oznak mówiących, iż rzeczywiście jest on prorokiem dnia ostatniego. Jeśli dostrzeżemy jakiś podstęp lub fałsz, mamy o tym donieść, lecz jeśli uznamy, że Johann naprawdę słyszy głos Boga i jest posłuszny Jego rozkazom, mamy mu pomagać i udzielać wsparcia. Ojciec Święty przyśle pieniądze i broń, by dzieci mogły dotrzeć do Ziemi Świętej. My mamy doprowadzić je do Bari, gdzie sam nasz zwierzchnik dopilnuje, by czekało na nie odpowiednio wiele statków, które przewiozą nas na Rodos. Tam zajmą się nami

szpitalnicy. Ich obowiązkiem jest kierować pielgrzymów do Ziemi Świętej. Papież uprzedzi ich, że mają się spodziewać nadzwyczajnie wielkiej liczby przybyszy, a potem... Kto wie, co zrobią szpitalnicy, by ochronić taką armię dzieci?

– Czy wasz mistrz nie wierzy, że morze rozstąpi się przed dziećmi? – spytał Freize. – Przecież taki mają plan. Na co wam statki? Po co szpitalnicy? Czy Bóg nie uczyni cudu?

Brat Piotr podniósł głowę, zirytowany i tym, że mu się przerywa, i sarkastycznym tonem chłopaka.

– Bóg zadbał o te dzieci – rzucił niecierpliwie. – Oczywiście, jeśli nastąpi cud, mamy o tym zaraportować.

– Nie będę go szpiegował ani na niego donosił – oznajmił porywczo Luca.

Brat Piotr wzruszył ramionami.

– Twoim zadaniem jest prowadzenie dochodzenia. Szukaj Boga, szukaj Szatana. W końcu

po co zostałeś zatrudniony?

Rzeczywiście, Luca zgodził się prowadzić dochodzenia we wszelkich możliwych sprawach.

– No dobrze – podsumował. – Będziemy się czujnie przyglądać wszystkiemu. Nie doniosę na Johanna, ale będę go bacznie obserwować. Powiem mu, że wyruszamy z nim i zapłacimy za statki.

– Czy mistrz przyśle pieniądze na pożywienie dla dzieci? – spytał Freize słodkim głosem.

– Oto listy do księdza i innych kościołów, i klasztorów po drodze – odrzekł brat Piotr, pokazując mu owe pisma. – Mistrz poleca w nich przygotować pożywienie i wydać je dzieciom. Jego Świątobliwość zadba o ich dobro.

– A więc zaniosę to do kościoła – powiedział Freize. – To zapewne ważniejsze niż opieka szpitalników, którzy, jeśli dobrze słyszałem, są doprawdy dziwną kompanią.

– To rycerze, oddani służbie Bogu i strzeżeniu

pielgrzymów zmierzających do Jerozolimy –  
oznajmił twardo brat Piotr. – Wszystko, co robia,  
przyczynia się do zwycięstwa chrześcijaństwa w  
Ziemi Świętej.

– Raczej mordercy, którzy znaleźli dobry  
pretekst, by zabijać w imię Boga – mruknął Freize,  
wychodząc.

\* \* \*

Luca znalazł Johanna siedzącego na drewnianym  
słupie na nabrzeżu. Chłopak spoglądał w morze.

– Mogę z tobą porozmawiać? – spytał Luca.

– Oczywiście. – Johann uśmiechnął się ze zwykłą  
słodyczą. – Słuchałem fal i zastanawiałem się, czy  
usłyszę głos Boga. Ale On przemawia do mnie wtedy,  
gdy sam chce.

– Napisałem o tobie do zwierzchnika naszego  
zakonu, a on rozmawiał z Ojcem Świętym.

Johann skinął głową, choć nie wydawał się



szczególnie przejęty wzmianką o wielkich ludziach.

– Ojciec Święty kazał mi zaprowadzić cię do Bari. Tam będą czekać na was statki, którymi dopłyniecie do Rodos. Do Jerozolimy pomogą wam dotrzeć szpitalnicy.

– Kto to?

Luca uśmiechnął się, rozbawiony niewiedzą chłopca.

– Może w Szwajcarii o nich nie słyszano. To zakon rycerski, który pomaga pielgrzymom przedostać się do Ziemi Świętej i z niej powrócić. Opiekuje się ludźmi, którzy zachorowali, i wspiera podróżnych. Są oni także żołnierzami i bronią pielgrzymów przed napaścią niewiernych. To potężny i znaczny zakon, a jeśli roztoczy nad wami opiekę, pozostaniecie bezpieczni. Będziecie mieli zapewnioną ochronę, jedzenie i leczenie. Ziemia Święta znajduje się w rękach niewiernych, którzy czasem napadają na pielgrzymów. Po drodze będziecie potrzebować

przyjaciół. Szpitalnicy będą was strzec.

Chłopiec przyjął te informacje obojętnie.

– Bóg się o nas troszczy – powiedział. – Jak zawsze. Nie potrzeba nam żadnej innej pomocy. Nie masz na świecie lepszego przyjaciela i opiekuna niż On.

– Tak – przyznał Luca. – I może w ten sposób wam pomaga: swoim Rycerskim Zakonem Szpitalników. Czy pozwolisz, bym zaprowadził was do Bari, gdzie razem wejdziemy na pokład statków przysyłanych przez Ojca Świętego? Do Ziemi Świętej jest daleko.

Johann spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nie przejdziemy całej drogi piechotą? Nie zaczekamy, aż morze się rozstąpi?

– Mistrz zakonu mówi, że tak radzi Ojciec Święty. Przysłał mi listy, które możemy pokazywać w klasztorach i opactwach, jakie napotkamy po drodze, a także w domach pielgrzyma, gdzie dostaniemy

jedzenie dla dzieci.

– Oto jak Bóg nad nami czuwa – zauważył Johann. – Tak jak obiecał. Pójdiesz z nami aż do Jerozolimy, Luco Vero?

– Chciałbym, jeśli pozwolisz. Podróżuję z damą i jej służącą i one także chciałyby nam towarzyszyć. Zabiorę swojego służącego Freize'a i mojego skrybę brata Piotra.

– Oczywiście, że wszyscy mogą pójść – zgodził się Johann. – Jeśli Bóg was powołał, musicie usłuchać. Czujesz Jego wezwanie czy też podlegasz rozkazom ludzi?

– Kiedy mówiłeś o chłopcu pozbawionym ojca, byłem pewien, że to mnie opisujesz – wyznał Luca nieśmiało, z oporem wyjawiając swoją najgłębiej skrywaną troskę. – W dzieciństwie straciłem rodziców i nie wiem, gdzie są ani nawet, czy żyją. Uwierzyłem ci, gdy powiedziałaś, że zobaczę ich w Jerozolimie. Naprawdę tak myślisz?

– Ja to wiem – odrzekł chłopak z cichą pewnością siebie.

– Zatem mam nadzieję, że zdołam ci pomóc w tej podróży, bo moją synowską powinnością jest pójść z tobą.

– Jak sobie życzysz, bracie.

– A gdybyś miał wątpliwości co do swojego powołania... – dodał Luca i poczuł się jak Judasz, kusząc chłopca, by ten się zdradził – możesz mi się zwierzyć. Jeszcze nie jestem księdzem... byłem nowicjuszem, gdy wezwano mnie z klasztoru i powierzono tę misję... ale mogę z tobą rozmawiać i ci doradzać.

– Nie mam żadnych wątpliwości – odparł Johann, uśmiechając się do niego łagodnie. – To ty je masz, bracie. Wątpieś w powołanie do służby zakonnej, a teraz wątpisz w swoją misję. Wątpisz w swoje instrukcje, wątpisz w zwierzchnika swojego zakonu i wątpisz nawet w to, co teraz mówisz.

Sądysz, że nie słyszę kłamstw w twoich słowach i wątpliwości w twojej głowie?

Luca oblał się rumieńcem.

– Nie wątpiłem, kiedy słuchałem twojego kazania. Mój ojciec został uprowadzony, gdy miałem czternaście lat. Pragnę go znowu zobaczyć. Matkę także zabrano. Ciągłe widuję we śnie ich oboje i dzieciństwo, które z nimi spędziłem. Czasem nie mogę znieść tego, że ich straciłem, i myśli, że mogą cierpieć. Nie potrafiłem ich wtedy ocalić. Teraz także jestem bezradny.

Johann milczał przez chwilę. Jego świetliste błękitne oczy mierzyły twarz Luki uważnym spojrzeniem.

– Zobaczysz ich – rzekł łagodnym głosem. – Zobaczysz ich znowu, wiem to.

Luca położył rękę na sercu, jakby przytrzymywał rozpacz, która się z niego wyrywała.

– Modłę się o to.

– A ja modłę się za ciebie – odrzekł Johann. – Jutro o świcie wyruszamy.

– Do Bari? – upewnił się Luca. – Zgodzisz się, bym był twoim przewodnikiem?

– Jeśli Bóg pozwoli – powiedział Johann radośnie.

\* \* \*

Iszrak i Izolda pakowały nieliczne stroje do juków, szykując się do podróży. Izolda splotła jasne włosy w warkocz.

– Myślisz, że gospodyni przyśle nam gorącą wodę i balię?

Iszrak pokręciła głową.

– Już pytałam. Właśnie wygotowuje naszą bieliznę, ale jest z tego bardzo niezadowolona. Swoje rzeczy pierze raz na miesiąc. Kąpią się tu raz na rok, w Wielki Piątek. Omal nie zemdlą, kiedy poprosiłam o więcej wody do mycia.

Izolda roześmiała się głośno.

– Nie! To co zrobimy?

– Za zachodnią bramą jest małe jeziorko, chłopiec stajenny powiedział mi, że pływa tam latem. Zdołasz się umyć w zimnej wodzie?

– Lepsze to niż nic – zgodziła się Izolda. – Idziemy?

– Zanim słońce zajdzie – powiedziała Iszrak, drżąc. – I czy się to spodoba naszej gospodyni, czy nie, będzie mi musiała dać ręczniki i nasze czyste ubrania.

\* \* \*

Dziewczęta dyskretnie upewniły się, że Luca rozmawia z Johannem na nabrzeżu, Freize pomaga w kuchni, a brat Piotr czyta księgi w jadalni, po czym wymknęły się po kamiennych schodkach na plac targowy i dalej, do zachodniej bramy.

– Zamykam o zmroku! – zawołał strażnik.

– Wrócimy wcześniej – odpowiedziała Iszrak. –  
Wychodzimy tylko na spacer.

Mężczyzna pokręcił głową nad osobliwymi  
obyczajami dam, przepuścił je i zajął się chłopcem  
stajennym, który nadszedł z karczmy.

– Nie powinienes pracować?

– Mam wolne popołudnie – odrzekł chłopak.

– Zamykam...

– O zmroku! – bezczelnie dokończył łobuziak. –  
Wiem. Wszyscy wiemy.

\* \* \*

Jeziro było okrągłe jak niecka fontanny, ukryte  
w ciemnej zieleni lasu i osłonięte kręgiem  
strzegących je drzew. Trawa sięgała aż do miękkiego  
piasku na brzegu, a przejrzysta woda miała z sześć  
metrów głębokości.

– Jakie piękne – powiedziała Izolda.

– I zimne – zauważyła Iszrak, spoglądając na



wodę mroczniejszą pośrodku.

– To lepiej szybko wskakuj! – Izolda roześmiała się, zdjęła suknię i lnianą halkę i odziana tylko w lekką koszulkę, wzięła rozbieg i skoczyła radośnie do wody. Krzyknęła, zanurzyła się, a potem wypłynęła ze śmiechem; złote włosy falowały wokół jej ramion. – Chodź! Chodź! Jest cudownie!

Iszrak w sekundę rozebrała się do naga i weszła do wody, drżąc i zaplatając ręce na piersi. Izolda podpłynęła do niej, odwróciła się na plecy i nogą rozbryzgała wodę, ochlapując towarzyszkę.

– Au! Zimno! Zimno!

– Zrobi się ciepło, kiedy się zanurzysz – odparła Izolda.

Wzięła przyjaciółkę za ręce i pociągnęła ją do siebie. Iszrak krzyknęła, przeszyta zimnem, po czym skoczyła na głębszą wodę, ścigając Izoldę, która odwróciła się i popłynęła najszybciej, jak umiała.

Pluskały się niczym dwa delfiny, skacząc i

obracając się w wodzie, aż ze śmiechu zabrakło im tchu. Wtedy Iszrak podpłynęła do brzegu, gdzie zostawiły ubrania, i podała Izoldzie kawałek zwykłego ługowego mydła.

– Wiem – powiedziała, kiedy Izolda prychnęła z rozczarowaniem. – Ale innego nie mieli. Za to mam olejek do włosów.

Izolda stanęła w wodzie po kolana i cała się namydliła, po czym przekazała mydło Iszrak, zanurzyła się w jeziorze i wyszła na brzeg. Zdjęła mokrą koszulkę i otuliła się czystym ręcznikiem, a gdy Iszrak, umyta i opłukana, wyszła z jeziora, szcękając zębami, podała jej drugi ręcznik.

Ciepło otulone, rozczesały sobie mokre włosy i wygładziły je różanym olejkiem od czubka głowy po same koniuszki. Potem Izolda odwróciła się plecami do Iszrak, która splotła jej złote loki w warkocz i sama stanęła do niej tyłem. Izolda zwinęła jej ciemne włosy w kok na karku.

- Co za elegancja – powiedziała z zadowoleniem.
- Co za marnotrawstwo – mruknęła Iszrak, naciągając kaptur na głowę. – Kto na mnie patrzy?
- Ale przynajmniej wiemy, że jesteśmy czyste i mamy ułożone włosy. Jutro wybieramy się w długą podróż i kto wie, kiedy znowu się umyjemy.
- Mam nadzieję, że następnym razem woda będzie gorąca – odrzekła Iszrak. Wzięły węzełki z rzeczami i ruszyły drogą. – Pamiętasz Granadę? Mauretańskie łaźnie z parą, gorącą wodą i ogrzаныmi ręcznikami?

Izolda westchnęła.

- A w łaźni dla kobiet była staruszka, która wyszorowała nas mydłem, opłukała wodą różaną, potem umyła nam włosy i rozczesła...
- Oto cywilizacja – rzuciła Iszrak z uśmiechem.
- Może w Akce...?
- Na pewno. Następnym razem wykąpiemy się w przyzwoitej mauretańskiej łaźni w Akce!

\* \* \*

Dziewczęta wróciły do gospody niezauważone, w samą porę na kolację. Luca uznał, że nie może jechać konno, kiedy dzieci idą pieszo. Postanowił maszerować z nimi aż do Bari. Iszrak i Izolda przyznały mu rację; brat Piotr wyraził zgodę. Tylko Freize zauważył, że młode kobiety nie zdołają zawędrować tak daleko, nie opadając z sił, i że jeśli zamierzają podróżować razem z dziećmi, oznacza to, że będą jeść tak jak one – czyli rzadko i mało. Czy zamierzają się żywić żytnim chlebem i wodą ze strumieni? Czy damy będą spać w stodołach i na polu? I jak oni zamierzają przetransportować akcesoria potrzebne inkwizytorom: przenośne biurczko brata Piotra, manuskrypty ze źródłowymi tekstami, Biblię, sakiewkę? Jak chcą nieść bagaże obu dam: ubrania i buty, grzebienie, lusterka, małe buteleczki z pachnidłami? Może ich dążenie do

ubóstwa zostanie zaspokojone, jeśli będą szli pieszo jak prosty lud, ale Freize pojedzie na koniu, prowadząc cztery inne i osła z jukami. Czy to nie jest odgrywanie pielgrzymki i udawanie biedaków? I dlaczego to ma być bardziej świątobliwe?

– Chyba możemy iść z nimi za dnia, a w nocy zatrzymywać się w domach pielgrzymów lub oberżach? – spytała Izolda.

– Odejść i zostawić ich śpiących w szczerym polu? – zdziwił się Freize. – I dołączać do nich rano, gdy już się dobrze wyśpicie i najecie? I nie zapominajmy o chorobach. Któraś z was niemal z całą pewnością dostanie gorączki, a wtedy albo zostanieie, albo wszyscy będziemy musieli z wami zostać i nikt nigdzie nie pójdzie.

– On ma rację. To idiotyczne. Nie możecie iść aż tak daleko – powiedział Luca do Izoldy.

– Nie mogę na to pozwolić – oznajmił Freize pompatycznie.

– Umiem chodzić! – rzuciła Izolda z urazą. – Potrafię dotrzymać kroku dzieciom. Nie boję się niewygody.

– Złapiesz wszy – uprzedził ją Freize. – I pchły. Nie jest to piękne umartwienie ciała, które wspominałabyś z dumą. To brud, ukąszenia, szczury i choroby. I długie, męczące dni, gdy będziesz kuśtykać niczym staruszka, z obolałymi kośćmi i stopami otartymi do krwi.

– Jestem zdecydowana iść do Ziemi Świętej, Freize.

– Będziesz miała odciski na stopach – ostrzegł ją. – I nigdy już nie włożysz pięknych bucików.

To był ostateczny argument. Izolda zamilkła.

– Będziesz śmierdzieć – dobił ją Freize. – I obsypią cię pryszczami.

– To nie jest kaprys, to wizja, Freize – odparła. – Jestem pewna, że ojciec chciałby, żebym poszła. Iszrak także podjęła decyzję. Idziemy. Nic nas nie

powstrzyma.

– A łódź płynąca do Bari? – rzucił Freize od niechcienia.

– Co?

– Popłyńcie statkiem. Możemy nim przewieźć konie, bagaże i damy, a my, trzech mężczyźni, pójdziemy z dziećmi i będziemy im pomagać, tak jak nam rozkazano. Damy dotrą na miejsce bez wysiłku, znajdą się tam przed nami, wynajmą pokój w gospodzie i zaczekają na nas. – Spojrzał na zawziętą minę Izoldy. – Pani, moja najdroższa pani, i tak czeka cię wędrówka w skwarze i brudzie, gdy dotrzemy do Ziemi Świętej. Nie myśl, że wymigujesz się od wysiłku. Doczekasz się niewygód. Jeśli chcesz się wlec w palącym żarze i rozpaczliwym udręczeniu, co chwila atakowana przez szaleńców w turbanach, rozdrapując do krwi ukąszenia pcheł, sypiając w piasku z kobrami pod głową, twoje pragnienia zostaną spełnione. Ale zrób to w Ziemi Świętej. Nie

ma żadnej chwały w pielgrzymowaniu przez Italię.

– Właściwie – odezwał się brat Piotr – jeśli damy dotrą do Bari przed nami, mogą się upewnić, czy statki już czekają. Będziemy iść... czy ja wiem... trzy, może cztery dni. – Spojrzał na młode kobiety. – Jeśli zechcecie popłynąć statkiem, mógłbym dać wam papieskie listy uwierzytelniające. Przygotujecie jedzenie dla dzieci i upewnicie się, że przysłano odpowiednio dużo statków. Bardzo byście nam pomogły.

– Będziecie działać na korzyść pielgrzymki, a nie uciekać przed trudnościami – podkreślił Luca. – To ważne.

– No, nie wiem... – powiedziała z wahaniem Izolda.

– Może nie zdołają tego dokonać same – wtrącił Freize. – Mógłbym im towarzyszyć. Opiekować się nimi.

Luca spojrział na niego z ukosa.



– Ty także chcesz popłynąć łodzią?  
– Żeby pomóc. I strzec ich.  
– Znaleźć się na pokładzie i uciec przed długim, trudnym marszem.

– Dlaczego nie, skoro jako bezbożnik nie mam do tego przekonania? Skoro przez moje grzeszne wątpliwości mógłbym osłabić waszą wiarę? Lepiej, żebym się do tego nie mieszał. Z krucjatą powinni iść tylko ci, którzy mają wizję.

– No dobrze – ustąpił Luca. – Izoldo, razem z Iszrak i Freize'em popłyniesz na Bari, zabierając nasze konie. Spotkamy się za trzy dni. Freize, będziesz dbać o bezpieczeństwo dziewcząt i znajdziesz statki, którymi dzieci popłyną na Rodos, uzgodnisz cenę i zanieziesz papieskie listy do księdza i lichwiarzy.

– Chcę iść z wami – sprzeciwiła się Izolda.  
– A ja nie – oznajmiła szczerze Iszrak. – Freize ma rację. Na miejscu dość się nachodzimy.

– A zatem uzgodnione – powiedział brat Piotr. Otworzył przenośne biurczko i wyjął z niego papieskie listy. – Dostaniecie za to kredyt u bankierów z Bari. Niewątpliwie będą to Żydzi, ale uszanują godność papieża. Postarajcie się uzyskać dobre warunki. To niegodziwi ludzie. Mają krew na rękach i nigdy jej nie zmyją.

Iszrak wzięła listy i schowała je w rękawie.

– A jednak polegasz na ich uczciwości i odpowiedzialności – zauważyła cierpko. – Wysyłasz im list i spodziewasz się, że na jego podstawie otrzymasz kredyt. Wiesz, że uznają władzę papieża i pożyczą wam pieniądze. To nie jest niegodziwość. Mnie się wydaje raczej uczynnością. Sam papież im ufa, oni wykonują pracę, na jaką im pozwalacie, i robią to dobrze i starannie. Dlaczego nazywasz ich niegodziwymi?

– To poganie i innowiercy – oznajmił brat Piotr twardo.

– Jak ja?

– Ty służysz chrześcijance – odrzekł, nie podejmując jej wyzwania. – Poza tym wiem, że jesteś wierną towarzyszką.

– Jak kobiety mojej narodowości. Jak inni niewierni.

– Być może. Dowiemy się więcej, kiedy dotrzemy do Ziemi Świętej.

Izolda zadrżała z radości.

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Ani ja – powiedziała Iszrak z uśmiechem.

\* \* \*

Rankiem po śniadaniu dziewczęta, z głowami skromnie osłoniętymi kapturami, wyszły z gospody i skierowały się na nabrzeże, gdzie Freize wnosił bagaże na pokład statku, który miał ich przetransportować na południe, do Bari. Luca i brat Piotr poszli z nimi. Skryba niósł cenne rękopisy,

zaszyte w naoliwionej owczej skórze dla ochrony przed wilgocią, a do pleców przytroczył sobie skrzynkę z przyborami do pisania. Na nabrzeżu, pełnym wracających z połowu łodzi rybackich, Freize wprowadzał na statek osła i pięć koni.

Z nabrzeża na statek przerzucono szeroki i mocny trap. Pierwsze trzy konie przeszły po nim bez sprzeciwu. Kolejny – wierzchowiec brata Piotra – zatrzymał się i próbował się cofnąć. Freize położył mu rękę na szyi i szepnął do niego parę cichych słów, a potem odpiął sznur, na którym go prowadził, żeby zwierzę poczuło się swobodniej. Brat Piotr krzyknął i rozejrzał się, szukając pomocników do okiełznania konia, ale Luca pokręcił głową.

– Zaraz – powiedział. – On wie, co robi.

Koń stał przez chwilę spokojnie, czując, że jest uwalniany. Freize ponownie dotknął jego szyi i ruszył po trapie, zostawiając zwierzę samo. Koń zastrzygł uszami, obserwując Freize'a, a potem ostrożnie

poszedł za nim, stukając kopytami po drewnie trapu. Gdy zstąpił na pokład, Freize poklepał go, pochwalił cicho, a potem znowu przypiął sznur i zaprowadził konia do zagrody na pokładzie.

– One go kochają – zauważył Luca, stając za dwiema młodymi kobietami. – Naprawdę. Wszystkie zwierzęta mu ufają. To dar. Taki sam miał święty Franciszek z Asyżu.

– Czy w kieszeni ma kotkę? – spytała Iszrak.

Luca parsknął śmiechem.

– Nie wiem. Wcale bym się nie zdziwił.

– Zdaje mi się, że karmił bezpańskie kocię i nosił je przy sobie – powiedziała. – Wczoraj w jadalni przełożyłam jego kubrak i coś w nim pisnęło.

Izolda także się roześmiała.

– To rude kocię, znalazł je kilka dni temu. Nie wiedziałam, że nadal je hołubi.

Freize wrócił ze statku.

– Macie małą kajutę z piecykiem – oznajmił

dziewczętom. – Powinno wam być wygodnie. Przewidują dobrą pogodę, a więc dotrzemy na miejsce za parę godzin.

– Mamy wejść na pokład? – zwróciła się Izolda do Luki.

Kapitan stał na pokładzie, wykrzykując rozkazy. Marynarze szykowali się do rzucenia cum. Dzieci z kruczaty patrzyły na te przygotowania obojętnym wzrokiem.

– Niech je Bóg błogosławi – powiedziała Izolda, stojąc jedną stopą na pokładzie. Ścisnęła dłoń Luki. – I ciebie. Zobaczymy się w Bari.

– To tylko parę dni – szepnął. – Lepiej, że popłyniecie statkiem, choć będzie mi ciebie brakowało. Nie zawiodę cię. Wkrótce się znowu spotkamy.

– Cumy rzuć! – krzyknął kapitan. – Wszyscy na pokład!

Brat Piotr przekazał Freize'owi skrzynkę z

manuskryptami i cenną kasetę z przyborami do pisania. Izolda odwróciła się, żeby wejść na trap, kiedy nagle poczuła pod stopami drzenie nabrzeża. Przez chwilę wydawało jej się, że to statek uderzył o nie burtą, poruszając wielkie kamienne płyty; chwyciła się balustrady trapu. Ale potem nastąpił drugi wstrząs i basowy pomruk, tak potężny, a jednocześnie stłumiony, że dziewczyna ze strachu chwyciła Iszrak za rękę i rozejrzała się wokół. Rozległ się gwałtowny chlupot; o brzeg uderzyło tysiąc małych fal, jakby wzburzonych nagłym porywem wichru, choć morze było spokojne.

Dzieci czekające na nabrzeżu poderwały się, a kiedy pod ich stopami zatrzęsła się ziemia, najmłodsze zaczęły krzyczeć ze strachu.

– Ratunku! Ratunku!

– Co to było? – spytała Izolda. – Słyszeliście? Ten dziwny odgłos?

Iszrak potrząsnęła głową.

– Nie wiem. To coś dziwnego.

– Mój Zbawiciel żyje! – wykrzyknął Johann.

Wszyscy na niego spojrzeli. Chłopak był spokojny. Z uśmiechem rozłożył ramiona. – Słyszycie głos Boga? Czujecie dotyk Jego świętej ręki?

Luca podszedł do dziewcząt.

– Lepiej wracajcie do gospody... – zaczął. – Tu dzieje się coś złego...

Potężny odgłos rozległ się ponownie, niczym jęk, tak niski i tak blisko, że wszyscy spojrzeli w pogodne niebo, choć nie było na nim burzowych chmur – a potem w dół, na morze, na którym pojawiły się drobne wzburzone fale.

– Bóg do nas przemawia! – zawołał Johann głosem, który bez trudu wznosił się ponad okrzyki przestraszonych dzieci. – Słyszycie Go? Czy słyszycie, jak mówi przez trzęsienie ziemi, wichur i ogień? Niech będzie błogosławione Jego imię. On wzywa nas, byśmy mu służyli. Słyszę Go. Słyszę Go!



– Słyszę Go! – powtórzyły dzieci chórem. –  
Słyszę Go!

– Trzęsienie ziemi? – spytała Izolda. –  
Powiedział: trzęsienie ziemi, wichur i ogień?

– Lepiej zaczekajmy w gospodzie – powiedziała  
Iszrak z niepokojem. – Nie wchodźmy na pokład.  
Schowajmy się. Jeśli nadchodzi burza...

Izolda odwróciła się, by ruszyć do gospody, gdy  
nagle jedno z dzieci krzyknęło:

– Patrzcie!

Wszyscy spojrzeli w stronę, w którą wskazywało  
– ku schodom nabrzeża, gdzie o najniższe stopnie  
fale uderzały w niespokojnym rytmie. Na ich oczach  
działo się coś niezwykłego. Woda zaczęła się cofać z  
niespotykaną prędkością, jak wezbrana rzeka,  
szybsza niż jakikolwiek odpływ. Mokry stopień  
wysechł na mocnym słońcu, następny wyłonił się  
spod fal. Po chwili pojawiły się zielone wodorosty i  
kolejne schodki, aż do samego dna przystani. Woda

spływała po schodach niczym rwący wodospad. Stopnie, których nikt nie widział od czasów starożytnych, gdy je wyciosano, schły pod wpływem powietrza, a morze cofało się gwałtownie, jakby uciekało, odsłaniając tajemnice swoich głębin, które raz jeszcze stały się suchym lądem.

Był to dziwny, hipnotyzujący widok. Brat Piotr stanął w tłumie na nabrzeżu. Morze odsłaniało coraz więcej dna. Konie na pokładzie rżały z przerażenia, gdy statek osiadł ciężko w mule przystani. Łodzie zawisły na cumach przy murze nabrzeża, a zakotwiczone dalej, osiadły i przechyliły się na bok. Ciężkie kotwice zaryły się w szlamie, teraz już nieprzydatne.

– Wyciągnął Mojżesz rękę nad morze, a Pan cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc i uczynił morze suchą ziemią i wody się rozstały!<sup>2</sup> – zawołał Johann do tłumu. Rozległy się okrzyki radości, dzieci płakały ze

strachu, a on przeszedł między nimi, by stanąć na brzegu przystani i spojrzeć na dno morza, gdzie w szlamie pełzały kraby, a leżące w kałużach ryby trzepały bezsilnie ogonami. – Wyciągnął Mojżesz rękę nad morze, a Pan cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc i uczynił morze suchą ziemią i wody się rozstały! – powtórzył. – Widzicie, Bóg uczynił z morza suchą ziemię, specjalnie dla nas. To droga do Jerozolimy!

Izolda wsunęła lodowate palce w dłoń Luki.

– Boję się.

Luce dech zaparło z przejęcia.

– Nigdy nie widziałem nic podobnego. Nawet mi się nie śniło, że coś takiego może się wydarzyć! On to zapowiedział, ale nie mogłem w to uwierzyć.

Iszrak spojrzała z lękiem na Izoldę.

– To cud twojego Boga? – spytała. – Czy On to zrobił? Na naszych oczach?

Na pokładzie osiadłego w mule statku konie i

osioł stawały dęba, szarpiąc więzy. Freize chodził wśród nich, starając się je uspokoić, lecz one miotały głowami i łomotały kopytami o deski przepierzeń. Drewniany trap osunął się jednym końcem w dół, wraz ze statkiem. Raptem trzasnął i złamał się, a jego części spadły w szlam.

– Cicho, moje skarby, spokojnie! Uspokójcie się!  
– wołał Freize do koni. – Już po wszystkim. Nic się nie wydarzy, nie ma się czego bać, jestem pewien. Uspokójcie się, a za chwilę was stąd zabiorę.

– Chodźcie za mną! Za mną! – zawołał Johann i ruszył po kamiennych schodach. – To nasza droga, to droga do Jerozolimy! Oto droga dla nas uczyniona!

Dzieci podążyły za nim bez wahania, przejęte i gotowe na przygodę. Ktoś z tyłu zaczął śpiewać kantyk Simeona: „Teraz, o Władco, pozwalasz odejść słudze Twemu w pokoju według Twego Słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów...”.

– Bóg wskazuje nam drogę! – krzyknął Johann.  
– Bóg nas prowadzi do Ziemi Obiecanej. Uczynił morze suchym, byśmy mogli dojść do Ziemi Świętej!

– Idziemy z nim? – zwróciła się Izolda do Luki, drżąc z nadziei i strachu. – Czy to naprawdę cud?

Luca miał oczy rozświetlone uniesieniem.

– Nie do wiary! Ale to prawda. Johann powiedział, że przejdzie suchą stopą do Jerozolimy, i oto morze cofa się przed nim!

Dzieci śpiewały niczym tysięczny chór, schodząc po stopniach przystani. Niektóre zeskakiwały, ze śmiechem lądując po kostki w mule. Brodziły wśród gęstych, mokrych wodorostów, muszelki chrzęściły im pod stopami, a one kroczyły ręka w rękę, ramię w ramię, dziesiątki, setki, wymijając uziemione łodzie i stare wraki, ku ujściu przystani, gdzie morze nadal się przed nimi cofało, coraz dalej i dalej, ku horyzontowi, o wiele szybciej, niż one szły, jakby tworzyło przejście specjalnie dla

nich, korytarz prowadzący aż do Palestyny.

– Chyba powinniśmy iść – zdecydował Luca z łomoczącym sercem. – Chodźmy. To prawdziwy cud. Johann powiedział, że morze się rozstąpi, i tak się stało.

Podszedł do schodów. Brat Piotr ruszył za nim.

– Wierzysz, że to prawda? – krzyknął Luca, a jego brązowe oczy zapłonęły uniesieniem.

– To cud – potwierdził skryba. – Cud, a ja chcę to zobaczyć! Chwalmy Pana!

– Co robicie? – spytała zaniepokojona Iszrak. – Zwariowaliście?

– Muszę to zobaczyć – rzucił Luca przez ramię, wpatrzony w cofające się morze. – Muszę zobaczyć nowy ląd. Johann prowadzi dzieci do Jerozolimy. Muszę to zobaczyć.

Freize, stojący na osiadłym na dnie statku, usiłował uspokoić konie. Sięgnął do kieszeni i nagle wrzasnął z bólu. Kieszeń jego kurtki miotła się i

falowała. Freize wyciągnął z niej zakrwawioną rękę. Spróbował znowu i wyjął z kieszeni rudą koteczkę, zjeżoną, syczącą i przerażoną. Jej zielone oczy świeciły obłąkańczo. Szarpnęła się dziko w jego dłoni. Freize pozwolił jej zeskoczyć na pokład, a ona popędziła, zwinna jak małpka, po napiętej cumie na brzeg i do gospody. Ale nie wpadła w otwarte drzwi, tylko wspięła się po winorośli porastającej ścianę wokół futryny i dotarła na dach. A potem wdrapała się jeszcze wyżej, na komin. Dopiero tam, na najwyższym punkcie w całej przystani, zatrzymała się, skrobiąc pazurkami po terakotowych płytkach i wrzeszcząc z przerażenia.

– Nie! – krzyknął nagle Freize.

Jego głos, donośny i przerażony, wzniósł się ponad śpiew dzieci. Chłopak przeskoczył przez burzę i wylądował ciężko w szlamie. Ślizgając się na wodorostach, dobrnął do najniższego stopnia przystani i chwycił się pierścienia cumowniczego,

żeby się nie przewrócić. Wdrapał się niezdarnie na górę, gdzie Luca – rozpromieniony, natchniony, niemal jak w transie – właśnie zaczął schodzić. Freize zderzył się z nim, złapał go wpół, zaciągnął z powrotem na nabrzeże i pchnął w stronę karczmy.

– Chcę zobaczyć... – Luca usiłował się wyrwać z jego rąk. – Freize, puszczaj! Idę! Idę z nimi!

– To niebezpieczne! Niebezpieczne! – wybełkotał Freize. – Kotka wie. Konie wiedzą. Niech nas Bóg chroni. Wydarzy się coś strasznego. Wracajcie do gospody, na strych, na dach, jeśli zdołacie. Jak kotka! Spójrzcie na nią! Morze zaraz wróci.

– Rozstąpiło się – sprzeciwił się brat Piotr. – Sam widzisz. Johann zapowiedział, że tak będzie i że zdoła przejść suchą stopą do Jerozolimy. Poszedł, dzieci idą za nim. My także pójdziemy.

– O, nie! – Freize brutalnie pchał Lucę w stronę karczmy, w bezsilnej złości bijąc go po ramionach. – Zabierz Izoldę! – krzyknął prosto w jego



rozpromienioną twarz, potrząsając nim. – Zabierz Iszrak, bo utoną na twoich oczach! Chcesz tego? Chcesz zobaczyć, jak woda wraca i topi Izoldę?

Luca drgnął, jakby obudził się ze snu.

– Co? Myślisz, że morze wróci?

– Jestem tego pewien! – ryknął Freize. – Uciekaj! Uciekajcie! Ratuj dziewczęta! Patrz na kotkę!

Luca rzucił zatrwożone spojrzenie na rude stworzonko, które nadal kulilo się na szczycie komina, plując ze strachu, po czym chwycił Izoldę za rękę i Iszrak za ramię i skierował je do gospody. Izolda próbowała się opierać, ale Iszrak, równie przerażona jak Freize, pociągnęła ją za sobą.

– Chodź! – powiedziała. – Jeśli to cud, morze pozostanie suche. Przejdziemy później. Schrońmy się, idźmy do sypialni. Popatrzemy z okna. Chodź, Izoldo.

Upewniwszy się, że przyjaciele odchodzą, Freize

zbiegł po kamiennych schodkach na wilgotne dno przystani. Gęsty, głęboki szlam plaskał pod jego butami.

– Wracajcie! – krzyknął Freize za dziećmi. – Wracajcie! Morze zawróci! To nie jest cud!

Dzieci śpiewały tak głośno, tak radośnie i triumfalnie, że w ogóle nie dotarły do nich jego słowa.

– Wracajcie! – wrzasnął. Pobiegł, ślizgając się na mule i wodorostach, rozchlapując ciężkimi buciorami kałuże morskiej wody. Najwolniej idące dzieci usłyszały go, przystanąły i spojrzały na nadbiegającego młodzieńca, który machał rękami i rozpaczliwie krzyczał. – Wracajcie! – rozkazał im. – Wracajcie do domu!

Zawahały się, niepewne, co mają zrobić.

– Wracajcie, wracajcie! – powtórzył natarczywie. – Morze zawróci i znowu wypełni przystań!

Dzieci patrzyły na niego pustym wzrokiem, jakby

go nie rozumiały. Wiara w krucjatę pchała je naprzód. Johann obiecał im cud, a one uwierzyły, że cud właśnie nastąpił. Wszyscy ich przyjaciele, mali pielgrzymi, wierzyli w to, śpiewali i odchodzili coraz dalej, ku ujściu przystani, gdzie cofające się na południe morze lśniło bielą. Dzieci chciały iść razem. Chciały widzieć, jak otwiera się przed nimi droga.

– Słodycze – rzucił zrozpaczony Freize. – Pędźcie do gospody, rozdają tam słodycze.

Pół tuzina dzieci zawróciło do przystani.

– Szybko! – zawołał Freize. – Spieszcie się, bo zabraknie. Biegnijcie ze wszystkich sił.

Dogonił kolejną grupkę dzieci i powiedział im to samo. Ruszyły w stronę brzegu, podobnie jak te, które szły przed nimi. W ten sposób Freize brnął do przodu, przeciskając się między dziećmi.

– Johann! – krzyknął. – Pomyliłeś się!

Chłopiec szedł jak natchniony, ze wzrokiem wbitym w morze, które nadal cofało się miarowo,

zapraszająco.

Ujście przystani było już suche, a jednak woda nadal odpływała, a płowy muł rozpościerał się przed nimi jak berberyjski kobierzec albo gładki, suchy gościniec, prowadzący prosto do celu.

– Bóg uczynił dla mnie drogę – oznajmił Johann radośnie. – Możesz iść ze mną. Jutro rano dotrzemy do Palestyny i pożywimy się mlekiem i miodem. Widzę to, choć ty jeszcze tego nie dostrzegasz. Idę suchą stopą, tak jak mówiłem.

– Proszę! – krzyknął Freize. – Pójdiesz jutro. Kiedy dno wyschnie jak należy. Nie teraz! Boję się, że morze wróci...

– Boisz się – powiedział łagodnie Johann. – Wątpieś od początku, a teraz się boisz i zawsze będziesz się bał. Wracaj. Ja pójdę dalej.

Freize obejrzał się przez ramię. Jego uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie. Dziewczynka, której kiedyś krwawiły stopy, chciała iść do przystani. Dwaj

chłopcy chwycili ją i powlekli naprzód, usiłując dogonić Johanna.

– Puśćcie ją! – krzyknął Freize.

Nie posłuchali. Freize podbiegł, odtrącił chłopców i złapał dziewczynkę.

– Chcę wracać – wykrztusiła. – Boję się morza.

– Zabiorę cię – obiecał Freize.

Bez słowa wyciągnęła do niego rączki. Freize podniósł ją, posadził sobie na ramionach i ruszył ciężko, brnąc w grząskim błocie, które cmokało mu pod stopami. Po drodze nawoływał inne dzieci.

Kościelny dzwon zaczął głośno bić; mieszkańcy wyszli tłumnie na nabrzeże. Rybacy gapili się ze zgrozą na stan przystani i swoich łodzi. Ludzie patrzyli w osłupieniu na kotwice i łańcuchy, leżące obok łodzi, na homary w wyschniętych skorupach, na to nagłe, niebywałe obnażenie morskiego dna, zwykle znajdującego się dwadzieścia metrów pod wodą.

Freize postawił dziewczynkę na zielonych

schodkach i krzyknął do zgromadzonych ludzi, którzy zaciekawieni zaczęli zbliżać się do suchego dna przystani:

– Idźcie stąd! Uciekajcie! Uciekajcie w góry! Wspinajcie się jak najwyżej! Morze wróci, zaleje wszystko!

Pobrnął przez błoto do osiadłego w szlamie statku, na którym konie stawały dęba i biły kopytami w zagrodę.

– Nie lękajcie się, skarby! – rzucił bez tchu. – Idę po was.

Niektórzy, przypominając sobie legendy o niewy tłumaczalnie wielkich falach, poczuli znowu dreszcz dawnego strachu i zaczęli uciekać. Ich panika okazała się zaraźliwa i po chwili przystań opustoszała. Ludzie wpadali do domów, ryglowali drzwi, wyglądali przez okna na morze, inni mijali ich biegiem, pędząc po stromych ulicach na najwyższy punkt – mury od strony lądu. Niektórzy schronili się

w kościele, gdzie wspięli się po kamiennych schodkach na dzwonnice. Kilka kobiet pobiegło pod prąd i stanęło na nabrzeżu, osłaniając oczy ręką i wołając swoje dzieci, które odeszły z kruczatą.

I ujrzały coś, co wydarło im z piersi jęk zgrozy. Śpiewające radośnie dzieci szły po błocie w chaotycznym półokręgu, jakby chciały tańczyć. A przed nimi, daleko na horyzoncie, zbliżając się z niewiarygodną prędkością, bielą grzywa ogromnej fali, wyższej niż drzewo, wyższej niż dom, wysokiej jak sama dzwonnica. Poruszała się z prędkością galopującego konia. Dzieci, zapatrzone w Johanna lub w niebo, nie zauważyły jej, tak jak nie dostrzegały całego świata. Uświadomiły sobie niebezpieczeństwo dopiero, kiedy je poczuły. Woda, która cofnęła się przed nimi, by mogły triumfalnie przejść po morskim dnie, wracała z bulgotem i szumem. Mniejszym dzieciom w parę chwil sięgnęła do kolan. Mali pielgrzymi spojrzeli w dół i krzyknęli, ale ich głosy

utonęły w śpiewie.

Maluchy zaczęły szarpać inne dzieci, usiłując zwrócić ich uwagę, ale one szły dalej. Wreszcie jednak wszystkie je dobiegł basowy, przerażający ryk morza.

Dzieci podniosły głowy i ujrzały pędzącą na nie falę, usłyszały jej wściekły huk i zrozumiały, że woda, która odpłynęła tak szybko, w parę chwil opuściwszy przystań, wracała spiętrzona niczym góra. Kilkoro dzieci krzyknęło i odłączyło się od grupy. Usiłowały biec, zanurzone po uda w wodzie, jakby sądziły, że zdołają uciec morzu. Ale większość stała nieruchomo, trzymając się za rączki i patrząc z otwartymi ustami, jak sunie ku nim wodna ściana. Spadła na nie, pochłaniając je w ułamku sekundy. Chwilę później runęła na ląd. Podrzuciła w powietrze łodzie zakotwiczone w przystani, obracając je do góry kilem i znowu ciskając w dół. Pierwsza fala uderzyła w mur przystani i strzeliła w górę jak fontanna, a potem – o



zgrozo – przetoczyła się przez niego i popłynęła między domami, uliczkami, w stronę placu targowego, gdzie morze nigdy nie sięgało. Przystań natychmiast znikła pod wodą, szyby karczmy rozprysły się jak od strzału, fale wdarły się do jej wnętrza, do innych domów. Izolda i Iszrak, chroniące się w sypialni, odskoczyły, gdy szyby w ich pokoju pękły jak papier i woda w ułamku sekundy sięgnęła im do pasa. I nie odpłynęła. Ciągle się podnosiła.

– Tędy! – krzyknął Luca.

Wyłamał kopniakiem framugę okna. Fala pchnęła go do tyłu, zabierając ze sobą połamane drewno i resztki rogowych szybek. Wkrótce woda w pokoju sięgnęła dziewczętom do ramion. Iszrak i Izolda straciły równowagę i upadły do lodowatej wody, młócąc rękami i czepiając się siebie nawzajem. Fala runęła do wnętrza pokoju i znowu się cofnęła.

Luca podpłynął do Izoldy; prąd zepchnął ich w głąb pokoju, poza wyłamane okno, gdzie był ratunek.

– Weź wdech! – krzyknął chłopak i chwyciwszy Izoldę za ramiona, wtłoczył ją pod wodę, jakby chciał utopić.

Wyśliznęła mu się z rąk i popłynęła niczym piskorz ku oknu. Luca wynurzył się z wody i ujrzał brata Piotra, który podtrzymywał Iszrak. Oboje mieli twarze zwrócone ku sufitowi i spazmatycznie, resztką sił, łapali powietrze.

– Musimy wypłynąć przez okno! – krzyknął Luca.

Nabrał tchu, chwycił Iszrak i wciągnął ją pod wodę. Dziewczyna szarpnęła się, potem obróciła do niego, a on popchnął ją z trudem w stronę okna i popłynął za nią, kierując ją ku niemu. Poczul czyjąś rękę na stopie; brat Piotr podążał za nimi.

Luca otworzył oczy pod wodą, choć widział tylko szare wiry. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był okropny ryk morza, które zagarniało ziemię. Ale nagle zobaczył, że coś zasłania jaśniejszy prostokąt

okna, i uświadomił sobie, że Iszrak w nim utknęła. Jej suknia zaczepiła się o sterczącą, złamaną framugę. Luca wystrzelił ponad wodę, złapał oddech i znów zanurkował. Widział powietrze uchodzące z ust dziewczyny strugą srebra i jej dłonie szarpiące suknię. Luca podpłynął do niej, chwycił ją za ramiona, a kiedy się odwróciła, przycisnął usta do jej ust, w desperacji usiłując przekazać jej powietrze. Przez chwilę trwali tak, spleceni jak kochankowie; potem Luca znowu się wynurzył, tuż pod sufitem, nabrał tchu i znów zanurkował. Bał się, że Iszrak wciąż tkwi uwięziona, ale ona – niczym wąż zrzucający skórę, niczym piękna syrena – wyzwoliła się z sukni i uciekła w błysku białej koszuli. Znikła za oknem, a jej strój nadal unosił się na wodzie, jak duch topielicy.

Iszrak, Luca i brat Piotr wypłynęli, krztusząc się i rozpaczliwie łapiąc powietrze, na środku przerażająco wielkiego morza, rozlewającego się tam,

gdzie kiedyś znajdowało się miasteczko. Jego powierzchnia była usiana wysepkami dachów i kominów. Prąd porwał ich ze sobą i pociągnął w głąb lądu.

– Chwyć mój płaszcz! – rozległ się krzyk.

Iszrak uniosła głowę, kaszląc i walcząc z kipiela, która chciała ją oderwać od dachu gospody i rzucić na pełne morze. Izolda jedną ręką trzymała się kurczowo dachu, w drugiej, wyciągniętej, trzymała płaszcz zwinięty niczym lina. Iszrak złapała go i wpełzła na dach, zmagając się z falami. Poczwała pod stopami i dłońmi śliskie dachówki. Przywarła do nich jak małpka, chwyciła skreconą opończę i popęzła po stromym, zalewanym falami dachu, coraz wyżej i wyżej, aż dotarła na jego suchy szczyt. Po chwili obok niej znalazł się brat Piotr, a potem Luca. Cała czwórka usiadła na dachu okrakiem jak na koniu. Szalejące fale uderzały w budynek z taką siłą, że drżał w posadach. Potwornie silna fala rzucała zerwanymi

z kotwicy łodziami na wysokość komina. Wszyscy czworo wczepili się w siebie pośród kipieli i straszliwego ryku wody i modlili się, każde do własnego boga.

– Jeśli budynek runie... – krzyknął brat Piotr Luce do ucha.

– Powinniśmy się razem związać – zdecydował chłopak.

Wziął ich opończe i skręcił jak linę. Dziewczęta chwyciły ją w środkowej części. Wszyscy mieli świadomość, że mogą osiągnąć jedynie tyle, iż utoną razem.

– Może złapiemy jakieś deski! – krzyknął Luca do brata Piotra.

Skryba nie odpowiedział. Patrzyli ze zgrozą, jak połamane deski, wyrwane z korzeniami drzewa i przewrócone stragany z rynku uderzają z łomotem o ściany i dolną część dachu karczmy. Słyszeli, jak dachówki spadają z pluskiem do wody i jak skrzypią

belki stropowe. Na powierzchnię wyskoczył, kołysząc się, stary drewniany kufer ze strychu. Luca pochwycił go, walcząc z kipiącymi falami.

– Jeśli wpadniecie do wody, przytrzymajcie się go! – krzyknął do dziewcząt, które się objęły, zrozumiawszy, że jeśli budynek runie, ten stary kufer ich nie uratuje, że pójdą na dno wraz z belkami i dachówkami i niemal na pewno utoną.

Izolda położyła się na dachu, tuląc do niego twarz. Zamknęła oczy, żeby nie widzieć straszliwej kipieli, i szeptała gorączkowo modlitwy zapamiętane z dzieciństwa, choć była zbyt przerażona, żeby myśleć. Iszrak wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w otaczające ich wzburzone morze, w fale rozbijające się o dach i sięgające coraz wyżej. Spojrzała na Lucę, który starał się przytrzymać kufer na dachu, i uświadomiła sobie, że skrzynia może wystarczyć dla podtrzymania jej i Izoldy, ale mężczyźni zginą. Zacisnęła zęby i patrzyła na

przybierającą wodę, usiłując zmierzyć jej wysokość. Podchodziła wciąż wyżej. Gwałtowniejszy wir mógłby utworzyć falę, która ochlapałaby im nogi. Po chwili Izolda wzdrygnęła się, bo zimna woda rzeczywiście dotknęła jej stopy. Przerwa między falami dała im nadzieję, że woda opada. Iszrak znieruchomiła i zaczęła liczyć rzędy chwiejnych dachówek dzielących jej stopę od poziomu wody. Zerknęła na Luce, który robił to samo. Oboje rozpaczliwie chcieli wierzyć, że woda już nie przybierze, że fala dotarła w głąb lądu i straciła rozpęd. Próbowali określić tempo podnoszenia się poziomu wody, żeby wiedzieć, ile czasu minie, zanim zniknie wszelka nadzieja.

Luca spojrzał jej w oczy.

– Wciąż się podnosi – rzucił sucho.

Skinęła głową.

– Dwa rzędy dachówek – powiedziała. –  
Niedawno były trzy.

– Za godzinę sięgnie ponad dach – ocenił Luca. –

Będziemy musieli płynąć.

Przytaknęła ze świadomością, że to wyrok śmierci, i przysunęła się do Izoldy. A potem, powoli, po czasie, który wydawał się wiecznością, woda zaczęła się uspokajać. Morze, kipiące i wrzące niczym górski strumień, wirowało wokół domów, płynęło przez stare ulice, bluzgało z palenisk, pieniało się w oknach, chlupotało w kominach, ale ryk fali przycichł, jęk ziemi zamilkł, tafla wody się wygładziła. Do bosej stopy Iszrak został jeden rząd dachówek.

Gdzieś daleko odezwał się ptak, wzywający swojego utraconego towarzysza.

– Gdzie Freize? – spytał raptem Luca.

Ulga, która powoli zaczęła się wlewać w serca przyjaciół, nagle zmieniła się w mdlący strach. Luca, nadal siedzący okrakiem na dachu, uniósł się i osłonił oczy przed rażącym słońcem. Spojrzał na morze, a potem w stronę nabrzeża.



– Widziałem, jak biegł w stronę dzieci – powiedział.

– Niektóre zawrócił. Trafiły na dziedziniec gospody – odezwała się cicho Izolda. – Widziałam je.

– Zawrócił – szepnął brat Piotr. – I przybiegł tu, niosąc małą dziewczynkę.

Izolda załkała.

– Co się stało? – spytała. – Co to było?

Wszyscy milczeli. Nikt nie potrafił tego wyjaśnić. Luca przywiązał swoją opończę do komina i asekurując się nią jak liną, zszedł po stromym dachu. Spojrzał w dół. Poziom wody opadał, morze się cofało. Sięgało już poniżej okna pokoju dziewcząt. Luca chwycił koniec opończy i stanął na parapecie wybitego okna.

– Zejdźcie tak jak ja – powiedział. – Pomogę wam.

Brat Piotr wziął Izoldę za ręce i opuścił ją ku Luce, który przytrzymał mocno jej nogi, potem talię i

ramiona, kiedy zsunęła się po nim i spadła do pokoju w wodę po kolana.

Potem przyszła kolej na Iszrak, ubraną tylko w cienką koszulkę. Brat Piotr zszedł ostatni.

Woda szybko odpływała z sypialni dziewcząt, przesączała się między deskami podłogi do pokoju na niższym piętrze. To samo działo się we wszystkich domach. Morze wycofywało się z ulic, bulgotało w odpływach i rynsztokach.

– Lepiej tu zostańcie – powiedział Luca do Iszrak i Izoldy. – Na dole może być źle.

– Pójdziemy – zdecydowała Izolda. – Nie chcę znowu znaleźć się w pułapce.

Iszrak wzdrygnęła się, patrząc na ociekającą wodą ruinę, która niedawno była ich pokojem.

– Tu nie można wytrzymać.

Drzwi nie chciały się otworzyć; Luca wyważył je kopniakiem. Były przekrzywione; cały dom przechylił się po uderzeniach fal. Zeszli po schodach, pokrytych

piaskiem, wodorostami i śmieciami, niebezpiecznie śliskimi. Gospoda, która zaledwie parę godzin temu pachniała tak miło jedzeniem, dymem z drewna i starym winem, była mokra i cuchnąca. Wypełniał ją szum cofającej się wody i głośnie kapanie, jak w podwodnej grocie. Iszrak zadrżała i wyciągnęła rękę do Izoldy.

– Słyszysz? Znowu nadchodzi? Wyjdźmy na zewnątrz.

Na dole było jeszcze gorzej. Na parterze woda sięgała im do piersi. Trzymając się za ręce, dobrnęli do kuchni, a potem wyszli na podwórko. Izolda przeraziła się nagle, że nastąpi na leżące pod wodą zwłoki albo że dłoń trupa zaciśnie się na jej stopie. Zadrżała, a Luca obejrzał się na nią.

– Na pewno nie chcesz zaczekać na górze?

– Chcę być na dworze – odparła. – Nie mogę znieść tego zapachu.

Na dziedzińcu stajennym ukazał im się okropny

widok koni utopionych w zagrodach, z łbami bezwładnie zwisającymi, wysuniętymi ponad drzwi, gdzie usiłowały złapać haust powietrza. Ale karczmarz cudem ocalał.

– Siedziałem na stogu siana – powiedział, niemal płacząc z ulgi. – Na samym czubku. Zrzuciłem siano, kiedy pojawiła się fala, większa niż mój dom, i runęła jak lawina. Przewróciła mnie, ale wgniotła w siano. Ledwie chwyciłem oddech, podniosła mnie pod sufit stajni. Kiedy przestałem pływać i poczułem oparcie pod stopami, okazało się, że jestem na wyspie! Widziałem, jak łodzie rybackie przepływają nad moim podwórkiem i Bogu niech będą dzięki, przeżyłem, by o tym opowiadać.

– My byliśmy na dachu – odezwała się Iszrak.

– Niech nas wszystkich Bóg strzeże. A dzieci?

– Poszły w morze – szepnęła Izolda. – Niech je Bóg błogosławi i zachowa.

Karczmarz nie zrozumiał.

– Szły po brzegu?

– Po dnie przystani. Myślały, że morze się przed nimi rozstało. Szły naprzód, kiedy uderzyła fala.

– Morze się rozstało, tak jak zapowiadał Johann?

– A potem wróciło – rzucił ponuro Luca.

Wszyscy przez chwilę milczeli, obezwładnieni zgrozą.

– Popłynęły?

– Nie sędzę – powiedział Luca.

– Niektóre wróciły – dodała Iszrak. – Freize zawrócił niektóre z nich. Widziałeś je?

Karczmarz przez chwilę milczał w osłupieniu.

– Myślałem, że się bawią... Przebiegły przez podwórko. Nakrzyczałem na nie, że płoszą konie, które wierzgały i stawały dęba. Nie wiedziałem... Dobry Boże, nie wiedziałem. Nie rozumiałem, co krzyczą dzieci ani dlaczego konie są tak zdenerwowane.

– Nikt nie wiedział – odezwała się Izolda. – Bo skąd?

– Czy Freize wrócił z dziećmi? – spytał Luca.

– Nie zauważyłem. Widzieliście moją żonę?

Pokręcili głowami.

– Wszyscy będą w kościele – oznajmił karczmarz. – Ludzie będą się tam szukać. Idźmy do kościoła. Módlmy się, by ocalał i byśmy znaleźli tam naszych bliskich.

\* \* \*

Na nabrzeżu zatrzymali się na chwilę. Przystań była zniszczona. Wszystkie domy wyglądały na zrujnowane, z wybitymi oknami, wyrwanymi drzwiami, część bez dachów. Woda wyciekała z ziejących w murze dziur. Fala porwała łodzie zakotwiczone w porcie, niektóre zmywając do morza, inne rzucając w głąb lądu, gdzie spowodowały jeszcze więcej zniszczeń. Żelazny pierścień na nabrzeżu, do

którego przycumował ich statek, był pusty; cumy zwisały, ginąc w brudnej wodzie. Fala porwała gdzieś trap; statek z końmi i Freize'em znikł. Nie do wiary, że tu, na miejscu tej groźnej kipieli, widać było dno – choć przez chwilę.

– Freize! – Luca przyłożył ręce do ust i krzyknął rozpaczliwie w stronę przystani.

Odpowiedział mu tylko okropny chlupot fal, zbyt wysoko uderzających w mur nabrzeża, jak pies, który niespodziewanie rzucił się swojemu panu do gardła, a teraz znowu się uspokoił.

\* \* \*

W kościele ludzie padali sobie w ramiona, płakali i wołali swoje zaginione dzieci. Część łodzi rybackich znajdowała się na pełnym morzu w chwili, gdy zjawiała się fala, i niektórzy uważali, że mogły przetrwać; starszacy, którzy słyszeli opowieści o ogromnej fali, kręcili głowami i mówili, że tak wysoka

ściana wody jest zbyt stroma, by mała łódka mogła się na nią wspiąć. Wiele osób siedziało w milczeniu na ławach, biegnących wokół ścian kościoła. Głowy pochylały się w modlitwie, a z przemoczonych ubrań kapiała woda.

Gdy uderzyła fala, niektórzy zdążyli dotrzeć na położony wyżej grunt – kościół był bezpieczny, woda przepłynęła przez niego na wysokości kolan, a tereny na zachód i północ od placu targowego były nietknięte. Wiele osób chwyciło się czegoś i przeczekalo falę, która przetoczyła się po nich i zostawiła ich, półżywych, przerażonych, lecz bezpiecznych. Niektórych woda porwała, jak rzeka porywa swym nurtem patyki, a rodziny stawiały na mokrych stojakach świece w ich intencji. Nikt nie potrafił zapalić przemoczonych knotów. Świecę, która niegdyś paliła się na ołtarzu, symbolizując obecność Boga, zgasił podmuch powietrza, poprzedzający falę. Bez niej kościół wydawał się



zimny i straszny, zapomniany przez Boga.

Luca, usiłując znaleźć coś, co przywróci normalne życie w miasteczku, poszedł na plebanię, znalazł hubkę i krzesiwo i rozniecił ogień na kuchennym palenisku, żeby wstrząśnięci, zziębnięci ludzie mogli się przy nim rozgrzewać i zapalać świece. Wrócił do kościoła z płonąca świecą, od której zapalił świeczkę przy ołtarzu.

– Oddaj mi Freize’a – szepnął, gdy mały płomyk ożył. – Oszczędź swoje dzieci. Okaż nam litość. Wybacz nam nasze grzechy i odeślij morze na swoje miejsce. Ale przede wszystkim uratuj Freize’a. Oddaj mi mojego kochanego Freize’a.

Brat Piotr zasiadł przed kościelnymi księgami i zaczął spisywać zaginionych. Listę tę zamierzał powiesić na drzwiach kościoła. Od czasu do czasu stawało pod nimi znekane dziecko, które matka porywała w objęcia, jednocześnie obcałowując i robiąc mu wyrzuty. Ale lista zaginionych,

sporządzona starannym pismem brata Piotra, ciągle się wydłużała, a nikt przecież nie znał imion dzieci, które przyszły tu z krucjata. Nikt nie wiedział, ile ich ruszyło po dnie przystani, nikt nie widział, ile zawróciło, jak wiele zaginęło ani nawet, skąd pochodziły.

Iszrak pożyczyła oponczę od gospodyni księdza i w piątkę – z Izoldą, Lucą, bratem Piotrem i karczmarzem – wrócili do gospody, co chwila spoglądając na morze, jakby Freize miał przyplłynąć o własnych siłach.

– Nie mogę uwierzyć – odezwał się Luca. – Nie wierzę, że z nami nie poszedł.

– Ratował dzieci – powiedziała Iszrak. – Nigdy nie widziałam takiej odwagi. Nam kazał wracać do karczmy, a sam ruszył w morze.

– Ale zawsze mi towarzyszył... Zawsze szedł krok za mną...

– Zadbał o nasze bezpieczeństwo – powiedziała

Izolda. – A kiedy pobiegliśmy do gospody, wrócił po dzieci.

– Nie rozumiem, jak mogłem mu na to pozwolić. Naprawdę wierzyłem, że morze się rozstąpi, że mogę z nimi iść... a potem wszystko zaczęło się dziać tak szybko. Ale dlaczego nie poszedł ze mną? Zawsze był przy mnie.

– Boże, wybacz mi, że go nie doceniałem – szepnął brat Piotr do siebie. – Dziś dokonał wielkiej rzeczy.

– Nie mówcie o nim, jakby utonął! – rzuciła ostro Izolda. – Może schronił się, tak jak my. Może właśnie do nas wraca.

Luca ukrył twarz w dłoniach.

– Nie mogę w to uwierzyć... zawsze był przy mnie. Nie mogłem się go pozbyć... tak zawsze mówiłem.

Przez chwilę stali na nabrzeżu, patrząc na puste morze.

– Idźcie – powiedział Luca. – Dogonię was.

W kuchni gospody znaleźli żonę karczmarza, z furią wylewającą kubły brudnej wody na mokre podwórko.

– Gdzieś ty się podziewała, do wszystkich diabłów? – krzyknął na jej widok karczmarz, którego natychmiast ogarnęła złość.

– W pralni! – odwrzasnęła. – A gdzie? Gdzie indziej mogłabym być? Dlaczego mnie nie szukałeś? Drzwi się zacięły i zostałam uwięziona. Nadal bym tam tkwiła, gdybym ich nie wyważyła. Przychodzę tutaj i co widzę? Podwórko puste, kuchnia zalana! Gdzieżeś łaził?! Szwendasz się gdzieś, a ja tu omal nie utonęłam!

Jej mąż ryknął śmiechem i chwycił ją w szerokiej talii.

– Siedziała w pralni! – zawołał do dziewcząt. – Tam powinienem jej szukać najpierw. To pokój bez okien, tuż przy piecu. Kiedy tylko się pokłócimy albo

źle się dzieje, moja pani idzie tam i pierze pościel. Ale jaka kobieta poszłaby do pralni, kiedy największa fala świata pędzi w stronę domu?

– Taka, co chce umrzeć, mając czystą pościel – warknęła kobieta. – Dbam o czystość, nawet jeśli to ma być ostatnia rzecz, jaką zrobię na tym padole. Usłyszałam straszliwy ryk i od razu pomyślałam, że moje miejsce jest w pralni. Schowałam się tam, a serce mało mi z piersi nie wyskoczyło, kiedy raptem usłyszałam, jak woda wdziera się do domu. Zaczęłam sortować pranie, a zimna woda wsączała się przez szparę pod drzwiami. Ale ja dalej układałam pranie i sobie śpiewałam. W mieście bardzo źle?

– Źle jak w roku plagi, tylko jakby wszystko zdarzyło się jednego dnia. Zaginęła twoja przyjaciółka Izabella i jej córeczka. Tak wielu ludzi straciło życie, jakby od zarazy, tyle że stało się to w jedno popołudnie, w jedną godzinę, przez jedną okrutną falę.

Kobieta spojrzała na podwórko, potopione konie, psa, mokrego, leżącego bezwładnie na końcu łańcucha, jak czarna szmata, a potem odwróciła głowę, jakby nie chciała na to patrzeć.

– Trudne czasy – powiedziała. – Straszne czasy. Co to niby znaczy? Dlaczego morze wtargnęło na ląd? Co mówi ojciec Benito?

Wszyscy spojrzeli na brata Piotra, który pokręcił głową.

– Nie wiem, co to oznacza – powiedział. – Sądziłem, że jestem świadkiem cudu rozstąpienia się morza, ale teraz myślę, że widziałem dzieło Szatana, który stanął między dziećmi Boga a Jerozolimą.

– Być może – odezwał się Luca od progu. – A może nie było to dzieło dobra ani zła. Może to po prostu kolejna rzecz, której nie rozumiemy. Wydaje się, że karą za nasze grzechy jest życie w świecie pełnym niezrozumiałych zjawisk, rządzonego przez niewidzialnego Boga. Nic nie wiem. Nie potrafię tego

pojąć. Jestem głupcem w obliczu katastrofy i straciłem mojego najdroższego przyjaciela.

Izolda bez słowa ujęła go za rękę.

– Na pewno wszystko dobrze się skończy – powiedziała bezradnie.

– Jak kochający Bóg mógł zabrać Freize’a? – spytał Luca. – Jak to się mogło wydarzyć? I to w jednej chwili? Kiedy Freize ocalił nas i chciał uratować innych? I jak mam bez niego żyć?

\* \* \*

O zmierzchu rozpalili ogień w kuchni i wysuszyli przy nim przemoczone ubrania. Większość dobytku – stroje, cenne manuskrypty i przenośne biurczko – przepadła wraz ze statkiem. Żona karczmarza znalazła starą suknię dla Iszrak i przewiązała jej szczupłą talię sznurkiem.

– Klejnoty twojej matki mam zaszyte w koszuli – szepnęła Iszrak do Izoldy.

Dziewczyna skinęła głową.

– Bogactwo podczas powodzi nie jest bogactwem. Ale dziękuję, że ich strzegłaś.

Iszrak wzruszyła ramionami.

– Masz rację. Nie wynajęłybyśmy drugiego Freize'a nawet za bogactwa króla Salomona.

Ocaleni mieszkańcy miasteczka przyszli do karczmy i posilili się przy kuchennym stole. Ktoś przyniósł ser, przechowywany na wysokim strychu, ktoś inny nasiąkniętą morską wodą szynkę z komina. Był też chleb od jedyne go miejscowego piekarza, którego piekarnia znajdowała się na wyżej położonym terenie, za placem targowym, i w którego piecu nadal palił się ogień. Wypili trochę wina, którego butelki pływały po piwnicy. Potem wrócili do swoich nieprzytulnych domów, a brat Piotr, Luca, Izolda i Iszrak, otuliwszy się mokrymi ubraniami, położyli się spać na podłodze w kuchni, obok karczmarza i jego żony, otoczeni żalobnym odgłosem



kapania, rozlegającym się w całym domu. Luca przez całą noc słyszał, jak krople spadają z belek i uderzają z pluskiem o kałuże na kamiennej podłodze, a o świcie wstał i wyszedł, by wypatrywać Freize'a na spokojnej tafli szarego morza.

\* \* \*

Przez cały ranek Luca czekał na nabrzeżu, uparcie wpatrując się w morze. Niekiedy wśród fal pojawiała się beczka lub kawałek drewna, które Luca brał za mokrą głowę płynącego do brzegu Freize'a. Od czasu do czasu ktoś prosił go o pomoc w dźwiganiu ciężarów lub wyważaniu zamkniętych drzwi, ale na ogół ludzie zostawiali go w spokoju. Luca uświadomił sobie, że w przystani zjawiają się inni ludzie, którzy tak jak on chodzą po nabrzeżu, wpatrując się w morze, jakby także mieli nadzieję, że mimo wszystko ujrzą jeszcze przyjaciela, męża lub kochanka, płynącego przez morze, które teraz

wyglądało tak spokojnie, że trudno było sobie wyobrazić, iż niedawno zatopiło miasteczko.

W południe, gdy dzwony kościelne zaczęły wzywać na sekstę, obok Luki usiadł brat Piotr z kartką w ręce.

– Sporządziłem raport, lecz nie potrafię wyjaśnić, skąd wzięła się fala – powiedział. – Nie wiem, czy chcesz coś dodać. Napisałem, że Johann podążał za swoim powołaniem, że morze się cofnęło, tak jak przewidział, i że go zatopiło. Nie starałem się tego interpretować. Nawet nie próbowałem orzekać, czy to Bóg nas doświadczył, czy diabeł chciał pokonać Johanna.

Luca pokręcił głową.

– Ja też tego nie wiem. Nic już nie wiem.

– Chciałbyś coś dodać?

Luca ponownie pokręcił głową, zmęczony i osowiały.

– Może to po prostu siła natury. Jak deszcz.

Skryba spojrział na morze, z którego nadeszła tajemnicza fala.

– Jak deszcz – powtórzył z powątpiewaniem.

– Na tym świecie jest wiele, bardzo wiele zjawisk, których nie rozumiemy – powiedział Luca ze znużeniem. – Nawet nie wiemy, dlaczego pada tu, a nie gdzie indziej. Nie wiemy, skąd biorą się chmury. Grzebiemy jak kury w piasku, usiłując zrozumieć jego naturę. Nie widzimy góry, w której cieniu żyjemy, nie rozumiemy wiatru, który nam, głupim ptakom, rozdmuchuje pióra. Nie wiemy, dlaczego wieje, dlaczego pojawia się przyływ i odpływ. Nie wiemy nic.

– Nie możemy się winić za to, że nie rozumiemy, skąd wzięła się ta fala. Nikt nie widział niczego podobnego!

– Ale to już się raz wydarzyło! – zawołał Luca. – Rybacy, którzy zebrali się w gospodzie, słyszeli opowieści o wielkich falach. Ktoś powiedział, że

ogromna zaraza, która wybuchła sto lat temu, zaczęła się od takiej fali. Chcę przez to powiedzieć, że tę falę mogło spowodować coś innego niż wola boża; coś, czego na razie nie rozumiemy, lecz możemy zrozumieć. Gdybyśmy wiedzieli więcej, moglibyśmy przewidzieć, że tak się stanie. Kiedy woda zaczęła się cofać, ostrzeglibyśmy dzieci. A Freize... Freize... – Luca urwał.

Brat Piotr skinął głową, widząc, że jego towarzysz jest bliski załamania.

– Wyślę raport – powiedział. – I będziemy dalej szukać Freize’a.

– Myślisz, że to nic nie da – rzucił beznamiętnie Luca.

– Będę się za niego modlić. – Brat Piotr się przeżegnał. – Wszystko może się wydarzyć, jeśli Bóg usłyszyny nasze modlitwy.

– Nie usłyszał dzieci śpiewających hymny – przypomniał Luca głosem pozbawionym emocji i

odwrócił się w stronę morza. – Dlaczego miałyby usłyszeć nas?

\* \* \*

W porze kolacji Izolda poszła na nabrzeże, gdzie owinięty w opończę Luca spoglądał na ciemniejący horyzont.

– Przyjdiesz na kolację? – spytała. – Osuszyli jadalnię i zrobili potrawkę z kurczaka.

Luca spojrział na nią, tak naprawdę nie widząc jej twarzy w kształcie serca i poważnych oczu.

– Za chwilę – powiedział. – Zaczniście beze mnie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Chodź – szepnęła.

– Za chwilę.

Zrobiła parę kroków i stanęła, czekając, aż za nią spojrzy. Nie poruszył się. Mimo to ciągle zwlekała z odejściem.

– Chodź ze mną na kolację – rozkazała łagodnie.

– Nie możesz tu zostać, nie rozpaczaj samotnie. Chodź i zjedz coś, a potem przyjdziemy tu razem.

Nie zareagował. Czekala jakiś czas, a potem zrozumiała, że on jej nie słyszy i pewnie nawet nie widzi. Wypatrywał swojego przyjaciela i nic poza tym dla niego nie istniało.

Wróciła do karczmy sama.

\* \* \*

Wczesnojesienny zmierzch zastał Lucę wciąż siedzącego na nabrzeżu, zapatrzonego w ciemniejące morze. Kilka matek, których dzieci przyłączyły się do kruczaty, przyszło na przystań i rzuciło na łagodnie kołyszącą się wodę kwiaty i krzyże. Przed zapadnięciem nocy odeszły. Tylko Luca czekał dalej, jakby samo wypatrywanie mogło sprawić, że Freize stanie się widzialny, jakby sądził, że odpowiednio długo wbijając wzrok w morze, musi zobaczyć mokrą głowę przyjaciela, który płynie ku niemu z

niezwykłym promiennym uśmiechem.

Zegar na wieży kościelnej zaczął wzywać na jutrznię; wybiła północ.

– Boisz się, że go straciłeś, tak jak rodziców – odezwał się spokojny głos. Luca odwrócił się gwałtownie. W mroku stała Iszrak, z odsłoniętą głową i ciemnym warkoczem spływającym na plecy.

– Myślisz, że ich zawiodłeś, również dlatego, że ich nie szukałeś. Teraz więc szukasz Freize'a, żeby i jego nie zawieść.

– Nie było mnie przy nich, kiedy zostali uprowadzeni – odparł z goryczą. – Przebywałem w klasztorze. Słyszałem, jak dzwon bije na trwogę, jak zwykle, gdy zbliżały się galery handlarzy niewolników. Ukryliśmy w klasztorze cenne przedmioty, sami zamknęliśmy się w celach i zaczęliśmy się modlić. Modliliśmy się przez całą noc. Kiedy pozwolono nam wyjść, opat wezwał mnie i powiedział, że miasto zostało napadnięte. Pobiegnę

tam, a potem do naszego domu, który stał nad rzeką. Ale już z daleka widziałem, że drzwi są wyważone, a dom pusty. Zniknęły wszystkie cenne przedmioty... oraz moi rodzice.

– Zaatakowali jak fala – zauważyła Iszrak. – A ty nie widziałeś, jak zabierają twoich rodziców ani dokąd odpływają.

– Wszyscy mówili, że moi rodzice nie żyją – powiedział głuchym głosem. – Tak jak teraz mówią, że Freize nie żyje. Wszyscy, których kocham, zostali mi odebrani. Nie mam nikogo. I nigdy nic nie robię, żeby ich ratować. Zamykam się w bezpiecznej celi albo uciekam jak tchórz. Ratuję siebie, własne życie, a potem sobie uświadamiam, że bez nich to życie nie ma wartości.

Iszrak uniosła palec, jakby chciała go zganić.

– Nie roztkliwiał się nad sobą. Stracisz całą odwagę, jeśli zaczniesz się nad sobą uzalać.

Luca poczerwieniał.



– Jestem sierotą – rzekł z goryczą. – Na całym świecie nie miałem ani jednego przyjaciela poza Freize'em. Tylko on mnie kochał, a teraz go straciłem.

– A jak ci się wydaje, co by powiedział, gdyby zobaczył cię w takim stanie?

Luca poczuł nagle, że pomimo rozpaczy uśmiecha się na myśl o przyjacielu.

– Powiedziałyby: tam jest dobra karczma i smaczna kolacja, chodźmy i coś zjedzmy. Na całą resztę będziemy mieć mnóstwo czasu rano.

Iszrak czekała, wiedząc, że jego serce rozrywa ból.

Z ust Luki wyrwał się szloch; chłopak odwrócił się do niej, a ona otworzyła ramiona i objęła go mocno, jak mężczyzna. Nie powiedziała ani słowa, tylko lekko go kołysała, kiedy tak rozpaczał, płacząc za swoim utraconym przyjacielem.

– Nigdy mu nie powiedziałem – wykrztusił

wreszcie z trudem, jakby każde słowo sprawiało mu ból. – Nigdy mu nie powiedziałem, że kocham go jak brata.

– O, wiedział o tym – zapewniła go spokojnie Iszrak. – Miłość do ciebie dawała mu radość jak nic na świecie. Wszyscy wiedzieliśmy, że jest z ciebie dumny, że cię podziwia i lubi twoje towarzystwo. Nie musiałeś o tym mówić. Obaj to wiedzieliście. My także. Kochał cię i wiedział, że ty kochasz jego.

Nawałnica szlochu ustała i Luca cofnął się, szybko wycierając twarz przemoczoną opończę.

– Pewnie się ze mnie śmiejesz – rzucił. – Ryczałem jak baba.

Natychmiast go puściła i przysiadła na słupku do cumowania łodzi, jakby przygotowywała się do całonocnej rozmowy. Pokręciła głową.

– Nie, nie śmieję się z kogoś, kto oplakuje bliskiego.

– Myślisz, że jestem słaby?

– Tylko wtedy, kiedy zaczynasz się nad sobą użalać. Wydawało mi się, że zbyt mężnie znosisz rozpacz. Nie możesz mu przywrócić życia samą determinacją. Niestety, jeśli go straciliśmy, nic na to nie poradzisz. Musisz wiedzieć, że na pewne rzeczy nie masz wpływu. Musisz pozwolić mu odejść. I może swoim rodzicom także.

– Nie potrafię znieść myśli, że więcej ich nie zobaczę!

– Może celem twojego życia jest myślenie o tym, co jest nie do pomyślenia. Powierzono ci misję szukania zjawisk nieznanych i ich wyjaśniania. Może zostałeś powołany do zrozumienia rzeczy, nad którymi większość ludzi nawet się nie zastanawia. Może musisz znaleźć odwagę, by myśleć o sprawach strasznych. Zniknięcie twoich rodziców, tak jak utrata Freize'a, to tajemnica. Może powinieneś przyjąć, że najgorsze, co mogło się zdarzyć, już się zdarzyło. Twoim zadaniem jest myślenie o tym i

pytanie, dlaczego dochodzi do takich rzeczy. Może dlatego zostałeś inkwizytorem.

– Myślisz, że strata bliskich przygotowała mnie do mojego zadania?

Dziewczyna skinęła głową.

– Jestem tego pewna. Będziesz musiał wniknąć w najgorsze sprawy świata. Jak zdołałbyś to zrobić, gdybyś się z nimi nie zetknął?

Luca milczał, rozważając jej słowa.

– Jesteś bardzo mądra – odezwał się w końcu, jakby dopiero teraz ją zobaczył. – Zacnie się zachowałaś, przychodząc tu do mnie.

– To naturalne.

– Czy Izolda tu była?

– Tak. Przyszła zaprosić cię na kolację, ale jej nie zauważyłeś.

– Dawno temu?

– Parę godzin.

– Więc jest bardzo późno, tak?

– Po północy. – Iszrak wstała i podeszła do niego tak blisko, jakby chciała go znowu dotknąć. – Luca... – powiedziała cicho.

– Izolda prosiła, żebyś po mnie przyszła?

Dziewczyna uśmiechnęła się gorzko i cofnęła o krok.

– Tego byś chciał?

– Nie śmiem oczekiwać, że o mnie myśli. Dziś zobaczyła, że zachowuję się jak głupiec, a wczoraj ujrzała we mnie tchórza. Jeśli nawet o mnie myślała, to już przeszłość.

– Ale ona myśli o tobie... i o Freizie. Jest teraz w kościele z bratem Piotrem. Modlą się w waszej intencji. – Iszrak spojrzała uważnie na Lucę. – Wiesz, że najlepiej wyrazisz swoją miłość do niego, jeśli teraz wrócisz do gospody, przejdiesz żałobę jak mężczyzna i będziesz żyć tak, żeby Freize mógł być z ciebie dumny?

Iszrak dostrzegła, jak Luca się prostuje, i

zrozumiała, że doszedł do siebie.

– Tak – powiedział. – Masz rację. Powinienem okazać się godny Freize’a.

Razem ruszyli do gospody. W drzwiach, koło wiszącej na ścianie pochodni, w jej żółtym migotliwym świetle, odbijającym się na bruku pod ich stopami, Luca zatrzymał się i odwrócił do Iszrak. Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w jej ciemne oczy. Iszrak stała nieruchomo, bez lęku i bez kokieterii. Powoli zamknęła powieki i uniosła ku niemu głowę. Miała wrażenie, że do niego należy, że to naturalne tak stać, twarzą w twarz, prawie w objęciach.

Luca odetchnął zapachem jej włosów i skóry. Pocałował ją w czoło między brwiami, w miejscu, gdzie podczas chrztu ksiądz nakreśliłby dziecku znak krzyża. Tam zawsze całowała ją matka – na trzecim oku. Iszrak uniosła powieki i uśmiechnęła się do niego, jakby zrozumieli się nawzajem. Potem cicho weszli do karczmy.

\* \* \*

Następnego dnia była niedziela, ale nikt nie myślał o wypoczynku. Położona niżej część miasteczka wyglądała jak ruina. Luca pomagał sprzątać, z zaciśniętymi zębami usuwając sterty drewna i gruzu. Wśród belek i połamanych desek znajdował czasem zwłoki utopionych dzieci. Wraz z innymi mężczyznami z szacunkiem przenosił je do kaplicy, na drzwiach, na których mieściły się po dwa drobne ciała. Na ołtarzu paliła się lampka; akuszerki myły zwłoki i przygotowywały małe całuny.

Luca pomodlił się, po czym ruszył na klif za miastem, gdzie tworzone nowy cmentarz dla ofiar, bo na starym zabrakło dla nich miejsca. Pomógł mężczyznom kopać groby w twardej ziemi. Kiedy zdjął koszulę i zaczął machać oskardem, pocąc się w żarze niemiłosiernie prażącego słońca, poczuł ulgę.

W południe Iszrak przyniosła mu piwo i chleb.

Spojrzała na jego zaciętą twarz i napięte mięśnie szerokich ramion.

– Masz – powiedziała krótko. – Odpocznij chwilę. Zjedz, wypij.

Luca posilił się, nie zauważając, co je.

– Jak mogłem być tak głupi? Dlaczego pozwoliłem mu odejść? – odezwał się. – Dlaczego nie sprawdziłem, czy za nami nie idzie? Założyłem, że tak jest. Nawet się nie zawahałem.

Do prowizorycznego murku, który mężczyźni wznieśli wokół cmentarza, przykuśtykała dziewczynka.

– Gdzie jest ten drugi pan? – spytała.

Iszrak i Luca drgnęli, jakby ujrzeli ducha. Była to ta dziewczynka z krwawiącymi stopami, którą Freize przyniósł na brzeg tuż przed pojawieniem się fali.

– Powiedział mi, że w gospodzie rozdają słodyczne – oznajmiła oskarżycielsko. – Chcę go spytać, dlaczego kłamał. Nie było żadnych słodczy. Kuchnia



była pusta i coś strasznie ryknęło. Tak się przestraszyłam, że wbiegłam na wzgórze, a kiedy się odwróciłam, morze mnie goniło. Gdzie ten pan? I gdzie Johann Dobry i inne dzieci?

– Nie wiem, gdzie jest teraz ten pan – odparł Luca nieco drżącym głosem. – Nie widzieliśmy go. Oddalił się w morze, żeby przynieść więcej dzieci. Dlatego skłamał o słodyczach. Chciał cię uratować. Potem przyszła wielka fala... ale on umie pływać. Może teraz płynie. Może fala wyrzuciła twoich przyjaciół i Johanna na brzeg i teraz do nas wracają. Wszyscy mamy taką nadzieję.

Usteczka małej zadrżały.

– Obaj zaginęli? I dzieci? Morze ich zabrało? Co ja teraz zrobię?

Luca i Iszrak milczeli. Żadne z nich nie miało pojęcia, co odpowiedzieć.

– No, chodź do karczmy. Znajdziemy ci coś do jedzenia, jakieś ubranie i buciki – zdecydowała w

końcu Iszrak. – A potem się zastanowimy, co będzie dla ciebie najlepsze.

– On cię uratował – odezwał się Luca, spoglądając na pobladłą, bliską płaczu dziewczynkę.

– Zajmiemy się tobą ze względu na ciebie i na niego.

– Okłamał mnie... Powiedział, że będą słodczyce, a przyszło morze i mogłam utonąć.

Luca pokiwał głową.

– Zrobił to, żeby cię uratować – powtórzył. – I obawiam się, że to on utonął.

Mała skinęła głową. Widać było, że niewiele rozumie. Wsunęła dłoń w wyciągniętą rękę Iszrak i posłusznie ruszyła do miasta.

\* \* \*

Ten dzień zaczął się dla Luki o świcie na nabrzeżu od patrzenia na morze i zakończył się o zmroku w tym samym miejscu. Ale kiedy zapadła noc, chłopak wrócił do gospody i zjadł kolację z miną

człowieka, który podjął się przykrego obowiązku. Po kolacji pomodlił się z bratem Piotrem, a potem wszyscy obecni w gospodzie wysłuchali brata Piotra, który przeczytał, jak Noe uratował z potopu mężczyzn, kobiety i zwierzęta. Dziewczynka, która miała na imię Rosa, ale wołała, żeby ją nazywać Ree, nigdy dotąd nie słyszała tej opowieści i poszła spać, myśląc o tęczy, będącej zakończeniem całej historii.

Pokoje już wyschły i gospodyni pozwoliła dziewczynce położyć się na suchym pościeliu w ciepłej kuchni. Czwórka podróżników, nie mogąc zapomnieć, że powinno ich być pięcioro, poszła do łóżek wcześniej. W karczmie było pełno ludzi, którzy zjechali się do Piccolo z miasteczek położonych dalej na północ. Szukali swoich dzieci, które dołączyły do krucjaty. Przez całą noc dobiegały szmery rozmów i stłumiony płacz kobiet. Brat Piotr i Luca położyli się w wielkim łóżu w męskiej sypialni, ale Luca spędził tę noc, gapiąc się tępo w sufit. Nie zasnął ani na chwilę.

Izolda i Iszrak udały się do swojej sypialni i w smutnym milczeniu zaplotły sobie nawzajem warkocze.

– Ciągle o nim myślę. – Izolda westchnęła. – Jaki był kochany i zabawny.

– Wiem.

Nie miały nocnych koszul, więc powiesiły suknie na słupie baldachimu, zamierzając spać w lnianych halkach. Izolda uklękła do modlitwy, w której poleciła bożej opiece Freize'a. Kiedy wstała, miała zaczerwienione oczy.

– Wrócił po konie – odezwała się Iszrak. – Usłyszał ich rzenie. Wiedział, że dzieje się coś złego. Nie mógł ich zostawić na pokładzie. Skierował dzieci na brzeg, upewnił się, że są bezpieczne, a potem zajął się końmi.

Izolda usiadła na łóżku.

– Nigdy nie spotkałam mężczyzny bardziej godnego zaufania – powiedziała. – Był zawsze wesoły

i odważny.

– Źle go potraktowałam – wyznała Iszrak. – Na podwórku w Vittorito poprosił mnie o pocałunek, a ja mu odmówiłam. Teraz tego żałuję. Bardzo żałuję.

– Wiem, że twierdził wtedy, iż jest obrażony, ale chyba go to rozbawiło. Zdaje się, że polubił twoją dumę. Mówił o niej ze śmiechem, jakby jednocześnie go drażniła i budziła jego podziw.

– Dziś żałuję, że go nie pocałowałam. Nie okazywałam mu, jak bardzo go lubię. Teraz byłabym dla niego miłsza.

– Przecież nie mogłaś go pocałować. Ale to bardzo w jego stylu, że cię o to poprosił! Szkoda, że wszyscy nie byliśmy dla niego miłsi. Nigdy nie mówimy ludziom, że ich kochamy, bo głupio nam się wydaje, że będą z nami zawsze. Wszyscy zachowujemy się, jakbyśmy mieli żyć wiecznie, a powinniśmy się zachowywać, jakbyśmy mieli umrzeć nazajutrz. Powinniśmy mówić sobie najpiękniejsze

rzeczy.

Iszrak skinęła głową i położyła się obok przyjaciółki.

– Kocham cię – powiedziała ze smutkiem. – Przynajmniej zawsze życzyłyśmy sobie dobrej nocy jak siostry.

– Ja też cię kocham – odrzekła Izolda. – Sądzisz, że zdołamy zasnąć?

– Ciągle myślę o fali, o tej strasznej fali... Myślę o nim: w wodzie, pod wodą... Wciąż się zastanawiam, czy utonął... Co za różnica, czy zasnę? Jeśli utonął, czy to, że go pocałowałam, miałoby znaczenie?

Leżały w milczeniu, aż spokojny oddech Izoldy zdradził, że dziewczyna zasnęła. Iszrak przekręciła się na bok i zamknęła oczy, także usiłując zasnąć. Nagle otworzyła je i powiedziała głośno:

– Kotka!

– Co? – wymamrotała Izolda przez sen.

Iszrak zerwała się z łóżka, narzuciła oponczę na

halkę i włożyła buty.

– Muszę zabrać kotkę.

– Wracaj spać – mruknęła Izolda. – Kotka pewnie śpi sobie spokojnie na stryszku z sianem. Jutro ją zabierzesz.

– Nie ma jej na stryszku. Idę.

– Po co? – spytała Izolda, siadając. – Nie możesz iść, jest ciemno.

– W pokoju mężczyzn jest drabina. Dziś naprawiali belki stropowe. Drabina sięga aż do dachu.

– Na co ci ona?

– Kotka nadal tam siedzi.

– Wątpię. Uciekła, bo wystraszyli ją dekarze.

– A jeśli nie? – Iszrak odwróciła się gwałtownie do przyjaciółki. – Jedną z ostatnich rzeczy, jaką zrobił Freize, było wyjęcie kotki z kieszeni. Uciekła na dach i wtedy Freize zrozumiał, że zbliża się niebezpieczeństwo. Kotka nas ostrzegła. Powinnyśmy

się o nią zatroszczyć.

– Nie wiedziała, co robi.

– Ale Freize wiedział. Był dla niej dobry, tak jak dla wszystkich ludzi i wszystkich zwierząt. Idę po tę kotkę. On by jej tam nie zostawił do rana.

– Iszrak! – zawołała Izolda, ale Iszrak już otworzyła spalone drzwi sypialni, przeszła przez mały podest i zajrzała do męskiego pokoju.

Usłyszała chrapanie kilku mężczyzn i skrzywiła się, zirytowana własnym zawstydzeniem.

– Przepraszam – powiedziała wyraźnie w przestrzeń – ale zamierzam przejść przez ten pokój i wdrapać się po drabinie.

– To panna? – spytał jakiś rozespany gość z nadzieją w głosie. – Pragniesz towarzystwa? Pocałować cię i przytulić, nadobna panno? Nudzisz się sama?

– Jeśli ktoś mnie dotknie – uprzedziła Iszrak tym samym uprzejmym tonem, zamykając za sobą drzwi i



ostrożnie robiąc krok w głąb ciemnego pokoju – złamię mu rękę. Jeśli spróbuje tego dwóch jednocześnie, zabiję obu. Tak do waszej wiadomości.

– Iszrak? – odezwał się Luca, wyrwany ze snu. – Co ty tu robisz, do diabła?

Wyłonił się z mroku, nagi do pasa. Spotkali się u stóp drabiny.

– Idę po kotkę – oznajmiła Iszrak. – Zostaw mnie.

– Zwariowałaś? Po jaką kotkę?

– Kotkę Freize'a. Tę, którą nosił w kieszeni.

– Już dawno sama zeszła.

– Sprawdzę to.

– W środku nocy?

– Właśnie sobie przypomniałam.

– O, na Boga! – zdenerwował się nagle Luca. W mieście roіło się od rodziców, którzy stracili dzieci, a ona przejmowała się kociakiem? – Co znaczy to zwierzę wobec tego wszystkiego? W środku nocy,

kiedy połowa tych ludzi zasnęła we łzach, a każdy kogoś stracił?

Iszrak bez słowa postawiła stopę na pierwszym szczeblu drabiny.

– Jest ciemno choć oko wykol – ostrzegł ją Luca.  
– Spadniesz i złamiesz sobie kark.

Wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, ale go odtrąciła. Weszła po krótkiej drabinie na dach. Na jego szczyt prowadziła deska z przybitymi listewkami tworzącymi coś w rodzaju schodków. Dziewczyna wspięła się po nich, jakby sama była kotem. W mroku nie widziała nic oprócz zarysu komina na tle ciemnoszarego nieba. Wspięła się na sam szczyt dachu i usiadła na nim okrakiem, ściskając dachówki kolanami. Uwierały ją przez cienkie płótno koszuli. Usłyszała własny chrapliwy oddech i dopiero teraz uświadomiła sobie, że się boi. Spojrzała na komin. Oczywiście, kotki na nim nie było. Zagryzła wargę, myśląc o drodze powrotnej. Naraziła się na poważne

niebezpieczeństwo, ale na próżno.

– Kiciu? – odezwała się do pustych dachów Piccolo. Poniżej rozciągały się zniszczone przez morze, zasłane szczątkami drewna ulice. Spaczone drzwi łomotały głucho, nie broniąc już dostępu do zawilgoconych pokoi. – Kiciu?

Od strony komina, gdzie dym ogrzewał dachówki, dobiegło cichutkie, rozpaczliwe miauknięcie. Koteczka ostrożnie się podniosła i powolutku ruszyła w stronę Iszrak.

– Kiciu? – powtórzyła dziewczyna, nie wierząc własnym oczom.

Stworzonko podeszło do jej wyciągniętej ręki, a Iszrak chwyciła je – tak jak zrobiłaby to jego matka – za skórę na chudziutkim karku. Wzięła je pod pachę, mocno do siebie przytulając. Stłumiony pisk świadczył, że koteczka jest niezbyt zadowolona, choć przecież była bezpieczna. Iszrak dotarła do drewnianej deski, po której na oślep się zsunęła, aż

namacała stopą drabinę. Zeszła jeden szczebel i zaraz poczuła chwytające ją w pasie ręce Luki. Podniósł ją, postawił na ziemi i otoczył ramionami.

– Mam ją – powiedziała.

Po raz pierwszy od dawna usłyszała jego stłumiony śmiech.

– Jesteś szalona. Nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś zdobył się na takie wariactwo.

Przez chwilę nie wypuszczał jej z ramion, a ona oparła się o jego nagą pierś, czując ciepło jego skóry i klucie drobnych włosków.

– Okropnie się bałam – przyznała.

Poczuła, że Luca przytula policzek do jej włosów, i znieruchomiała. Przemknęło jej przez głowę, że cokolwiek się zdarzy, ona się nie cofnie. To Luca cofnął się, uwalniając ją z objęć.

– Wypuścisz ją? – spytał.

– Zaniosę do kuchni i dam mleka. Zatrzymam ją na tę noc. Gdybyśmy nie zobaczyli, jak ucieka, nie

wiedzielibyśmy o niebezpieczeństwie. Zawdzięczamy jej życie.

Luca wziął Iszrak za rękę i wyprowadził ją z pokoju pełnego śpiących mężczyzn.

– Dziwne – powiedział. – Skąd to zwierzę wiedziało, że powinno się wspinać jak najwyżej?

Kotka szarpnęła się w dłoniach Iszrak, która postawiła ją delikatnie na podłodze. Kocię potrząsnęło łebkiem, jakby żaliło się na tak długie ściskanie, usiadło i zaczęło myć sobie tylne łapki. Potem znalazło ciepły kącik przy palenisku w koszyku na drewno, zwinęło się w kłębek i zasnęło.

– Był taki pisarz... – zaczęła Iszrak, usiłując przypomnieć sobie to, czego się nauczyła. – Och, nie pamiętam jego imienia! Elian Klaudiusz albo jakoś podobnie. Mówił, że żaby i węże wiedzą, kiedy zbliża się trzęsienie ziemi. Zawsze na czas uciekają ze swoich nor.

– Skąd wiedzą? I co wiedzą?

– Tego nie napisał. Czytałam jego pisma w arabskiej bibliotece w Hiszpanii. Nie pamiętam nic więcej.

Razem weszli po schodach i zatrzymali się pod drzwiami jej pokoju.

– Dlaczego tak ci zależało, żeby uratować tę kotkę? – spytał Luca szeptem, żeby nie pobudzić ludzi śpiących w cichej gospodzie. Po drugiej stronie drzwi spała Izolda. – Dlaczego to zwierzę miało dla ciebie takie znaczenie, gdy zginęło tylu ludzi? Nie jesteś sentymentalna. A jednak ryzykowałeś życie.

– Pewnie właśnie dlatego: tak wiele straciliśmy. Nie uratowaliśmy dzieci, nie uratowaliśmy połowy tego miasteczka. Jesteśmy tacy uczeni, ty masz swoją misję, a kiedy wydarzyło się coś strasznego, nie zrobiliśmy nic. Na nic się nie przydaliśmy. Nie potrafiliśmy nawet uratować samych siebie. Straciliśmy Freize’a, choć tylko on wiedział, na co się zanosz. Ale przynajmniej uratowałam jego kotkę.

Luca wziął ją za rękę i przytrzymał przez chwilę.

– Dobrej nocy – powiedział cicho. – Niech cię Bóg błogosławi. Niech cię Bóg błogosławi, że o nim myślisz.

A potem uniósł jej rękę, pocałował wewnątrz dłoni i stulił jej palce.

Iszrak przymknęła oczy.

– Dobrej nocy – szepnęła i mocno zacisnęła palce tam, gdzie jego wargi dotknęły jej skóry.

\* \* \*

Rankiem cała czwórka – z Ree, drepczącą wiernie za Izoldą – poszła do kościoła, by pomóc znękanemu księdzu i kościelnemu w spisywaniu ogłoszeń o zaginionych. Przyczepione do drzwi kościoła kartki z opisem dzieci, które nigdy nie wrócą do domu, przeznaczone dla rodziców, którzy nie przyjdą ich szukać, furkotały na wietrze. Ludzie czekali w kolejce, żeby się wyspowiadać, a widmo

śmierci wisiało nad nimi jak ciężka chmura. Coraz więcej osób wkraczało powoli do miasta przez północną bramę, szukając dzieci, które odeszły z Johannem. Spoglądały na muł, kałuże i połamane deski na placu targowym, jakby nadal nie wierzyły, że potworna fala wtargnęła w sam środek Piccolo i cofnęła się, pozostawiając po sobie tak wielkie zniszczenia.

W kaplicy przy kościele przygotowywano małe zwłoki do pochówku. Luca i brat Piotr z zaciśniętymi zębami opisywali ubrania, kolor włosów, wiek, znaki szczególne dzieci, by rodzice – o ile zjawią się tu, by ich szukać – mogli je rozpoznać na podstawie opisu. Kiedy już spojrzeli w każdą sinoblada twarz i odnotowali wszystkie brakujące zęby i piegowate noski, skinęli na dwie kobiety, które zaszyły ciała w całuny i ułożyły je po dwa na sporządzonych naprędce noszach. Kobiety, które zajmowały się uzdrawianiem, przyjmowaniem porodów i



przygotowywaniem ciał do pochówku, wykonywały wszystkie czynności z cichym szacunkiem dla zmarłych, ale na brata Piotra i Lucę patrzyły spode łba, a kiedy w kościele zjawiły się Izolda, Iszrak i Ree, odwróciły się do nich tyłem, nie witając się z nimi.

– O co im chodzi? – mruknęła Iszrak do Izoldy.

Wyczuła wrogość, ale jej nie rozumiała.

– Może chcą je oplakiwać – odparła Izolda.

Nowy cmentarz znajdował się daleko za kościołem, tuż za murami Piccolo, na niedawno poświęconej ziemi za bramą północną. Roztaczał się z niego widok na morze. Oparci o łopaty grabarze stali przy wielkim dole, gdzie miały spocząć wszystkie dzieci, które straciły życie, idąc za Johannem w przeświadczeniu, że Bóg je pobłogosławił. Izolda spojrzała na mężczyzn, delikatnie składających ciała w całunach na dnie szerokiej jamy, po czym poprowadziła Ree do księdza, którego sutanna, wzdymając się na wietrze, zasłaniała grób i małe

ciasno ułożone zwłoki. Ojciec Benito odczytał fragment z Biblii, przekrzykując nieustanne wrzaski mew i bardziej oddalony gwar ludzi, którzy sprząтали domy, osuszali zalane izby i naprawiali dachy i okna. Na skromnym pogrzebie zjawilo się pół tuzina osób, a gdy odchodzili od grobu, zasypywanego przez grabarzy mialką ziemią, ksiądz obiecał, że zamówi kamienny nagrobek, upamiętniający dzieci, które ruszyły w morze, jako pielgrzymów.

– Jeśli tu wrócić, przekonacie się, że o nich nie zapomnieliśmy – powiedział do brata Piotra. – Ani o naszej stracie.

– Wiecie, ilu mieszkańców zaginęło? – spytał cicho Luca.

– Około dwudziestu – powiedział ksiądz, czyniąc znak krzyża. – I pół tuzina naszych dzieci. To straszny cios, ale tutejszych ludzi los bardzo często doświadcza. Gdyby wybuchła zaraza, stracilibyśmy tyle samo osób. Gdyby sztorm zaskoczył rybaków na

morzu, moglibyśmy stracić jedną czy dwie łodzie i pięciu czy sześciu mężczyzn. Pięć lub sześć rodzin pograżyłoby się w rozpacz i żałobie. Gdy sto lat temu przeszła tędy czarna śmierć, miasto wymarło: połowa mieszkańców straciła życie w ciągu miesiąca, nie mieliśmy plonów, bo nie było komu obsiać pól, ryby mnożyły się w morzu i nie było ich komu łowić. Bóg nas w ten sposób doświadcza; ale w tym tygodniu zesłał na nas prawdziwą próbę.

– Przeklinać je, nie błogosławić! – rozległ się nagle krzyk kobiety, która bez tchu wbiegła po kamiennych schodach, z podkasaną spódnicą w zaciśniętych pięściach, z dziko rozwichrzonymi włosami i twarzą wykrzywioną grymasem rozpacz. – Oby Szatan zaciągnął je do piekła! Powinniście rzucić ich ciała z klifu, a nie dawać im miejsce na poświęconej ziemi. Niech będą przeklęte!

– Co to ma znaczyć? – Ksiądz rozłożył szeroko ramiona i zagroził jej drogę, jak rozpędzonemu

koniowi. – O co chodzi, pani Ricci? Czemu pani tak biegnie? Wstyd! Proszę się uspokoić!

Kobieta rozejrzała się dziko; widać było, że ledwie zauważa księdza.

– Trzeba je wrzucić do morza, a nie grzebać po chrześcijańsku! – krzyknęła. – Strzeżcie się! To czarownicy! Oddajecie cześć naszym mordercom! Demonom!

Wokół zaczęli się gromadzić ludzie, którzy uczestniczyli w skromnym pogrzebie, a także inni, przyciągnięci z daleka krzykami kobiety.

– Czarownicy – powtórzył ktoś ze strachem w głosie. – Czarownicy?

– Diabły – oznajmiła kobieta. – Te rzekome dzieci, które twierdziły, że idą w krucjacie! Czy to nie czarownicy, udający świętą misję tylko po to, by nas podejść? Czy to w ogóle ludzie? Pojawiły się tutaj bez jednego dorosłego, bez matek i ojców. Prowadził je chłopiec piękny jak anioł, lecz o dziwnych oczach

koloru morza. Daliśmy im chleb, mięso i ser, a one w podzięce sprowadziły na nas to piekło. Teraz mój syn zaginął w morzu, mój mąż także; te diabły odebrały nam spokój. A wy macie czelność wyprawiać im chrześcijański pochówek? Grzebać je tak jak kogoś z nas?

Ksiądz wymienił z Luca zaniepokojone spojrzenia.

– O czym ona mówi? – spytał Luca.

– O tym, że morze daje lub odbiera środki do życia, a pogoda daje lub odbiera bezpieczeństwo – wyjaśnił ojciec Benito. – Ludzie tu wierzą, że istnieją czarownicy, którzy magią wzywają burze.

– Naprawdę w to wierzą? – szepnął Luca. – Uważają, że to możliwe? Myślą, że człowiek potrafi przywołać wiatr, sprowadzić sztorm?

– Widzieli takie rzeczy. – Ojciec Benito rozłożył ręce. – Inkwizytorze, mogę ci to powiedzieć pod przysięgą. Sam widziałem takie rzeczy. Widziałem,

jak kobieta sprowadza sztorm na łódź mężczyzny, którego nienawidziła. Widziałem to na własne oczy: rzuciła na niego klątwę, gdy jego łódź wypływała z portu. Jeden z marynarzy, który zdołał dopłynąć do brzegu, mówił o strasznych, zimnych światłach, które tańczyły wokół masztu, aż łódź zatoneła.

– To była kruczata czarowników! Boże, zlituj się nad nami! – krzyknęła kobieta. – A wy ich chowacie w poświęconej ziemi?

Ksiądz spojrzał na nią.

– Pani Ricci, te dzieci były niewinne. Uczestniczyły w świętej krucjacie. Śpiewały hymny, idąc przez morze.

Kobieta oskarżycielsko wycelowała palec w Ree.

– Wszystkie? – spytała z twarzą wykrzywioną chytrym grymasem. – Czy wszystkie utonęły? A może niektóre przywołały falę i bezpiecznie uciekły? Czy nie stoi tu dziewczynka, która przybyła tu jako jedna z pierwszych, zebrząc o chleb, a jednak uciekła,

zanim uderzyła w nią fala... w milczeniu, nikogo nie ostrzegając? W dodatku teraz zjawiała się na pogrzebie innych? Raduje się ze swojego zwycięstwa! Kpi z nas! Kim ona jest? I co jeszcze knuje? Sprowadzi pioruny? Zarazę? Czy z jej włosów wypełzną węże? Z jej ust będą wyskakiwać żaby?

– No, dosyć tego – odezwała się Izolda, zasłaniając dziewczynkę własnym ciałem. – To tylko dziecko. Rozumiem pani boleść, pani Ricci, ale wszyscy straciliśmy kogoś bliskiego. Musimy się nawzajem pocieszać...

– Kim one są? – Pani Ricci przeniosła wzrok ze współczującej twarzy Izoldy na Luce. – I skąd macie pewność, że to śmiertelnicy? Możecie sobie mówić, że ta dziewczyna to zwykłe dziecko, tak jak tamte, ale one nie zachowywały się jak zwykłe dzieci. Przyszły bez rodziców, kto wie skąd? A może wezwały wielką falę i odpłynęły na niej? Tak jak planetnicy na chmurze?

Ksiądz ze smutkiem pokręcił głową, uniósł rękę w błogosławieństwie i odwrócił się od rozgniewanej kobiety, nie chcąc odpowiadać na jej pytania. Ruszył do bramy, kierując się w stronę miasta, ale nic nie mogło zniechęcić pani Ricci. Dołączyły do niej trzy kobiety, które wpatrywały się w Ree, układając palce w znak chroniący przed czarami.

– To idiotyczne. – Izolda przyciągnęła do siebie Ree i pospieszyła za księdzem.

Trzy kobiety natychmiast pobiegły naprzód i usiłowały zamknąć przed nią bramę. Iszrak wyprzedziła je i chwyciła drewniane skrzydło, napierając na kobiety. Wbiła mroczne spojrzenie w panią Ricci.

– Nie radzę – wycedziła.

Kobiety, onieśmiałe jej spojrzeniem i mocnym pchnięciem, ustąpiły i pozwoliły przejść Izoldzie i Ree. Iszrak podążała tuż za nimi, jakby je ubezpieczała.



– Nie, chwileczkę – odezwał się jakiś mężczyzna, zatrzymując księdza. – Nie tak szybko, ojcze. Odpowiedz kobietom. Mówią prawdę. Niektóre dzieci zdążyły uciec przed falą. Skąd wiedziały, że mają uciekać?

– Czy ostrzegły innych? – dodał drugi. – Czy ostrzegły nas? Nie!

– Biegły w milczeniu – wtrąciła jakaś kobieta. – Żadne nawet słówkiem nie pisnęło o tym, na co się zanoszą.

Zimna rączka Ree wsunęła się w dłoń Izoldy.

– Uciekaliśmy ze strachu – szepnęła.

Iszrak stanęła obok Izoldy, z drugiej strony osłaniając dziewczynkę przed coraz bardziej rozgniewanym tłumem, który zablokował drogę prowadzącą do kościoła. Głosy zebranych rozbrzmiewały donośnie w wąskiej uliczce. Ojciec Benito przeszedł przez ciżbę i wspinał się po schodach do kościoła, skąd ujrzał ludzi nadciągających z placu

targowego i ze swoich domów – nadal brudni po pracy w ruinach domów, patrzyli podejrzliwie i z lękiem.

– Czy nie skusiły naszych dzieci obietnicami? Czy nie dawały fałszywego świadectwa, by nas zwabić? A potem przyszła fala. A ich przywódca, Johann? Widzieliście jego ciało? A może wezwał falę, która nas zatopiła, a sam pozegłował w chmury?

– Właśnie! – odezwał się ktoś z tłumu. – Nie wiemy, kim byli, a pojawili się tuż przed falą.

– To oni wezwali falę! – zawołał ktoś inny. – Ma pani rację, pani Ricci! To oni ją na nas sprowadzili!

– Zemszczę się! – Pani Ricci podniosła głos, przekrzykując narastający pomruk tłumu. – Przysięgam, że się zemszczę za syna i męża! Ci czarownicy zostaną spaleni, a ich prochy rzucone na wiatr burzy, którą sami ściągnęli!

Izolda wzdrygnęła się i mocniej chwyciła Ree, która wtuliła się w nią ze wszystkich sił, jakby chciała

się ukryć pod jej samodziałową oponczą. Luca i brat Piotr weszli po schodach kościoła i dołączyli do ojca Benita, przygotowując się do konfrontacji z tłumem i uspokojenia ludzi. Luca obejrzał się na Iszrak, która lekko wspięła się na palce, jakby spodziewała się ataku.

– Uspokójmy się – powiedział zdecydowanie i na tyle głośno, by przebić się przez głosy ludzi i szalone krzyki mew. – Jestem inkwizytorem, którego mianował sam papież. Zostałem wysłany, by sporządzić mapę lęków świata chrześcijańskiego, i jeśli wasz zacny ojciec Benito się zgodzi, przeprowadzę dochodzenie w sprawie tej osobliwej i przerażającej fali.

Oczy wszystkich spoczęły na księdzu.

– Zezwól na dochodzenie! – krzyknął ktoś. –  
Znajdź winnych!

Ojciec Benito zwlekał z odpowiedzią.

– Chcecie, żebym poprosił inkwizytora z zakonu

Ojca Świętego o stwierdzenie, dlaczego morze wtargnęło do Piccolo? – spytał sceptycznie. – A może jeszcze niech nam wytłumaczy, dlaczego deszcz pada? Albo grzmoty są tak głośne?

– Śmiejesz się z jej rozpaczy? – krzyknęła oskarżycielsko jedna z kobiet, wskazując panią Ricci. – Nie odpowiesz jej? Nawet nas nie wysłuchasz?

Gniewny pomruk tłumu zmienił się we wściekły ryk. Ojciec Benito zrozumiał, że tym ludziom nie można przemówić do rozsądku. Zerknął na Lucę i skapitulował.

– Proszę bardzo. Jak sobie życzycie. Bracie Luco Vero, czy zgodzisz się przeprowadzić dochodzenie? Chcemy usłyszeć, co te zacne kobiety mają do powiedzenia. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli dadzą wyraz swoim obawom, a ty nam powiesz, czy mogliśmy jakoś zapobiec tej powodzi.

– Tak! – krzyknęła triumfalnie jedna z kobiet. – Poznamy winnych!

– Zgłębię przyczyny pojawienia się tej fali i powiem papieżowi, do jakich wniosków doszedłem – rozstrzygnął Luca. – Jeśli spowodował ją człowiek, dopilnuję, by został postawiony przed sądem i ukarany.

– Na stos! – zawołała pani Ricci. – A prochy rzucić na wiatr!

– Dopilnuję, by sprawiedliwość została wymierzona – obiecał Luca, ale jego spokojny ton tylko ją bardziej rozwścieczył.

Rzuciła się ku niemu, chwyciła go za ręce i z furią krzyknęła mu w twarz:

– Wiesz, że czarownice sprowadzają sztormy? Wiesz o tym?

Luca musiał się opanować, żeby się przed nią nie cofnąć.

– Wiem, że wiele osób w to wierzy. Ale sam nie znalazłem nigdy nikogo winnego takiej rzeczy, choć o tym czytałem.

– Czytałeś! – rzucił ktoś z pogardą. – Właśnie to zobaczyłeś! W jakiej książce znajdziesz to, co nas spotkało? W jakiej książce opisano falę, która niszczy miasto w słoneczny dzień? Bez powodu?

Luca powiódł wzrokiem dokoła; oblegająca ich grupka wciąż rosła. Nadchodziło coraz więcej ludzi, którzy nie byli już pobladli z przerażenia i oniemiałi, lecz rozgniewani, i zaczęli się stawać niebezpieczni. Szukali winnych tragedii, która ich spotkała.

– Sądzę, że mogą istnieć książki, które o tym mówią – rzekł ostrożnie. – Sam ich nie czytałem; to starożytne mądrości, przechowywane w arabskich bibliotekach. Jest to coś, co musimy zrozumieć, by zadbać o swoje bezpieczeństwo. Rozważę starannie wszystko, co macie do powiedzenia. Rozpocznę dochodzenie jeszcze dziś po południu, w karczmie.

– O tak, to dobre miejsce – odezwała się z nienawiścią jedna z akuszerok z kościoła. – Zacznij

od karczmy, od pokoju na poddaszu.

– Co...? – Luca zająknął się, zaskoczony nagłą wrogością w jej głosie.

Kobieta uniosła palec. Tłum zamilkł, patrząc, jak akuszerka powoli odwraca się w stronę Iszrak, Izoldy i małej Ree. Natychmiast rozległ się pomruk aprobaty.

– Wskaż je! – rzucił ktoś.

– Mów!

– Wskaż czarownice!

– Pokój na poddaszu – powtórzyła kobieta. – Bezpieczny. Mogły w nim wezwać burzę, sprowadzić straszną falę, a potem pofrunąć na dach jak mewy, podczas gdy woda zatopiła nas, śmiertelników.

– Nie pofrunęły na dach!

– Czy nie przeczekały sztormu, siedząc bezpiecznie na dachu?

– Mogę ręczyć za te damy – oświadczył stanowczo Luca. – Ja też byłem na tym dachu.

– Sam powiedziałeś, że Arabowie wiedzą, jak powstają takie fale...

– Powiedziałem, że mają książki, prace starożytnych...

– To Arabka! Może nie? Nie kształcili jej na swój sposób?

Iszrak, z płonącymi oczami, wystąpiła naprzód, by się bronić; Luca uniósł rękę, nakazując milczenie.

– Dobrze znam tę młodą kobietę – oznajmił. – Wychował ją pan Lucretili, krzyżowiec i chrześcijanin. Nie istnieje nawet cień podejrzenia, że mogłaby zrobić coś złego. Gwarantuję...

Stado mew, żerujące na gruzach, spłoszyło się i z przeraźliwym wrzaskiem zaroilo na niebie, wprost nad głowami tłumu.

– Dusze topielców! – zawołał ktoś.

Kilka kobiet przeżegnało się z trwogą.

– Domagają się sprawiedliwości!

– Mogę zagwarantować... – podjął Luca.



– Nie możesz – pogardliwie przerwała mu jedna z kobiet. – Bo nie wiesz wszystkiego. Kiedy ty, ślepy głupiec, rozmawiałeś z Johannem Dobrym, te dwie młode kobiety przebywały za murami miasta i wzywały burzę na zielonym jeziorze.

Przez tłum przebiegł pomruk konsternacji. Kobieta stojąca przy Iszrak zrobiła krok do tyłu i splunęła na ziemię przed nią. Połowa kobiet z tłumy ułożyła palce w znak chroniący przed czarami.

– Zielone jezioro? – odezwał się ktoś. – A co one tam robiły?

– O co chodzi? – spytał brat Piotr, wysuwając się do przodu.

Stara kobieta nie cofnęła się; jej towarzyszka stanęła obok, a obie dołączyły do pani Ricci. Ich twarze wykrzywiała nienawiść.

– Widziałyśmy je – powiedziała tak głośno, że ludzie, którzy dopiero teraz dołączyli do zgromadzenia i znajdowali się na końcu tłumy, mogli

usłyszeć każde słowo oskarżenia. – Widziałyśmy te dwie młode kobiety, odziane tak schludnie i wyglądające na takie niewiniątka. Wymknęły się z miasta o zmierzchu i wróciły, gdy zapadał zmrok, całe mokre. Weszły do zielonego jeziora i przywołały sztorm. A następnego dnia pojawiła się fala. To one ją wezwały, a złe dzieci uprowadziły ze sobą nasze córki i naszych synów.

– Nie zrobiłyśmy tego! – rzuciła Izolda, wodząc spojrzeniem po zawziętych, wściekłych twarzach. – Chyba oszaleliście, jeśli w to wierzycie.

– Co? – krzyknął ktoś z nienawiścią. – To wy jesteście szalone, skoro sprowadziłyście na nas coś takiego!

– Wezwały sztorm na zielonym jeziorze, powiodły nasze dzieci na pewną śmierć. Nie pozwolimy żyć czarownicy!

– Tak! – ryknął jakiś mężczyzna. – Sama Biblia mówi: „Nie pozwolisz żyć czarownicy!”.

Tłum zbliżył się do dwóch młodych kobiet trzymających między sobą dziewczynkę. Ree zanurkowała pod opończę Izoldy i mocno objęła dziewczynę w talii, płacząc ze strachu. Izolda pobladła jak chustka okrywająca jej włosy. Iszrak stanęła przed nią i rozłożyła ręce, czujna, gotowa do walki.

Luca uniósł dłonie i krzyknął:

– To moje przyjaciółki! Nam morze także zabrało towarzysza. Nie możecie sądzić, że wezwały fale, w której zginął!

– A właśnie że możemy – warknęła pani Ricci z nienawiścią. – Wszyscy tak myślimy. To ty dałeś się zwieść. Jak zamierzasz przeprowadzić dochodzenie, skoro nie zadajesz najważniejszych pytań? Co robiły nad jeziorem?

Zbity z tropu Luca spojrzał na Izoldę.

– Co robiłyście nad jeziorem?

Dziewczyna oblała się rumieńcem gniewu,

oburzona tym publicznym przesłuchaniem.

– Jak śmiesz mnie o to pytać?!

– Mam prawo! – krzyknął w porywie wściekłości spotęgowanej strachem przed tłumem. – Nie bądź głupia! Natychmiast odpowiedz! Co tam robiłyście?

– Myłyśmy się – odrzekła z pogardą w głosie. – Wyszłyśmy, żeby się wykąpać.

– Wykąpać się? – prychnęła jedna z akuszerok. – W zielonym jeziorze? Po zmroku? To czarownice, przecież to widać w ich oczach!

Tłum odpowiedział niebezpiecznie głośnym pomrukiem aprobaty, zachęcając kobiety do ataku.

– Oskarżysz te, które sprowadziły burzę? – naciskała akuszerka. – Te kobiety, które przyszły z tobą, i dziecko, które zjawilo się później, ich małą pomocnicę? Postawisz tę trójkę przed sądem?

– Tamte dzieci i te dwie kobiety wezwały falę. To dziecko o tym wie. Musisz je przesłuchać – odezwał się jakiś mężczyzna z tłumu, w kapocie pobrudzonej

szlamem po uprzączeniu domu. – I spalimy je na stosie.

– Tak! – zgodziła się jakaś kobieta. – Jeśli są winne, utopimy całą trójkę w przystani!

Rączka Ree zacisnęła się na spokojnej dłoni Izoldy.

– Co oni mówią? – szepnęła przerażona dziewczynka.

– Zapewniam was, że te kobiety są niewinne – zaczął Luca. – I dziecko również.

– No to poddaj je próbie! – krzyknął ktoś.

– Mówisz, że jesteś inkwizytorem, a więc przeprowadź dochodzenie! W tej chwili!

– Przeprowadzę. – Luca usiłował odzyskać panowanie nad rozgniewanym tłumem. – Przeprowadzę dochodzenie dziś po południu. Właściwe dochodzenie...

– Nie po południu, teraz! – przerwał mu mężczyzna w brudnej kapocie.

– Przeprowadzę dochodzenie – powtórzył Luca przez zaciśnięte zęby. – Właściwe dochodzenie, w porze, którą wyznaczę. A brat Piotr napisze raport dla przełożonego naszego zakonu i dla Ojca Świętego. Wy zaś zeznacie pod przysięgą, co widzieliście... – Zmierzył rozgniewaną kobietę surowym wzrokiem – Co naprawdę widzieliście, a nie co sobie wyobrażacie. I jeśli była w tym czarna magia, znajdę winnych i ich ukarzę.

– Nawet jeśli uwiodła cię swoimi czarnoksięskimi sztuczkami? – spytała pani Ricci głośno i oskarżycielsko. – Ona, która nocą zakradła się do pokoju mężczyzn?

Policzki Izoldy zapłonęły rumieńcem wstydu, ale to Iszrak wystąpiła naprzód i odpowiedziała z pogardą:

– Nie ma tu żadnej wiedźmy i nie było uwiedzenia. Są przyjaciele i towarzysze podróży, chrześcijanie, pielgrzymi i straszna tragedia, którą

jeszcze zaogniacie swoimi intrygami i podłościami. Niech inkwizytor przeprowadzi dochodzenie, nie bojąc się ani nie wyróżniając nikogo, a wszyscy poddamy się jego wyrokowi.

– W tej chwili – powtórzyła pani Ricci.

– W tej chwili – ustąpił brat Piotr przerażony wrogością i liczebnością tłumu. – Wejdziemy do karczmy i spotkamy się w jadalni. Ja pożyczę od ojca Benita papier i inkaust. Przeprowadzimy dochodzenie, zgodnie z powierzoną nam misją, a wy będziecie mogli się wypowiedzieć.

Mężczyzna w brudnej kapocie nagle skoczył naprzód, chwycił Lucę za ubranie i zbliżył do niego nalaną twarz.

– W tej chwili! – krzyknął. – Powiedzieliśmy „w tej chwili” i ma być w tej chwili. Nie w karczmie! Nie kiedy przyniesiecie papier! Kiedy się naradzicie i obmyślicie jakąś bajeczkę. Teraz! Sprawiedliwości dla utopionych!

Luca odepchnął go, ale mężczyzna był silny i rozzłoszczony i nie rozluźnił chwytu. Iszrak zacisnęła pięści i rozejrzała się, oceniając, ile osób będzie chciało je obezwładnić. Po jej twarzy widać było, że uznała, iż nie ominie ich poturbowanie, a może coś gorszego. Dwie młode kobiety stanęły bliżej siebie, wiedząc, że miejscowych jest o wiele więcej.

– Sprawiedliwości dla utopionych! – ryknął ktoś i zaraz ten okrzyk powtórzyli inni. Biegli wąskimi uliczkami i wrzeszczeli:

– Sprawiedliwości dla utopionych!

– W tej chwili – powiedział Luca. Delikatnie odsunął potężnego mężczyznę, czując, że tłum lada moment może wpaść w szal. – Gdzie? W kościele?

– W kościele – zgodził się mężczyzna i puścił Lucę. Pierwszy wszedł do kościoła, prowadząc za sobą połowę mieszkańców. Pozostali biegli już do nich ulicami. Mężczyzna obejrzał się na brata Piotra. – A ty to spiszesz, tak jak należy. W kościele jest



inkaust i papier. Jeśli są winne, zapiszesz, że oddano je na łaskę i niełaskę mieszkańców Piccolo.

– Jeśli są winne – odparł ojciec Benito.

Iszrak popatrzyła dokoła, zastanawiając się, czy ona, Izolda i Ree mogłyby uciec. Izolda mocno wzięła Ree za rączkę i uniosła suknię, gotowa do ucieczki.

– Nie tak szybko – odezwała się pani Ricci ze złośliwym uśmiechem. – Wy też pójdziecie. Nie myślcie, że znowu pozwolimy wam się pławić w wodzie i wzywać falę z piekła na nas, biednych chrześcijan... ty, podła heretyczko, ty, podła wiedźmo, i ty, podłe dziecko.

Iszrak rzuciła jej wściekłe spojrzenie, choć skryła je cień jej długich rzęs. Dwie młode kobiety i dziewczynka zostały zapędzone do kościoła.

Wnętrze świątyni wypełnił tłum, który przycichł, czekając na rozwój wydarzeń. Luca zasiadł w stallach chóru, mając po jednej stronie brata Piotra, po drugiej ojca Benita. Zeznający świadkowie stawali w

pierwszym rzędzie stalli naprzeciwko. Lampka na ołtarzu rzucała na nich ciepłe światło. Ta święta cisza onieśmieliła tłum, ale nie odebrała mu pragnienia, by wymierzyć sprawiedliwość. Mieszkańcy miasteczka kolejno mówili o swoim spotkaniu z krucjatą i o wielkiej fali.

Opowiadali o dzieciach, które modliły się i żebrały. Wszyscy twierdzili jednogłośnie, że Johann mówił o końcu świata i o tym, iż przejdzie suchą stopą do Jerozolimy. Wszyscy zeznali, że ich kusił, obiecując im ujście utraconych bliskich. Z płaczem wspominali, że Johann przemawiał jakby do każdego z osobna, opisując wydarzenia, o których nie mógł się dowiedzieć inaczej niż od samego Szatana. Przyznawali, że uważali go za anioła, lecz teraz wiedzą, że był przeklęty.

Brat Piotr spisywał zeznania, a Luca słuchał uważnie, coraz bardziej się bojąc, że w tym mieście wydarzyło się coś okropnie złego, co uszło jego

uwagi. Ze skruchą przypomniał sobie, jak wjechał do Piccolo o zmierzchu, po dniu spędzonym z Izoldą, całkowicie nią zafascynowany, i nie zauważył bramy, przystani ani karczmy. Pamiętał, że pożegnał się z dziewczyną na schodach gospody, myśląc tylko o jej bliskości i o tym, że pochyliła się tak, iż mogliby się pocałować. Myślał o przybyciu dzieci do przystani i o tym, jak podniósł głowę, by spojrzeć na dwie piękne dziewczyny w oknie, wołające, że drogą nadchodzą setki dzieci. Słyszał ich słowa, ale widział tylko dwie przepiękne młode kobiety. Pamiętał, jak ostrzegł Iszrak, żeby nie nosiła arabskiego stroju, i jak jej powiedział, że ma skórę w kolorze wrzosowego miodu. Teraz zrozumiał, że dał się błyskawicznie i bez reszty przekonać Johannowi, i postanowił dołączyć do krucjaty w egoistycznej nadziei, że znowu zobaczy rodziców. Był półprzytomny, przepełniony grzesznym pożądaniem, opętany własnymi nadziejami i lękami. Nie mógł sobie

darować, że pozostawał ślepy na wydarzenia, które działały się na jego oczach, i że pozwolił, by fala zalała miasteczko.

„Powinienem być jak Noe – pomyślał – on by wiedział, że nadchodzi potop, i przygotowałby bezpieczne schronienie. Gdybym był prawdziwym inkwizytorem, a nie zakochanym młokosem, nie uległbym zauroczeniu i może nawet zauważyłbym coś – ruch morza, wielkość księżyca – co pozwoliłoby mi przewidzieć zbliżającą się katastrofę”. Pełen wstydu, siedział jak skamieniały, przysłuchując się zeznaniom.

– Co z młodymi damami? – zawołała z głębi kościoła jedna z akuszerok. – Pytasz o rzeczy, które znamy, o których wszyscy wiemy. A te kobiety i ich poczynania?

W kościele natychmiast rozległ się pomruk podejrzliwości i niepokoju.

– Postawić je przed sądem! I niech zeznają.

Luca wstał ciężko i spojrzał w mrok nawy.

– Pani Izoldo, panno Iszrak! – zawołał.

Dziewczęta ruszyły powoli z głębi kościoła, gdzie klęczały. Lekkie kroki ich stóp w skórzanych pantofelkach ucichły przed ołtarzem. Luca poważnie wskazał dziewczętom miejsce w stallach naprzeciwko, gdzie stawali inni świadkowie. Spojrzał na nie – inaczej niż zwykle, jakby widział obce osoby, mające niepojętą kobiecą moc.

– I dziecko! – odezwał się ktoś. – Dziecko, które uciekło przed falą!

Izolda pochyliła głowę, żeby ukryć wzburzenie, i wróciła po Ree.

Obie dziewczyny usiadły w milczeniu naprzeciwko Luki, Ree między nimi. Oczy miały spuszczone. Luca przypomniał sobie, że poznał Izoldę, gdy została oskarżona o czary. Teraz znowu padło na nią podejrzenie o najgorszą ze zbrodni. Nagle przeszył go dreszcz przesądnego lęku. Wokół

niej dochodziło do tylu dziwnych wydarzeń, choć zawsze, teraz także, promieniała niewinnością. Mimo woli pomyślał, że kobieta naprawdę dobra nie naraziłaby się na takie podejrzenia – i to dwukrotnie. Izolda zdawała się przyciągać kłopoty, tak jak żelazne pługi w polu przyciągają pioruny.

Ten lęk jeszcze bardziej umocnił go w postanowieniu, że będzie je obie przesłuchiwał zgodnie z wszelkimi regułami. Odsunął od siebie uczucia do Izoldy i przyjrzał jej się krytycznie, bez emocji, usiłując zobaczyć ją taką, jaką widzieli ludzie: dziwną, niezwykłą i niebezpiecznie niezależną.

– Zostałyście oskarżone o sprowadzenie śmiertelnej fali – zaczął głosem spokojnym i mocnym. – Zarzucają wam to ludzie, którzy twierdzą, że o zmierzchu opuściłyście miasto i poszłyście nad zielone jezioro, gdzie wezwałyście burzę, mącąc tafle wody.

Dwie młode kobiety patrzyły na niego w

kamiennym milczeniu. Luca zarumienił się, bo wydało mu się, że w ich spokojnych spojrzeniach widzi pogardę.

– Co odpowiecie na te zarzuty? – spytał. – Muszę je wam postawić, a wy musicie odpowiedzieć.

– Są niegodne człowieka wykształconego – odezwała się Iszrak lodowato. – To lęki głupców.

Arogancja brzmiąca w jej głosie obudziła w kościele pomruk, jakby brzęczenie rozgniewanych pszczół. Jedna z kobiet rozejrzała się triumfująco.

– Słyszycie? Nazywa nas głupcami!

– Mimo to odpowiesz – rzucił z rozdrażnieniem Luca. – I uważaj, by nie urazić tych zacnych ludzi. Co robiłyście nad jeziorem?

– Wyszłyśmy z miasta po południu – przemówiła Izolda głosem bardzo jasnym i spokojnym. – Chciałyśmy się umyć, a gospodyni nie miała dla nas gorącej wody ani balii, którą mogłybyśmy wnieść do naszego pokoju.

– Po co miałyby się myć? W listopadzie? – odezwała się jakaś kobieta z tłumu, stojąca na stopniach prezbiterium.

Rozległy się głosy przyklaskujące jej słowom. Iszrak spojrzała na zebranych z pogardą.

– Służący powiedział nam o jeziorze, w którym pływają chłopcy... – podjęła Izolda.

– Jaka szanująca się młoda dama poszłaby w takie miejsce? – wtrącił ktoś. – W miejsce, gdzie chodzą chłopcy? To pewnie kobiety złego prowadzenia, małe ladacznice.

Izolda drgnęła, jakby ktoś ją uderzył, i spojrzała z nadzieją na Lucę. Ale on nie zrobił nic, by ją obronić.

– Strażnik z bramy twierdzy, że wyszłyście w nocy.

– Było popołudnie – odparła Izolda.

Przez tłum przebiegł pomruk. Ktoś krzyknął:

– Kłamie! Kłamie, przekłeta!

Luca podniósł rękę, uciszając ludzi.



Drzwi otworzyły się z hałasem i ukazał się w nich strażnik z zachodniej bramy.

– Powiedz mu! – Ludzie popychali go, aż stanął przed Lucą, ojcem Benitem i bratem Piotrem.

– Kim jesteś? – Skryba zanurzył pióro w kałamarzu.

– Strażnikiem. Nazywam się Paolo. Zobaczyłem te kobiety i przestrzegłem je, by wróciły przed zmrokiem.

– Czy wyszły o zachodzie słońca? – spytał Luca.

– Zapewne, bo wspomniałem o zamykaniu bram.

– Co odpowiedziały?

– Że idą na spacer.

– Dlaczego miałyby kłamać? – krzyknął ktoś. – Skoro szły się wykąpać? Dlaczego tego nie powiedziały?

– I wyszły o zmroku! Niby dlaczego?

– Wyszły, gdy zapadały ciemności, żeby nikt nie widział, jak wzywają sztorm na zielonym jeziorze!

Luca spojrział na Izoldę i zobaczył w jej ciemnoniebieskich oczach bunt. Dziewczyna patrzyła na niego tak jak podczas ich pierwszego spotkania – kobieta, która musi walczyć ze światem, choć pragnie tylko żyć w spokoju. Kobieta doprowadzona do ostateczności. Kobieta, która nie ufa ani jemu, ani żadnemu mężczyźnie – kobieta osaczona.

– Powiedz tym ludziom – odezwał się. Nagle przeszedł na łacinę, pewien, że poza Izoldą zrozumie go niewiele osób. – Proszę, proszę, moja najdroższa, wyjaw nam prawdę. Powiedz im, że nie wzywałaś burzy. Powiedz, że nie jesteś czarownicą. Ani ty, ani Iszrak. Powiedz im to. Na miłość boską, Izoldo, wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. Mogę ci tylko zadawać pytania... musisz się sama uratować. Powiedz im, co robiłyście.

Izolda powoli wstała i wyszła ze stali, odwracając się twarzą do tłumu.

– Nie jestem czarownicą – przemówiła

dochońnym głosem, który odbijał się echem od kamiennych ścian. – Jestem kobietą o dobrej reputacji. Jestem kobietą, która nie podlega ojcu, ponieważ mój ojciec nie żyje, ani mężowi, bo nie mam fortuny, a żaden mężczyzna nie weźmie mnie bez posagu. Nie podlegam bratu, gdyż jest on zdrajcą. Zatem widzicie mnie taką, jaka jestem: widzicie kobietę, której nie reprezentuje żaden mężczyzna, kobietę żyjącą samotnie. Ale nic z tych rzeczy – doprawdy nic! – nie czyni mnie kobietą złą. Znalazłam się jedynie w niekorzystnej sytuacji. Świadomie nigdy nie dopuściłam się zła. Nie mogę tego udowodnić, musicie mi zaufać, jak ufacie swoim matkom, żonom i siostram. Proszę was, byście myśleli o mnie życzliwie, jak o kobiecie wysokiego rodu, wychowanej na panią zamku. Obecna tu moja przyjaciółka Iszrak, wychowana niemal na moją siostrę, jest taka sama.

Iszrak powoli podniosła się z ławy i stanęła u

boku Izoldy, jakby składała przysięgę.

– Jestem heretyczką i cudzoziemką – powiedziała. – Ale nie zrobiłam nic na cudzą szkodę. Nie wezwałam fali. Nie wierzę, żeby jakikolwiek śmiertelnik miał taką moc. Nigdy nie uczyniłabym niczego, by skrzywdzić dzieci i was, i nigdy nie naraziłabym na niebezpieczeństwo naszego towarzysza podróży Freize’a.

Luca, który siedział ze wzrokiem wbitym w papiery i modlił się, żeby mieszkańcy miasteczka usłyszeli nutę szczerości, wyraźnie dźwięczącą w głosie dziewczyny, nagle podniósł spojrzenie i dostrzegł, że ciemne oczy Iszrak wypełniają się łzami.

– Był prawdziwym przyjacielem, wiernym i serdecznym – mówiła Iszrak zdławionym głosem, w którym słychać było łzy. – Myślę, że chciał być moim ukochanym, a ja byłam tak próżna i głupia, że odmówiłam mu pocałunku.

Wśród młodszych kobiet rozległ się pomruk

współczucia.

– O, niebogo – odezwała się jedna. – A teraz go straciłaś... zanim mu powiedziałaś...

– Straciłam go. I już nigdy mu nie powiem, jak lubiłam, kiedy się śmiał, jak mnie zachwycalo, że był dobry dla wszystkich, nawet dla kociąt, i że rozumiał tak wiele, nieuczony przez nikogo. Nie znałam mądrzejszego człowieka. Niemal ostatnim jego czynem przed śmiercią było uratowanie mnie, Izoldy i przyjaciela, Luki. To dlatego wróciliśmy do gospody, dlatego wiedzieliśmy, że mamy się wspiąć wysoko, do naszego pokoju, a z niego na dach. Nie ma w tym nic tajemniczego. To Freize miał dość oleju w głowie, żeby zauważyć, iż jego kotka miauczy ze strachu, i zobaczył, że wspina się aż na komin. Odgadł, że woda powróci. A teraz go oplakuję... Straciłam najlepszego kawalera, o jakim może marzyć kobieta. Straciłam go przez swoją dumę i kaprysy, a tego, jaki był szlachetny, dowiedziałam się

dopiero, gdy wysłał mnie w bezpieczne miejsce, a sam wrócił, by ratować konie. Musicie wiedzieć, że nigdy nie naraziłabym go na niebezpieczeństwo. Nazywacie mnie heretyczką. Nazywacie mnie obcą. Ale nie możecie myśleć, że nasłałabym wielką falę na Freize'a... Nigdy nie zrobiłabym mu krzywdy.

– Przepuście mnie! – przerwał jej jakiś głos od drzwi.

Tłum rozstał się, ukazując chłopca stajennego, którego poganiał karczmarz, czerwony i wściekły.

– Co się stało? – spytał brat Piotr, przestraszony nagłym hałasem, a gdy rozpoznał karczmarza, za którym szła żona, dodał: – Dobry Boże, co znowu?

– Ten tutaj ma coś do powiedzenia – oznajmił karczmarz. – Mały łobuz!

Chłopiec, którego twarz była równie szkarłatna jak ucho, za które trzymał go gospodarz, spuścił głowę.

– Chcesz nam coś powiedzieć? – spytał Luca. –

Możesz mówić bez lęku. – I dodał, zwracając się do karczmarza: – Puść go, to go boli.

– Poszedłem za nimi – wyznał chłopiec, rozcierając ucho. – Nad jezioro.

Tłum zaszemrał z ożywieniem.

– Co widziałaś?

Chłopiec pokręcił głową i oblał się jeszcze ciemniejszym rumieńcem.

– Były nagie – oznajmił. – Podglądałem je.

Luca poczuł, że z jakiegoś powodu także się rumieni; gorąco rozlało się na jego policzkach i uszach.

– Pływały nago?

– Pływały i myły się mydłem. Woda była zimna. Piszczwały jak prosiaki. Umyły sobie nawzajem włosy i zaplotły je w warkocze. Potem wyszły z wody.

– Czy robiły coś... – Luca urwał i odkaszlnął. – Czy robiły fale na jeziorze, lały do niego wodę z dzbanka albo wypowiadały jakieś dziwne słowa? Czy

robiły coś, co nie było myciem się i pływaniem?

– Bawiły się – odparł chłopiec. Spojrzał na Luce, szukając jego zrozumienia. – Pływały, ochlapwały się wodą, wierzgały nogami... były bardzo... bardzo...

– Bardzo?

– Bardzo ładne. – Chłopak spuścił nisko głowę i skulił się ze wstydu. – Patrzyłem na nie. Nie mogłem oderwać wzroku. Ta... – wskazał ramieniem Izoldę, jakby nie ośmielał się wycelować w nią palca – miała na sobie koszulę. Ale ta druga była naga. – Podniósł głowę i zerknął na zaczerwienioną twarz Luki. – Golusieńka jak ją Pan Bóg stworzył, a skórę miała jak brzoskwinia. W życiu nie widziałem czegoś tak pięknego. A jej...

– Będziesz musiał się wypowiadać – wtrącił czym prędzej ksiądz, zanim chłopiec zagłębił się w opis Iszrak, promiennej jak brzoskwinia, nagiej w wodach jeziora. – Masz nieczyste myśli.

Chłopak poczerwieniał jeszcze bardziej. Spojrzał



błagalnie na Lucę.

– Taka ładna... Każdy by patrzył. Ty też byś nie mógł odwrócić wzroku.

Luca spuścił oczy na swoje dokumenty, świadom własnego nieczystego pożądania.

– Tak, no cóż – rzucił. – To już chyba rozumiemy. Ale czy nie widziałeś nic, co by oznaczało, że wzywają wielką falę?

– Nie robiły tego. Bawiły się i kąpały jak wszystkie dziewczyny. Poza tym było popołudnie.

– Strażnik powiedział im, że wkrótce zamyka bramę.

– Mówi to każdemu – oznajmił chłopiec, a w tłumie rozległy się szepty potwierdzające jego słowa.

– Zawsze zamyka bramę wcześniej i otwiera ją późno. Nigdy nie przestrzega pory. Robi, co chce, a potem zwraca nam uwagę, że przyszliśmy za późno albo za wcześnie.

Luca rozejrzał się po zebranych, by wyczuć, czy

są zadowoleni, czy może już zakończyć dochodzenie. Pani Ricci i dwie akuszerki miały zacięte, nienawistne twarze, ale reszta zgromadzonych, oplakujących utracone dzieci i bliskich, była zmęczona. Ludzie uważali, że zmarnowali czas na oskarżanie dziewcząt, które nie zrobiły nic poza tym, że po południu poszły popływać w jeziorze.

– Uznaję, że ani dzieci z pielgrzymki, ani te podróżne nie zrobiły nic, by sprowadzić falę – oznajmił. Po jego słowach zapadła cisza, w której rozległo się westchnienie rezygnacji. – I taki raport złożę.

– Zgadzą się – powiedział ojciec Benito, wstając i patrząc na swoją trzódkę. – Otrzymaliśmy wielki cios, którego przyczyn nie znamy. Niech nam Bóg przebaczy i otoczy nas opieką.

– A dziewczynka? – spytała żona karczmarza. Spojrzała na Ree. – Czy także jest oczyszczona?

– Jak mogą być uniewinnione wszystkie trzy? –

odezwała się z rozdrażnieniem jedna z akuszerok.

– Bo wszystkie trzy są niewinne – oznajmił dobitnie Luca. – Nie ma przeciwko nim żadnych dowodów.

– Ree nie zrobiła nic złego – wtrąciła Izolda. – Czy możemy jej znaleźć dom? Bardzo oddaliła się od swojej wioski i jest sama na świecie.

Mieszkańcy Piccolo powoli wyszli z kościoła. Niektórzy zatrzymali się jeszcze, by zapalić świeczkę w intencji zaginionych bliskich. Luca skinął głową bratu Piotrowi.

– Może postawimy im w karczmie po szklaneczce grappy? – spytał. – Za dobrą wolę?

Brat Piotr przytaknął i szepnął słowo karczmarzowi, który wyszedł szybkim krokiem wraz z żoną. Brat Piotr zaczął zbierać kartki. Luca i dwie młode kobiety mogli odetchnąć.

– Zostałyście uniewinnione – powiedział Luca. – Znowu.

Uśmiechnęły się z pewnym przymusem.

– Nie szukamy kłopotów – odparła Izolda.

– Ale one podążają za wami.

Iszrak usłyszała w jego głosie przyganę.

– Każda kobieta, która schodzi z wytyczonej drogi, naraża się na kłopoty – powiedziała spokojnie.

– Rzeczywiście, kłopoty podążają za nami. Musimy z nimi walczyć.

– Myślisz o fali? – zwróciła się Izolda do Luki, który przyglądał się, jak brat Piotr czyta notatki.

– To nie jest raport – rzucił z irytacją, roztrącając papiery. – To same śmieci. Parę starych kobiet, które opowiadają przerażające bajki. Ale zadają właściwe pytanie: co spowodowało to zjawisko? Dlaczego powstała tak wielka fala? Wiem, że nie przez waszą kąpiel w jeziorze, ale nie mogę podać innego wyjaśnienia. I co najważniejsze: nie mogę ich zapewnić, że to już się nie powtórzy. Bo jeśli? Choćby dzisiejszej nocy? – Luca zniżył głos, żeby nie słyszeli

go ludzie opuszczający kościół.

Izolda przeżegnała się na myśl o takim nieszczęściu.

– Ja też się nad tym zastanawiałam – odezwała się niespodziewanie Iszrak. – Może to trzęsienie ziemi? Może runęła góra albo potężny klif, gdzieś daleko? Może to spowodowało falę, jedną wielką falę, tak jak w misie z wodą powstają fale, gdy wrzucisz do niej kamień.

Brat Piotr wstał i uśmiechnął się, rozbawiony tym prozaicznym obrazem, typowym dla kobiety, niezdolnej wyobrazić sobie ziemi jako bezładu, pustkowiec i ciemności nad bezmiarem wód, nad którymi unosił się Duch Boży, jak opisuje to sama Biblia.

– Morze to nie miska z wodą – zwrócił jej łagodnie uwagę. – Nie faluje dlatego, że ktoś wrzucił do niego kamień. Nie kołysze się jak w balii, w której myjesz naczynia.

– Nie powiedziałam tego. Ale małe zjawiska czasem rządzą się takimi samymi prawami jak większe. Falę mogło spowodować trzęsienie ziemi, upadek wielkiej skały. Tak jak można wzburzyć wodę w balii, wrzucając do niej kamyczek.

– To prawda – wtrącił Luca. – Ale dlaczego o tym pomyślałaś?

– Platon tak właśnie opisywał zatonięcie Atlantydy. Twierdził, że potężne trzęsienie ziemi spowodowało wielką falę, która zatopiła wyspę.

– Platon? – powtórzył sceptycznie brat Piotr. – Jakim sposobem dziewczyna mogła czytać Platona? Słyszałem o nim, ale nie czytałem niczego, co napisał. Nigdzie nie ma kopii jego prac.

– Nie takich, jakie mógłbyś przeczytać, przetłumaczonych na język włoski. Ale my, Arabowie, mamy jego dzieła. Kilka zostało przełożonych z greki na arabski. Czytałam ich wyjątki po arabsku, gdy byłam w Hiszpanii, z Izoldą i jej ojcem, i mogłam

uczęszczać na uniwersytet. Platon to filozof, który opowiada o takich osobliwościach jak wielka fala i wyjaśnia je w przedziwny sposób.

– Miałaś wielkie szczęście – mruknął brat Piotr, z irytacją zgarniając papiery i zatykając butelkę z inkaustem. – Heretyczka i kobieta, a czytała tak wielkiego myśliciela. Musisz uważać, żeby nie nadwerężyć umysłu. Kobiety nie potrafią rozumować abstrakcyjnie.

Iszrak wzruszyła lekko ramionami.

– Mój umysł ma się na razie dobrze, ale dziękuję za troskę. W każdym razie Platon mówi, że zatopienie Atlantydy mogło nastąpić po wielkim wstrząsie ziemi. A to mi nasunęło myśl, że może to nie wola Boga, diabła czy czarownic sprowadzających burzę, jeśli takie w ogóle istnieją. Może to działo się zgodnie z naturą. Choć nie pojmuję, jak Bóg mógł stworzyć świat, w którym dochodzi do takich rzeczy.

Brat Piotr poczuł, że stoi na pewniejszym

gruncie.

– Aha, zadajesz ważne pytanie. To dlatego, że idealny, stworzony przez Boga świat obrócił się w ruinę z powodu grzechu pierworodnego, gdy kobieta zjadła jabłko.

Izolda i Luca zerknęli na siebie z rozbawieniem. Oboje wiedzieli, że za parę chwil Iszrak pokłóci się z bratem Piotrem.

Iszrak spojrzała na niego zuchwale.

– Co złego jest w zjedzeniu jabłka?

– Bo jabłko nie oznacza tylko jabłka. Jabłko oznacza wiedzę.

Luca mrugnął do Izoldy.

– Kobieta chciała wiedzy?

– Tak – powiedział brat Piotr tonem uczonego. – Jednak wolą Boga było, by kobieta i jej mąż jej nie posiadli.

Iszrak zmierzyła go takim wzrokiem, jakby mógł sobie darować to wyjaśnienie.



– Można by przypuszczać, że wszechwiedzący Bóg powinien przewidzieć, iż kobieta zapragnie wiedzy – zauważyła. – Bo dlaczego nie? Dlaczego nie miałabym jej pragnąć? Jaka kobieta chciałaby żyć w niewiedzy? Jaki mężczyzna? I dlaczego Bóg miałby chcieć, żeby ludzie pozostali tak nieświadomi jak ci biedni wieśniacy, którzy wierzą, że ludzie mogą przyzywać burze, a diabeł poświęca czas i energię, żeby im szkodzić?

Brat Piotr niemal stracił mowę z oburzenia. Wziął papiery, skłonił się przed ołtarzem i odwrócił do wyjścia.

– Nie ma sensu wyjaśniać ci takich rzeczy. Jesteś heretyczką i dziewczyną.

Nie wiadomo, co uważał za gorsze.

– Pan Lucretili był zdania, że dziewczyna może się uczyć i że nie jest to wbrew jej naturze – odcięła się Iszrak. – Kobiety, takie jak Hypatia z Aleksandrii, nauczały innych, nie szkodząc sobie. Dlatego w

Hiszpanii pan Lucretili wysłał mnie na uniwersytet w Granadzie. Wykształcenie jest ważne dla nas, heretyków. Wiele Arabek je posiada. My, Maurowie, wierzymy, że kobieta może się uczyć tak jak mężczyzna. Nie uważamy, że dowodem jej pobożności jest głupota.

– Ale nie posłał własnej córki na te heretyckie nauki, prawda? Dbał o jej dobro – zauważył brat Piotr z satysfakcją.

– I bardzo tego żałuję! – wtrąciła Izolda.

– Lekcje prowadzono po arabsku lub hiszpańsku – wyjaśniła Iszrak. – Pani Izolda nie włada tymi językami. Poza tym była wychowywana na chrześcijańską damę, zarządzającą swoimi ziemiami.

– Ale jak się tego dowiemy? – mruknął Luca niemal do siebie, wychodząc z kościoła i zstępując po zboczu wzgórza do przystani, gdzie łagodnie falujące morze, na którym unosiły się ponure szczątki zatopionych łodzi, wyglądało tak niewinnie, jakby

nigdy nie wdarło się na ląd. – Jak się dowiemy, czy ziemia się poruszyła i spowodowała tę falę? Jak kiedykolwiek dowiemy się przyczyny?

Za nim szedł ojciec Benito.

– Widzisz, mieszkańcy Piccolo opowiadają, że jakieś sto lat temu wielkie trzęsienie ziemi zburzyło mury przystani, a po nim przyszła fala, która zmiotła wszystkie łodzie na morze i zniszczyła okoliczne domy. Dzwonnica mojego kościoła runęła od wstrząsów. Została odbudowana; w kościelnych księgach do dziś zachował się rachunek za murarzy. Stąd wiem, że to prawda.

Iszrak pokiwała głową, patrząc na Lucę.

– Trzęsienie ziemi, a potem fala.

– Sto lat temu? – spytał Luca. – Dokładnie sto?

– Więcej. Trzęsienie ziemi nastąpiło w tysiąc trzysta czterdziestym ósmym roku. Po fali miasto nawiedziła czarna śmierć. Najpierw zatrzęsała się ziemia, potem przyszła fala, a po niej zaraza. Niech

Bóg broni, żeby tym razem też się tak stało.

– Czarna śmierć? – zainteresował się brat Piotr.

Ksiądz skinął głową.

– Najgorzej było w okolicy Friuli, ale tutaj wydawało się, że to równie daleko jak Rzym. Mam dokumenty z odbudowy kościoła, więc znam daty. Znalezienie murarzy do naprawy wieży graniczyło z cudem, bo w ciągu kilku miesięcy od przyścia fali zaraza wszystkich zabrała.

– Napiszę to wszystko w moim raporcie – powiedział Luca. – Trzeba to uznać za ostrzeżenie. Może powinniście zacząć gromadzić ziarno i jedzenie? Na wypadek gdyby po fali nadeszła zaraza, tak jak sto lat temu?

Ojciec Benito przeżegnał się z trwogą.

– Niech Bóg broni. Wtedy trzeba było wykopać na cmentarzu wielkie jamy, by pomieścić w nich ciała. Nie chciałbym ich znowu otwierać. Pogrzebano połowę mieszkańców, ponad sto osób, starych i

młodych. Zmarł także tutejszy ksiądz. Niech mi Bóg pomoże.

– Niech nam wszystkim pomaga – poprosił poważnie Luca. – Może to naprawdę koniec świata?

Nikt mu nie odpowiedział, a on odwrócił się i samotnie zszedł do przystani. Brat Piotr i dwie młode kobiety odprowadzili go spojrzeniem. Ojciec Benito wyszeptał błogosławieństwo, zamknął drzwi kościoła i w milczeniu skierował się do swojego zawilgoconego domu.

Brat Piotr westchnął i ruszył w stronę karczmy.

– Pewnie powinniśmy znaleźć statek i udać się w dalszą drogę – powiedział. – Nic tu już nie działyśmy. Popłyniemy do Splitu, tak jak planowaliśmy.

– Zostawimy Freize'a? – spytała Izolda z niedowierzaniem. – Nie będziemy go już szukać, nie zaczekamy na niego?

– Możemy zostawić mu wiadomość, gdzie nas

znajdzie, o ile w ogóle wróci. Ale nie chce mi się wierzyć, że przeżył. Co nas tu zatrzymuje?

– Wierność! – krzyknęła Izolda. – Nie możemy tak po prostu odejść!

Iszrak pokręciła głową.

– Możemy. Luce nie służy czekanie i wypatrywanie Freize'a. Musimy znaleźć statek i ruszać dalej. Zajmiesz się tym, bracie Piotrze? Czy ja mam się rozpytać?

– Dziś rano do portu wpłynęło parę statków, które chyba nie ucierpiały. Znajdę kogoś. Wyruszymy jutro?

– Rano – zdecydowała Iszrak. – Pewnie wszyscy zechcecie przedtem pójść na mszę. Wypłyniemy po prymie.

Brat Piotr spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Nie chcesz się wyspowiadać i uczestniczyć w mszy, skoro już ujrzałaś rękę bożą? Nie powinnaś się zwrócić do naszego Boga? Mogę cię ochrzcić.

Iszrak uśmiechnęła się lekko.

– Ach, bracie, wiem, że dobry z ciebie człowiek i że chcesz ratować moją duszę. Nie pojmuję, co spowodowało tę falę. Ale nie sprawiła ona, że zacznę się modlić do waszego Boga.

\* \* \*

Izolda zgodziła się, żeby wyruszyli następnego dnia, ale nie potrafiła tego powiedzieć Luce.

– Przekażesz mu to? – spytała brata Piotra. – Ja nie mam odwagi.

Skryba poczekał, aż godzinę przed obiadem wszyscy zasiedli w jadalni przy kopącym kominku z mokrym drewnem. Wówczas odezwał się cicho:

– Bracie Luco, nic więcej tu nie zdziałamy. Jutro wyślę mój raport. Napiszę, że nie możemy znaleźć niepodważalnego wyjaśnienia tej fali, choć wspomnę o absurdalnych pomysłach pogańskich i heretyckich pisarzy.

Luca ledwie podniósł głowę.

– Znalazłem kapitana – mówił dalej brat Piotr – który jutro zabierze nas swoim statkiem. Wyruszymy po prymie.

– Zostaniemy – odparł natychmiast Luca. – Jeszcze kilka dni.

– Mamy misję, a tutaj nic już nie da się zrobić. Jutro wyślemy raport. Uprzedzimy mistrza i Jego Świątobliwość, że widzieliśmy wyraźny znak końca świata. Możemy powiadomić ich, że kiedyś trzęsienie ziemi i następująca po nim fala doprowadziły do zarazy zwanej czarną śmiercią. Ale nikomu się nie przysłużymy, czekając tutaj... a jeśli nadchodzi zaraza, nawet powinniśmy stąd uciekać.

Izolda położyła chłodną dłoń na leżącej na stole zaciśniętej pięści Luki.

– Luca – szepnęła.

Chłopak spojrzał na nią, jakby prosił o odpowiedź na dręczące go pytania.



– Nie mogę – rzucił z pasją. – Nie mogę stąd odpłynąć, jakby nic się nie stało. Nie mogę kontynuować misji. Freize przybył tu ze mną, towarzyszył mi w wyprawie. Nigdy by się tu nie zjawiał, gdyby mnie nie kochał. Nie wiem, jak mam sobie bez niego poradzić. Gdyby porwało mnie morze, na pewno by mnie nie opuścił. Nie uciekałby sam w bezpieczne miejsce, byle ratować własną skórę.

– Chciałby, żebyś wypełnił swoją misję – odparła Izolda, usiłując go pocieszyć. – Był z ciebie bardzo dumny. Tak bardzo się cieszył, że zostałeś powołany do tej misji i że może ci służyć.

Na wspomnienie radosnych przechwałek Freize'a Luca prawie się uśmiechnął – ale zaraz pokręcił głową.

– Zrozum, muszę tu poczekać, aż...

– Zostawimy instrukcje i pieniądze, żeby pochowano jego ciało, jeśli woda wyrzuci je na brzeg

– odezwała się Iszrak, zaskakując wszystkich chłodnym rozsądkiem. – Jeśli to właśnie cię martwiło. Ale rozmawiałam z pewnym rybakiem, który mówi, że tuż za ujściem przystani płynie silny prąd i być może Freize’a i dzieci zmyło daleko stąd. Ich ciała może nigdy się nie odnajdą. Powinniśmy myśleć, że zostali pochowani w morskich głębinach. Brat Piotr może pobłogosławić fale, kiedy popłyniemy do Splitu.

Luca odwrócił się do niej z gniewem.

– Już go pogrzebałaś? Mojego przyjaciela? Już chcesz błogosławić fale? Uznałaś go za zmarłego?

Iszrak odpowiedziała spokojnym spojrzeniem.

– Tak, oczywiście. Czy nie myślałeś tak samo? Czy nie o tym boisz się pomyśleć od kilku dni?

Luca poderwał się z miejsca, skoczył do drzwi i gwałtownie je otworzył.

– Jesteś bez serca! – rzucił.

Pokręciła głową.

- Wiesz, że to nieprawda.
- Jak możesz mówić o błogosławieniu morza?
- Myślałam, że chcesz się pożegnać.
- Jak śmiesz twierdzić, że o tym myślałem?
- Twoją powinnością jest myślenie o trudnych sprawach.

Izolda chciała interweniować, ale zauważyła, jak spokojnie Iszrak odpiera wściekłe spojrzenie Luki, więc się nie odezwała. Zresztą gniew młodego inkwizytora zniknął równie szybko, jak się pojawił. Chłopak odetchnął głęboko, zawrócił i zamknął za sobą drzwi, opierając się o nie, jakby smutek odebrał mu siły.

– Oczywiście masz rację – powiedział. – Masz rację. Po prostu nie chcę, żebyś ją miała. Rano zostawię instrukcje księdzu i... bracie Piotrze, może napiszesz do naszego klasztoru, co się wydarzyło, i poprosisz, żeby powiadomiono matkę Freize'a? Potem sam napiszę...

Izolda wstała, wzięła go za rękę i oparła policzek na jego ramieniu. Brat Piotr popatrzył na nich bez słowa, choć z miną pełną potępienia.

– A jutro wyruszymy – wtrąciła Iszrak.

– Przestań! – zawołała Izolda. – Daj mu spokój!

Iszrak uparcie pokręciła głową.

– On nie jest spokojny – powiedziała, wskazując na Lucę. – A twoje rozczulanie się nad nim wcale mu nie pomaga. Lepiej działać, niż siedzieć tu i płakać. W mojej religii Freize zostałby pochowany przed zachodem słońca w dniu swojej śmierci. Zawsze będziemy o nim pamiętać, obojętnie, czy popłyniemy do Splitu teraz czy dzień później. Ale on – znów wskazała Lucę – nie jest człowiekiem, który może długo rozpaczać w samotności. Stracił już zbyt wiele. Rozpacz nie powinna wejść mu w nawyk.

Izolda spojrzała na napiętą twarz Luki.

– Ona ma rację – przyznał z goryczą. – Tu nie mogę zrobić nic innego, niż płakać po nim, jak

dziewczyna. Wyruszymy jutro po prymie.

\* \* \*

Rozeszli się do swoich pokojów, żeby się spakować – choć nie zostało im wiele dobytku. Wszystko z wyjątkiem ubrań, które mieli na sobie, poszło na dno wraz ze statkiem. Kupili nowe samodzielne opończe u miejscowego krawca, ale z zakupem nowych butów, kapeluszy czy biurka podróżnego dla brata Piotra musieli się wstrzymać do czasu przybycia do większego miasta. Manuskryptów dotyczących legend, folkloru i poprzednich dochodzeń nie dało się niczym zastąpić. W Splicie zamierzali też kupić nowe konie i osła do dźwigania dobytku.

– Jak myślisz, jak daleko jest ze Splitu do Budapesztu? – spytała leniwie Izolda, wyglądając przez okno sypialni. – Mam już dosyć podróżowania. Dosyć wszystkiego. Chciałabym wrócić do swojego

domu, gdzie moje miejsce. Chciałabym, żeby to wszystko się nie wydarzyło.

– I znowu wylądować w klasztorze? – przypomniała jej Iszrak. – Czy żyć pod rozkazami brata?

Izolda potrząsnęła głową.

– Chciałabym znowu znaleźć się pod opieką ojca. Chciałabym być w domu.

– Freize mówił, że podróż potrwa jakiś tydzień – powiedziała Iszrak, próbując podnieść ją na duchu. – A jedynym sposobem, żebyś mogła wrócić do domu, jest poproszenie o pomoc syna twojego ojca chrzestnego. To długa droga, ale przy odrobinie szczęścia wszystko skończy się dobrze.

– Nie wiem, jak damy sobie radę bez niego. Jak mamy bez niego podróżować?

– Bez jego kwękania? – spytała Iszrak z cieniem uśmiechu. – Bez nieustannych narzekań na drogę, misję i tajne rozkazy brata Piotra?

Izolda uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Będzie nam tego brakowało. Będzie nam brakowało... jego.

\* \* \*

Przy kolacji panowała cisza. Po pochówku dzieci większość przyjezdnych opuściła karczmę, a nowych gości nie było, bo podróżni, dowiedziawszy się w drodze o katastrofie, która dotknęła wszystkie miejscowości na wybrzeżu, omijali zniszczone tereny. Nikt nie miał apetytu ani ochoty na rozmowę.

– Gdzie jest Ree? – zwróciła się Izolda do gospodyni. – W kuchni?

– Pomagała przy gotowaniu niczym mała kuchareczka, a teraz grzecznie je kolację – powiedziała kobieta z zadowoleniem. – Dobrze postąpiłaś, pani. To był prawdziwie chrześcijański uczynek.

– Co zrobiła pani Izolda? – Luca podniósł głowę,

nagle otrząsając się z zamyślenia.

– Wzięła mnie na bok i pomodliła się ze mną i z Ree. Pokazała Ree moją pralnię, a ona dostrzegła, jaka jest wspaniała. Będzie z niej dobra pokojówka i pomywaczka. Powódź ominęła mnie dzięki temu, że siedziałam zamknięta w pralni; musiałam więc polubić dziewczynkę, która ją tak podziwia. Może z nami zostać. Pani Izolda zaproponowała, że zapłaci za jej utrzymanie przez pierwszy miesiąc, a potem Ree sama na siebie zarobi. Będę się nią opiekować.

– Pięknie to załatwiłaś – powiedział cicho Luca.

Izolda uśmiechnęła się do niego.

– Trudno nie dostrzec, że mogą sobie nawzajem pomóc. A Ree znajdzie tu ciepły dom i nauczy się zawodu.

– To dobrze – mruknął Luca, tracąc zainteresowanie dziewczynką.

– Jutro Split – odezwał się brat Piotr, siląc się na wesołość. – Jeśli wyruszymy bardzo wcześnie,



pewnie dotrzemy tam o świcie.

– A potem Zagrzeb – dodała Izolda, kierując te słowa do Luki.

Na podwórku rozległ się jakiś hałas i radosne: „Witaaajcie!”. W mieście pogrążonym w żałobie ten dziarski okrzyk zabrzmiał dziwnie nie na miejscu. Karczmarz wyszedł na zewnątrz.

– Cicho! Nie wiesz, co tu zaszło? Nie hałasuj. Czego chcesz?

– Obsługi! Stajni dla najdzielniejszych koni świata, które dopłynęły do brzegu! Kolacji dla wielkiego zwycięzcy! Wina, żeby wznieść za mnie toast! I wiadomości o moich przyjaciółach, dwóch pięknych pannach i genialnym młodzieńcu. Czy tu są? Czy już wyjechali? Czy są bezpieczni, o co się modliłem?

Luca pobladł śmiertelnie, jakby usłyszał ducha.

– Freize! – krzyknął i poderwał się od stołu, przewracając krzesło.

Popędził do kuchni i wypadł na podwórko. A tam, przy swoim koniu, trzymając cugle czterech innych, ze zmęczonym osłem za plecami, stał Freize – mokry i brudny, ale żywy. Na widok sylwetki Luki w oświetlonych drzwiach rzucił cugle i rozłożył ramiona.

– Wróbelku! Dzięki Bogu, jesteś cały i zdrowy! Zamartwiałem się o ciebie!

– Ja? Cały i zdrowy! A ty? – wrzasnął Luca i rzucił się w ramiona przyjaciela.

Przywarli do siebie jak dawno rozdzieleni bracia, klepiąc się po plecach. Luca obmacał Freize’a, jakby nie mógł uwierzyć, że to człowiek z krwi i kości. Freize chwycił twarz Luki w dłonie i ucałował go siarczyście w oba policzki, a potem znowu go objął.

Luca poklepał go mocno po ramionach, potrząsnął nim, cofnął się, przyjrzał mu się i znowu go przytulił.

– Jak to... W jaki sposób...? Nie wiedziałem,

gdzie jesteś... Dlaczego nie uciekłeś do karczmy razem z nami? Przysięgam, myślałem, że biegniesz tuż za mną... Nigdy bym cię nie zostawił samego!

– Wspięliście się na komin, tak jak kotka? – odpowiedział Freize na tę lawinę pytań. – Wszystko dobrze? Co z dziewczętami? Czy obie...?

Iszrak i Izolda wybiegły z karczmy i rzuciły się na Freize'a, ściskając go, płacząc i powtarzając jego imię. Nawet brat Piotr wyszedł na podwórko i poklepał chłopaka po plecach.

– Moje modlitwy! – zawołał. – Wysłuchane! Chwalmy Pana, który przywrócił nam Freize'a. To cud, niczym powrót Jonasza z brzucha wieloryba!

Iszrak, wtulona pod pachę Freize'a (Izolda przyciskała się do niego z drugiej strony) podniosła głowę.

– Jonasz? Jonasz, którego połknęła wielka ryba?

– Tak jak uczy nas Biblia – wyjaśnił Piotr.

Iszrak roześmiała się beztrosko.

– I Koran również! – Skupiła się przez chwilę, po czym wyrecytowała: – „I połknęła go ryba, kiedy zasłużył na naganę. I gdyby nie był między wysławiającymi, to z pewnością pozostałby w jej brzuchu aż do dnia, kiedy ludzie będą wskrzeszeni”<sup>3</sup>.

Radość brata Piotra zgasła.

– To niemożliwe. Jonasz był prorokiem naszego Boga.

– Naszego też – oznajmiła Iszrak z zadowoleniem. – Może to ten sam Bóg?

\* \* \*

Karczmarz zszedł do zalanej wodą piwnicy po butelkę wyjątkowego wina – a potem po dwie kolejne i jeszcze trzy, bo coraz więcej osób zjawiało się, by wysłuchać nadzwyczajnej historii Freize’a i wypić za jego zdrowie. Nawet ci, którzy stracili swoich braci czy synów, cieszyli się, że choć jedno życie zostało oszczędzone. A jego ocalenie dało nadzieję tym,

którzy nadal czekali.

Karczmarka przyniosła ser i kurczaka oraz trochę świeżo upieczonego chleba, a ludzie stłoczyli się w karczmie, żeby patrzeć, jak nowy Jonasz je kolację i opowiada, w jaki sposób udało mu się ujść cało z tego kataklizmu.

– Zobaczyłem falę i rzuciłem się w stronę karczmy za wami, gdy usłyszałem, jak konie biją kopytami w ściany zagrody, w której je trzymano na statku, więc wróciłem po nie... – zaczął Freize.

– Dlaczego nie pobiegłeś z nami? – zganiała go Izolda.

– Bo wiedziałem, że młody pan się o was zatroszczy, lecz nikt nie troszczył się o konie. Widziałem, że uciekacie przed falą, więc zawróciłem do statku. Wdrapałem się na burzę. Boże! Statek osiadł na dnie przystani! Chciałem uwolnić konie, wypuścić je, a potem dogonić, ale kiedy zbliżałem się, przemawiając do nich i obiecując, że wszystko dobrze

się skończy, świat zadał kłam moim słowom, bo gdy spojrzałem na konia stojącego tuż przy burcie, zobaczyłem, jak pędzi na nas ściana wody, wysoka niczym dom, i już dociera do przystani. Lśniła białą, oddalona od nas, lecz zbliżała się niewiarygodnie szybko.

Z tłumu ludzi, którzy stracili swoje dzieci, dobiegł jęk.

– Nic nie zrobiłem – wyznał Freize. – Bóg mi świadkiem, żaden ze mnie bohater. Co gorsza, schowałem się między końmi i ukryłem twarz w grzywie Rufina. Tak się bałem, że nie chciałem patrzeć na to, co się dzieje. Myślałem, że to śmierć się zbliża. Usłyszałem potężny ryk, jakby okrutnej bestii. Zamknąłem oczy, przywarłem do konia i rozplakałem się jak małe dziecko. Słyszałem ten odgłos... dobry Boże, mam nadzieję, że nigdy więcej go nie usłyszę... zgrzyt, huk wody pędzącej na mnie i pożerającej wszystko na swojej drodze. Uderzyła w mały statek

niczym młot w drewniane pudełko i rzuciła nas w powietrze, jakbyśmy byli ledwie drzazgą. Obejmowałem Rufina za szyję jak dziecko łkające na kolanach matki. Nie wstydzę się przyznać, że płakałem ze strachu, gdy woda unosiła nas coraz wyżej i wyżej. Poczułem, że lina kotwiczna pęka, rufa łamie się i spada, a po chwili fala z rykiem poniosła nas, pół statku, konie i mnie, w stronę lądu, jak kacząta porwane przez powódź.

– Co widziałeś? Czy widziałeś dzieci?

– Niech je Bóg błogosławi, nie widziałem nic z wyjątkiem morza i dalekiego lądu, a potem kipiącej wody, jak w saganie szarej zupy, i nie słyszałem nic z wyjątkiem huku fali i własnego płaczu. Konie także płakały ze strachu, mały osiołek również; byliśmy w istocie żałośni, pędząc tak nad suchym lądem. Myślałem, że to koniec świata i że nastąpił nowy potop, a ja jestem niczym nieudany Noe, bez przygotowania, bez żadnej istoty ludzkiej na

pokładzie.

Freize zamilkł i spojrzał na Lucę.

– Naprawdę sądziłem, że to koniec świata, i miałem nadzieję, że jesteś bezpieczny i z oddali wszystko to obserwujesz.

Luca roześmiał się i potrząsnął głową, a Freize podjął opowiadanie.

– Potem nastąpiło coś jeszcze gorszego, bo fala nagle przyhamowała, jakby była żywym diabłem i zastanawiała się, co najgorszego może uczynić. Poczułem, że pęd wody pod tym, co zostało ze statku, dziwnie się zmienia, że się obraca i znowu niesie nas na morze, tam skąd przybyliśmy, ale objając nas i wpadając na coś, czego nie widziałem w ciemnościach. To była straszna chwila, o wiele straszniejsza niż poprzednie. Myślałem, że jesteśmy w połowie drogi do Afryki, i to na szczątkach statku. Później kil w czymś ugrzązł, a ja, głupi, nabrałem nadziei, że wyjdę zaraz na suchy ląd, ale fala znowu w



nas uderzyła, statek się przechylił, cisnął nas w morze, w ciemność, i wszystko zaczęło się kręcić. Wielkie drzewa wirowały i zderzały się nad moją przerażoną głową i nie wiedziałem, czy mam nad sobą niebo czy ziemię, czy też po prostu utonąłem. Trzymałem się mocno Rufina i czułem, że on też mocno do mnie przylgnął i że jest nam lepiej, gdy razem przeżywamy ten strach. Kiedy statek zrobił koziołka w powietrzu, szarpnięcie rzuciło mnie na grzbiet Rufina. Przytuliłem się do niego jak dziecko, oplatając nogami jego brzuch i ramionami jego szyję. Szepnąłem do niego, żeby nas ratował, bo ja, taki straszny tchórz, nie przydam się ni ludziom, ni zwierzętom. Statek się rozbił, Rufino uwolnił się, tak jak pozostałe konie; czułem, że płynie, gwałtownie poruszając nogami, jakby skakał. I chwala Bogu, a zwłaszcza temu koniowi, płynął, szarpał się i rżał tak głośno, jakby się modlił. Przywarłem do niego, a gdy woda czasem porywała go spode mnie, płynąłem

obok, ale ciągle trzymałem się go mocno i zaraz znowu wdrapywałem się na jego grzbiet. A potem poczułem, że już nie płynie, tylko brnie w mule, aż wreszcie jego kopyta zastukały na kamieniach i choć nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, wiedziałem przynajmniej, że znaleźliśmy się na stałym lądzie.

– Chwała Panu! – zawołał ktoś.

– Amen – powiedziała żarliwie Izolda.

– W rzeczy samej – zgodził się Freize. – I chwała Rufinowi. Już bym nie żył, gdyby nie siła i mądrość tego niemego zwierzęcia. Powiedźcie mi więc, kto jest mądrzejszy?

Iszrak zauważyła, że brat Piotr gryzie się w język, żeby nie odpowiedzieć, iż koń – i to każdy – jest bez wątpienia mądrzejszy od Freize’a.

– A kiedy się upewniliśmy, że znowu jesteśmy na stałym lądzie, i zyskaliśmy nadzieję, że morze nie wróci, rozejrzałem się i cóż się okazało? Inne konie były przy nas, rozumne stworzenia! Nawet osiołek,

który lubi udawać głupiego, został z nami. Wziąłem ich cugle, wsiadłem na oklep na Rufina i choć byliśmy tak zmęczeni, wjechałem na wzgórze, bo aczkolwiek widziałem, że woda się cofa, nadal bardzo się jej bałem. Gdy tylko znaleźliśmy się na wystarczająco wysokim, suchym terenie, powiedziałem moim pięciu koniom i osiołkowi, że tu spędzimy noc, a rano wyruszymy do Piccolo. Okazało się, że jesteśmy dalej, niż sądziłem, bo podróżowaliśmy dość długo, a po drodze widziałem wiele smutnych widoków. Piękne domy zrujnowane, piękne pola zniszczone przez morską sól i wiele okrutnie potopionych zwierząt i zacnych ludzi. Wszędzie pełno nieszczęśników szukających swoich bliskich i grzebiących zmarłych. Gdzie tylko się pojawiałem, pytano mnie, czy nie widziałem tego a tego dziecka, takiej a takiej kobiety, a mnie ścisnęło się serce, gdy musiałem odpowiadać, że na moim statku byłem sam, jak biedny, źle przygotowany Noe

i nie widziałem nikogo od chwili, gdy nadeszła wielka fala. Zatrzymałem się tylko na noc, raz w mokrej stodole, raz w zniszczonej gospodzie, bo tak mi było pilno wrócić tu do was. Przez całą drogę zadreślałem się wątpliwościami, czy fala was nie dogoniła i czy nie okaże się, że uratowałem pięć koni i osiołka, niech je Bóg chroni, lecz straciłem kogoś najdroższego mi na świecie. – Spojrzał na Lucę. – Wróbelku, czy siedziałeś przez całą noc na dachu?

Luca roześmiał się przez łzy.

– Zabijał mnie smutek z twojego powodu. Myślałem, że zginąłeś.

Freize wytarł usta wierzchem dłoni.

– Byłem Noem – oznajmił z godnością. – Noem dla sześciorga zwierząt, wszystkich wytrzebionych, więc pod tym względem nieprzydatnych. Ale płynąłem arką w wielkiej powodzi. Gdyby mnie strach tak nie obezwładnił, nie posiadałbym się z radości, że dane mi jest przeżyć taką przygodę. Było

to coś najbardziej osobliwego. A kiedy przestałem się tak bać, wówczas to wspomnienie stało się bardzo dobrą opowieścią. Niech no tylko zapomnę, że płakałem jak dziecko, a wygłoszę wiele wspaniałych przemów i przedstawię się jako bohater. Teraz słyszycie ją bez upiększeń, wszystko tak, jak było naprawdę. Macie prawdziwą historię, a nie poemat. Na razie jestem zwykłym historykiem, jeszcze nie trubadurem. – Spojrzał na Izoldę. – A ty, pani? Lękałem się o ciebie, pozbawionej rycerza u swego boku. Nic ci się nie stało?

Podawała mu rękę, którą pocałował.

– Bardzo się cieszę, że znowu jesteś z nami – powiedziała z prostotą. – Wszyscy modliliśmy się za ciebie. Odmawialiśmy specjalne modlitwy w intencji twojego ocalenia i codziennie patrzyliśmy w morze.

Zarumienił się z radości.

– A konie mają się dobrze – zapewnił ją. – Oczywiście są wstrząśnięte i zmęczone, och, bardzo

zmęczone! Moje biedactwa. Wątpię, żeby zgodziły się dobrowolnie wejść znowu na pokład statku, ale są zdolne przebyć podróż. – Zwrócił się do Iszrak. – Byłaś bezpieczna? Wróciłyście szybko do karczmy. Wierzyłem, że dostrzeżesz niebezpieczeństwo i pobiegniesz. Wiedziałem, że zrozumiesz.

Dziewczyna skinęła poważnie głową.

– Byłam bezpieczna.

– O, brat Piotr. Cieszy mnie twój widok – rzekł Freize.

– A mnie twój. – Skryba wyciągnął rękę i uścisnął dłoń Freize’a z prawdziwą serdecznością. – Bałem się o ciebie. I brakowało mi cię. Żałowałem niektórych ostrych słów, jakie ci powiedziałem. Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że widzę cię całego i zdrowego. Nieustannie modliłem się za ciebie.

Freize zaczerwienił się z radości.

– A dzieci z krucjaty? Czy wszystkie zginęły? Niech je Bóg błogosławi i zachowa.

– Niektóre ocalały – odrzekła Izolda. – To ty je uratowałeś. Te, które ostrzegłeś i zawróciłeś na brzeg, dotarły do kościoła i przeżyły. Teraz wracają do domu. Mała dziewczynka z poranionymi stopami, Rosa, ta, którą odniosłeś do przystani, jest w gospodzie i pozostanie tu jako pomywaczka. Ale wiele z nich, większość, pochłonęło morze.

– To była straszna katastrofa – odezwał się cicho Luca. – Pochowaliśmy niektórych dziś po południu. Jutro zamierzaliśmy wyruszyć. Zostawiliśmy ci wiadomość, dokąd się udajemy, ale teraz zaczekamy parę dni, żebyś odpoczął.

– Nie, możemy ruszać. Mogę się wyspać na statku, o ile ktoś mi obieca, że ta fala już się nie powtórzy. Jeśli mi obiecacie, że morze zostanie tam, gdzie być powinno, wejdę na pokład już jutro. Zdaje się, że Bóg dał mi znak, iż nie umrę przez utonięcie.

Brat Piotr pokręcił głową.

– Nikt nie wie, co to było ani skąd się wzięło –

powiedział, nie patrząc na Iszrak. – Dlatego nikt nie może przewidzieć, czy się powtórzy. Ale nic takiego nie wydarzyło się w tym pokoleniu ani w ciągu ostatnich stu lat. Możemy tylko się modlić, żeby nigdy więcej do tego nie doszło.

– Nie można się dowiedzieć? – zwrócił się Freize do Luki. – Przyznaję, że podniósłbym kotwicę z lżejszym sercem, gdybym wiedział na pewno.

Luca zmarszczył brwi.

– Ciągłe się nad tym zastanawiam. Konie chyba wiedziały.

– Wiedziały na pewno – oznajmił Freize zdecydowanie. – I kotka też.

– A potem rozległ się ten straszny hałas i morze odpłynęło... i wróciło.

– Ta fala nie wzięła się z niczego – zaczął głośno rozważać Freize. – Przyplłynęła jakby z daleka, jakby na morzu wezbrała i urosła. Jeśli ktoś był na pełnym morzu, mógł zobaczyć, jak się tworzyła.



Luca skinął głową. Kilka osób obstąpiło Freize'a, by go wypytać, a on odpowiadał, robiąc przerwy tylko po to, by napić się wina, zadowolony, że znajduje się wśród ludzi, w centrum uwagi. Nie odezwał się więcej do Iszrak ani ona do niego, dopóki wszyscy nie odeszli. Brat Piotr zarzucił opończę na ramiona i ruszył do kościoła na nocną mszę, a Luca, Izolda i Freize poszli za nim. Iszrak odprowadziła ich do drzwi i właśnie je zamykała, by nie wpuszczać do środka zimnego nocnego powietrza, gdy Freize odwrócił się do niej.

– Byłaś bezpieczna? – spytał. – Wiedziałem, że uratujesz Izoldę.

– Byłam bezpieczna – potwierdziła. – Ale bardzo się o ciebie martwiłam.

Rozpromienił się w uśmiechu.

– Martwiłaś się o mnie? Dobrze cię rozumiem. Sam też się o siebie martwiłem.

– Zachowałeś się bardzo odważnie, wracając po

konie.

Pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, pewnie bym tego nie zrobił, gdybym wiedział, że fala nadejdzie tak szybko. Nie jestem bohaterem, choć przyznaję to ze smutkiem. Z wielkim smutkiem.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała z uśmiechem. – I nieważne, czy jesteś bohaterem.

Freize spojrział na nią zaintrygowany.

Iszrak wyjęła spod opończy zaspaną koteczkę. Freize złożył swe duże dłonie, a dziewczyna umościła w nich stworzonko. Freize uniósł maleństwo i odetchnął zapachem jego futerka. Koteczka przeciągnęła się, a potem zakryła biały nosek złotym ogonkiem i zwinęła się w kłębuszek w dłoniach chłopaka.

– Uratowałaś ją?

– Wczoraj obudziłam się w nocy, myśląc o tobie, i przypomniałam sobie o kotce. Wstałam i po ciemku

weszłam na dach. Zdjęłam ją z komina.

– Wszłaś na dach i zeszłaś z niego w ciemnościach?

– Bo nie przypomniałam sobie wcześniej.

– Czy to nie było niebezpieczne?

– Nie może się równać z tym, czego ty dokonałeś.

– Myślałaś o mnie?

– Tak – powiedziała szczerze.

– Martwiłaś się?

– Tak.

– Może płakałaś? Troszeczkę? Kiedy nikt nie patrzył?

Iszrak uśmiechnęła się lekko, ale nie odwróciła wzroku ani nie udawała wstydlivości. Nieznacznie skinęła głową.

– Płakałam za tobą i powiedziałam wszystkim, że żałuję, iż byłam dla ciebie niedobra.

– Może żałowałaś, że w Vittorito nie pocałowałaś uczciwego mężczyzny, gdy prosił cię o to uprzejmie,

tylko rzuciłaś go w błoto?

I znowu skinieniem głowy potwierdziła, że myślała o nim bardzo serdecznie i żałowała tego poskąpionego pocałunku.

– Zawsze możesz to nadrobić – zasugerował Freize.

Ku jego zaskoczeniu nie odmówiła, choć spodziewał się, że natrze mu uszu za bezczelność. Ale ona przystąpiła do niego, jedną ręką przykrywając miękką koteczkę w jego dłoniach, jakby chciała obdarzyć pieśczołą ich oboje. Drugą rękę położyła na jego ciepłym karku, przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta, czule i słodko, tak że odetchnął jej oddechem i poczuł lekką wilgoć delikatnego wnętrza jej ust.

\* \* \*

Gdy Izolda wróciła z kościoła, czekająca na nią Iszrak wzięła od niej opończę, a potem rozwiązała

wstążkę na jej jasnych włosach i rozpuściła jej warkocz. Powoli, dokładnie rozczesła piękne złote fale, aż spoczęły na ramionach Izoldy, ciężkie i gładkie, a potem znowu je zaplotła na noc. Zamieniły się miejscami i teraz to Izolda uczesała i zaplotła ciemne gęste włosy przyjaciółki, nawijając jej loki na palce.

– Jak to dobrze, że ocalał – powiedziała cicho. – Zapaliłam w jego intencji pół tuzina świeczek.

Iszrak pochyliła głowę pod delikatną pieśczętą szczotki.

– O, tak.

– Przybiegł do kościoła jakiś czas po nas i wyglądał na przepelnionego radością.

– Spodziewam się.

– Dałaś mu kotkę?

Iszrak skinęła głową.

– Ucieszył się?

– Tak.

Ta rezerwa przyjaciółki zaniepokoiła Izoldę. Pociągnęła lekko za gruby ciemny warkocz Iszrak.

– Czego mi nie mówisz?

Dziewczyna odwróciła się do niej.

– Skąd wiesz, że czegoś ci nie mówię?

– Bo jego twarz była rozświetlona radością. Bo odpowiadasz półsłówkami, ale jesteś tak samo rozradowana jak on. Co między wami zaszło?

Iszrak zawahała się z odpowiedzią.

– To ci się nie spodoba.

– Nie będę czyniła ci wyrzutów, cokolwiek się stało. Dlaczego miałabym to robić? Czy obiecał ci, że będzie ci służyć do końca życia, tak jak mnie?

– O, nie. Nie uważa mnie za wielką damę. Nie chce być moim rycerzem. Spytał, czy żałuję, że rzuciłam go w błoto w Vittorito. A ja powiedziałam, że tak.

– Przeprosiłaś go? Ty nigdy nie przepraszasz!

– Jego przeprosiłam.

– To wszystko?

– Powiedziałam, że żałuję, iż wtedy go nie pocałowałam.

– Iszrak! – zawołała Izolda, udając zgorszenie. – Jak mogłaś! Co on sobie pomyślał?

– O, to jeszcze nic. Spytał, czy może mnie pocałować teraz.

– No cóż, tak mu wypadło. Mam nadzieję, że uprzejmie odmówiłaś?

– Nie – rzuciła Iszrak nonszalancko. – Chciałam tego. Więc go pocałowałam.

Izolda zamarła, wstrząśnięta. Upuściła szczotkę, z osłupieniem patrząc w odbicie Iszrak w małym lusterku.

– Pocałowałaś... go...?

– Owszem.

– Jak mogłaś? Wiem, że się cieszysz z jego powrotu, jak my wszyscy, ale jak mogłaś się tak zapomnieć? Jak mogłaś dać mu przyzwolenie?

Służącemu!

– Właściwie to mu nie pozwoliłam. Nie dałam mu przyzwolenia, jak mówisz.

– Chyba cię do tego nie zmusił? – spytała z przerażeniem Izolda.

– Nie! Nie! To ja go pocałowałam.

To było jeszcze gorsze.

– Iszrak...! A twój honor?

Iszrak spojrzała jej w oczy.

– A tam, honor.

– Jak to?

– Nagle poczułam... pomyślałam... że nic nie liczyło się dla mnie bardziej niż to, czy Freize żyje, i że tak bardzo się ucieszyłam na jego widok. Myślałam, że go straciliśmy, a on wrócił, taki jak zawsze. I tak mnie to uradowało, że nic więcej nie miało dla mnie znaczenia.

Izolda pokręciła głową.

– Skoro tak się ucieszyłaś, mogłaś go obdarzyć



jakąś łaską albo prezentem. Mogłaś mu pozwolić, żeby pocałował cię w rękę. Ale poniżyć się do całowania go? Gdzie twój honor?

– Mam tego dość – rzuciła niecierpliwie Iszrak. – Jak dziś w kościele... ludzie podawali w wątpliwość naszą reputację tylko dlatego, że chciałyśmy się umyć tam, gdzie pływają chłopcy. Jakby liczyło się wyłącznie to, jak dama zachowuje się w towarzystwie chłopców. Chcę, żeby oceniano mój honor za to, co zrobię jako człowiek, nie uznawano mnie za przedmiot, któremu nic nie wolno i który ma wyznaczone ściśle granice, jak jakieś... pole! Ktoś może dotknąć mojej ręki, ktoś inny może zobaczyć moją twarz, jeszcze inny nie może nawet się do mnie odezwać. Jeśli mój honor istnieje naprawdę, to nie może zależeć od tego, czy jakiś mężczyzna zobaczy moją twarz, dotknie mej ręki, czy pocałuje mnie w usta. Jeśli mam honor, to tak jak mężczyźni, obojętnie, co mam na sobie i jak wyglądam. Tu

chodzi o mój szacunek do siebie, a nie o to, jak mnie widzi świat i co mi się przydarza. Wiem, że jestem kobietą honoru, nie niżam się do popełniania grzechu, nie przynoszę sobie wstydu, nie robię rzeczy, które są niewłaściwe. Wiem, że jestem dobrą kobietą, niezależnie od tego, czy noszę welon lub ukrywam przed ludźmi swoje włosy. Czułam, że powinnam dać Freize'owi ten pocałunek, o który kiedyś prosił, i chciałam to zrobić.

– Dama powinna pozostać nietknięta do zamążpójścia – oznajmiła Izolda, powtarzając tę niewzruszoną zasadę, którą wpajano im od dziecka. – Jej mąż powinien wiedzieć, że nie znała żadnego mężczyzny, że żadnemu mężczyźnie nie zezwoliła na nic więcej niż na ucałowanie dłoni. Musi wiedzieć, że nie czuła pożądania, nie pozwalała na dotyk.

– To nieprawda – zaprotestowała ostro Iszrak. – Jesteś damą, wielką damą, i zawrzesz wspaniałe małżeństwo z jakimś wielkim panem. Ale poznasz

miłość i poczujesz pożądanie.

– Nigdy! – rzuciła zaciekle Izolda. – Nigdy się do tego nie przyznam.

– Ale w życiu chodzi o coś więcej niż dopasowanie się do męskiego wyobrażenia o kobiecie godnej szacunku! – krzyknęła Iszrak. – Nie odeszliśmy z zamku, a potem z klasztoru po to, by żyć, jakbyśmy nie opuściły otaczających nas murów.

Izolda patrzyła na nią ze zgorzeniem.

– Powinnyśmy żyć tak, jak nas wychowano! Nie jak latawice, jakbyśmy nie miały żadnych perspektyw, zasad, szacunku dla siebie!

– Nie ja – oznajmiła śmiało Iszrak. – Wyrwałam się z zamku, wyrwałam się z klasztoru. Nie zamierzam już nosić kaptura ani welonu. Będę się ubierać, jak mi się podoba, i robić tylko to, co mnie się wydaje słuszne. Będę całować, kogo chcę, a nawet dzielić z nim łożę, jeśli tego zapragnę. Mój honor i duma mieszkają w sercu, a nie w opinii świata o

mnie.

Izolda załamała ręce, naprawdę zrozpaczona.

– Nie możesz lekceważyć swojej reputacji. Nie możesz zostać kobietą lekkich obyczajów, kobietą okrytą wstydem.

– Nikt mnie nie zawstydzi – odparła dumnie Iszrak. – Wybiorę własną ścieżkę, a także tego, kogo pokocham i kto pokocha mnie.

– Stojąc w kościele przed Lułą, oskarżone o czary, powiedziałyśmy wszystkim, że jesteśmy uczciwymi kobietami! – krzyknęła Izolda. – Między innymi to nas uratowało. Wszyscy widzieli, że nie poszłyśmy nad jezioro, by szukać chłopców, wszyscy przekonali się, że jesteśmy szlachetnymi damami o niesplamionej reputacji. Jeśli zaczniesz się zachowywać nierozważnie, zaryzykujesz wszystko. To straszne!

– Zostałyśmy uniewinnione, bo chłopak stajenny zeznał, że tylko pływałyśmy – sprzeciwiła się Iszrak.

– To, że jesteś panią zamku Lucretili, mogło zrobić wrażenie na paru wieśniakach, ale nic nie znaczy. Gdyby chłopiec nie udowodnił, że wyszłyśmy z miasta za dnia i poszłyśmy popływać, spaliliby nas na stosie, czy jesteśmy dziewicami, czy nie. Musimy sobie wywalczyć własną drogę; nikt nie zagwarantuje nam bezpieczeństwa tylko dlatego, że będziemy się zachowywać jak damy.

– Przystaniesz być dla mnie odpowiednią towarzyszką, a Luca przerazi się, gdy się o tym dowie!

– zawołała Izolda. – Nie zechce podróżować z dziewczyną, która straciła godność. Nie będzie cię tolerować w swojej obecności, jeśli uzna, że jesteś niegodna szacunku. Odesłałby cię, gdyby wiedział, że pocałowałaś jego sługę.

– Nie odesłałby, bo wie, co znaczy chcieć kogoś przytulić, pocieszyć. Kiedy był pogrążony w smutku, trzymałam go w ramionach.

– Co?! – niemal krzyknęła Izolda.

– Przytuliłam go z litości, gdy płakał, i wcale nie zostałam zhańbiona. Nie uważał, że straciłam godność. A ja nie poczułam się ponizona, kiedy mnie pocałował.

Izoldę aż zatkało.

– Pocałował?!

– Tak. I nie był przerażony. Nie uznał mnie za kobietę upadłą.

– Pocałował cię w usta? – spytała ostro Izolda.

– Nie! Skądże! Jak mogłaś tak pomyśleć? Pocałował mnie czule, łagodnie, w czoło.

– Jak to?

Teraz i Iszrak się zdenerwowała.

– Co znaczy „jak to”? Ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie w czoło, praktycznie w kaptur. Ledwie to poczułam.

– Ale jednak poczułaś, czyli nie pocałował kaptura! W przeciwnym razie nie wiedziałabyś, co zrobił. A więc pocałował cię w czoło czy w kaptur?

– Co za różnica?

– W czoło?

– Dlaczego ma to dla ciebie znaczenie? Przecież on cię kocha. Objęłam go jak siostra, przytuliłam, kiedy płakał za przyjacielem, a potem, gdy przyszedł do karczmy, pocałował mnie, by wyrazić czułość: oboje opłakiwaliśmy Freize'a.

– Nie tak bardzo go opłakiwałaś, skoro pozwoliłaś, by całował cię inny.

Iszrak z niedowierzaniem spojrzała na przyjaciółkę. Wstała gwałtownie, odpychając stół.

– Co w ciebie wstąpiło, że tak się wydzierasz? – rzuciła niegrzecznie.

– Jestem wstrząśnięta! – Głos Izoldy zadrżał, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Czym? Tym, że przytuliłam młodzieńca, który rozpacza po utraconym przyjacielu? Czy tym, że pocałowałam chłopca, który powrócił z martwych?

– A on...! Jak mógł! Jak możemy z nimi

podróżować... jak w ogóle możemy podróżować, jeśli będziesz się tak zachowywała? Jak spojrzysz im jutro w oczy, wiedząc, że pocałowałaś nie jednego, lecz obu!

Iszrak omal nie parsknęła śmiechem, ale popatrzyła na Izoldę i w migotliwym świetle świecy dostrzegła lśnienie łez na bladych policzkach przyjaciółki.

– Dlaczego płaczesz? Izoldo, to śmieszne. Co się z tobą dzieje? Dlaczego się tak zdenerwowałaś?

– Nie mogę znieść myśli, że cię pocałował! – wybuchła Izolda. – Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść, że na to pozwoliłaś. Nie mogę znieść ciebie!

Zapadło ciężkie milczenie. Obie dziewczyny przestraszyły się tych słów.

– Tu chodzi o Lucę. Nie o mnie czy Freize'a, nie o mój honor. Chodzi o Lucę – odezwała się w końcu Iszrak.

Izolda usiadła na łóżku, schowała twarz w



dłoniach i skinęła głową.

– A więc jesteś w nim zakochana – zauważyła zimno Iszrak. – To coś poważnego.

– Nie! Skąd. Cóż to za pomysł!

– Jesteś zazdrosna, że go przytuliłam i że wziął w dłonie moją twarz i pocałował mnie w czoło.

– Milcz! – wykrzyknęła Izolda z wściekłością. – Nie chcę o tym słyszeć. Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę sobie tego wyobrażać. Żałuję, że to zrobiłaś, a jeśli zrobisz to znowu... jeśli choćby o tym pomyślisz... będziemy musiały się rozstać. Nie mogę znieść twojego towarzystwa, jeśli staniesz się jakąś...

– Tak? – podchwyciła Iszrak lodowato.

– Jakąś ladacznicą! – rzuciła Izolda w furii.

Iszrak straciła mowę. Położyła się, naciągnęła kołdrę aż pod brodę i odwróciła się na bok, jakby zamierzała spać.

– Gdybyś była mężczyzną, pobiłabym cię za te słowa – powiedziała do bielonej ściany. – Ale widzę,

że jesteś tylko głupią, zazdrosną dziewczyną, która boi się, że inna odbierze jej ukochanego.

Izolda prychnęła, ale nie mogła zaprzeczyć. Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach.

– Zazdrosna i głupia – ciągnęła Iszrak gorzko, nadal odwrócona. – Dziewczyna, która splamiła swój honor, myśląc tak o przyjaciółce i nazywając ją takim słowem. I mylisz się, bardzo się mylisz. Nie odebrałabym ci mężczyzny, którego kochasz, nawet gdyby on tego chciał. Nie zrobiłabym czegoś takiego, bo nigdy nie zapomnę, że kochamy się jak siostry i że nasza miłość powinna znaczyć więcej niż to, co możemy poczuć do mężczyzny. Przygodnie poznanego mężczyzny – dodała bezlitośnie w ciszy mrocznego pokoju. – Mężczyzny, którego poznałaś miesiąc temu. Mężczyzny, który ma zostać duchownym i nie może nikogo całować. Młodzieńca, który prawdopodobnie nie dba o żadną z nas. Ale przedłożyłaś swoje głupie dziewczynskie uczucia do

niego nad miłość do mnie. I to ty oskarżasz mnie o brak honoru! I rzucasz mi w twarz obraźliwe miano! Nie jesteś dla mnie siostrą, Izoldo, choć przez całe życie cię za nią uważałam. Ledwie zobaczyłaś przystojnego młodzieńca, stałaś się moją rywalką. Ty głupia, zazdrosna dziewczyno! Nie jesteś godna być moją siostrą, nie zasługujesz na moją miłość.

Usłyszała szloch Izoldy, ale nie odwróciła głowy.

– I to ty straciłaś honor – rzuciła zaciekle. – Bo kochasz mężczyznę, który nie jest wolny i który nie zwrócił się do twojej rodziny z prośbą o twoją rękę. A więc jesteś głupia.

Odpowiedziało jej drżące westchnienie.

– Dobranoc – dodała Iszrak lodowato, zamknęła oczy i niemal natychmiast zasnęła.

Izolda uklękła u stóp łóżka i zaczęła się modlić, by Bóg wybaczył jej grzech zazdrości i to, że tak okrutnie i niesprawiedliwie potraktowała swoją najdroższą przyjaciółkę, a potem – niechętnie –

przyznała się przed sobą do strasznego grzechu pożądania i również pomodliła się o wybaczenie.

\* \* \*

Nazajutrz dziewczęta odnosiły się do siebie z ostentacyjną uprzejmością, ale prawie ze sobą nie rozmawiały. Luca i Freize, rozradowani spotkaniem, zupełnie nie zauważyli lodowatej atmosfery. Brat Piotr przyjrzał się krytycznie młodym kobietom i pomyślał, że są – jak cała płeć piękna – zmienne jak pogoda i równie nieprzewidywalne. Można by pomyśleć, że powrót Freize’a je ucieszy – a tu proszę, siedzą skwaszone i milczące. Po co Bóg stworzył takie istoty, skoro przez nie mężczyźni mają tylko troski i odchodzą od zmysłów? Któż mógłby wątpić, że są mniej doskonałe od mężczyzn, których Bóg stworzył na swoje podobieństwo i którym powierzył panowanie nad kobietami? I czy on, brat Piotr, mógłby nie dziękować Bogu, że oszczędził mu

kobiecego towarzystwa i chroni go bastionem religii, którą zarządzają mężczyźni?

Freize zszedł do przystani, by przypomnieć kapitanowi statku o umowie. Luca, brat Piotr i Izolda poszli do kościoła na tercję, trzecią modlitwę dnia. Izolda wyspowiadała się, a potem uklękła, zatopiona w modlitwie przez całą mszę. Po jej zakończeniu, gdy mężczyźni pożegnali się z ojcem Benitem, Izolda nie podniosła się z klęczek. Zostawili ją i wrócili do karczmy. Freize powitał ich w progu, bardzo poważny.

– Nie możemy popłynąć do Splitu – powiedział.  
– Spotkałem człowieka, który stamtąd wrócił. Jest pierwszym z wielu. Niemal całe miasto zostało zniszczone, kraj na wiele kilometrów zasłany szczątkami łodzi i wyrwanych z korzeniami drzew, ruinami domów i stodół. Uderzyła na nich większa fala niż tutaj, znacznie groźniejsza! W promieniu wielu kilometrów nie ostał się żaden dom, nie ma nic

do jedzenia, gdyż wszystko zanieczyściła słona woda. Nie możemy tam płynąć.

Luca pokręcił głową.

– Powinienem był o tym pomyśleć! Co za głupiec ze mnie! To naturalne, że fala uderzyła nie tylko tutaj. Jeśli morze się wzburzyło, to wszystkie miejscowości na wybrzeżu musiały ucierpieć. – Przez chwilę zastanawiał się gorączkowo. W końcu spojrzał na skrybę. – Gdybyśmy wiedzieli, gdzie fala dokonała największych zniszczeń, moglibyśmy określić, w jakiej okolicy miała źródło. Jeśli Iszrak ma rację i rzeczywiście jest jak z kamykiem wrzuconym do miski, to fala sięgała najgłębiej tam, gdzie powstała, a im dalej, tym stawała się płytsza. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie fala była najwyższa, moglibyśmy przynajmniej odkryć, skąd nadciągnęła.

– To prawda – przyznał brat Piotr. – Ale...

Nagle, niespodziewanie, z wieżyczki na murze przystani zadźwięczał dzwon na alarm – jazgotliwie,

natarczywie, przerażając wszystkich.

– Tylko nie to! – krzyknął brat Piotr. – Niech nas Bóg strzeże przed kolejną falą.

– Gdzie Izolda? – rzucił gwałtownie Freize. – Gdzie ją zostawiliście?

– W kościele! – zawołał Luca. – Biegnij tam, na wyżej położony grunt!

Z karczmy wylegli ludzie, wśród nich karczmarz.

– Dlaczego dzwon bije na trwogę? – spytał Luca. – Kolejna fala?

– Nie! – powiedział karczmarz. – Patrzcie, wciągają flagę sygnałową – dodał, przekrzykując dudnienie dzwonu, by stłoczeni na podwórku ludzie go usłyszeli. – Bóg był łaskaw, to nie fala, to galera łowców niewolników. Nie uciekajcie. To napad! Na miejsca! Strażnicy! Zajmijcie pozycje w forcie!

Twarz Luki pociemniała z gniewu.

– Łowcy niewolników? Napadają na nas? Kiedy ludzie właśnie stracili dzieci?

Mieszkańcy miasteczka ruszyli do małego, przysadzistego fortu chroniącego przystań, krzykiem przekazując sobie ostrzeżenie przed galerą łowców niewolników. Kobiety wbiegały do domów, wołając dzieci. Wszędzie trzaskały zamykane drzwi i zgrzytały zasuw. Izolda wybiegła z kościoła.

– Ojciec Benito mówi, że do portu wpływa galera łowców niewolników! – rzuciła bez tchu. – Zobaczył ją z wieży.

Stłoczyli się w karczmie, gdzie gospodarz wyjął z kredensu potężną rusznicę i pudło prochu. Freize cofnął się przed niebezpieczną bronią.

– Proch nie zawilgł zanadto?

– Może ogrzeję go na ogniu? – mruknął karczmarz.

– Nie! – odparł pospiesznie Freize. – Lepiej nie.

Luca spojrział na dwie młode kobiety.

– Idźcie do swojego pokoju i zamknijcie się dobrze. My pójdziemy do fortu na przystani i



postaramy się nie dopuścić do tego, by statek przybił do brzegu.

– Pralnia – doradził gospodarz. – Idźcie z moją żoną i małą służącą. Możecie przy okazji zacerować pościel. Nikt was tam nie znajdzie.

Dziewczęta zaczęły protestować, ale Luca podniósł rękę.

– Nie możecie z nami iść. A gdyby was zobaczyli i porwali? Zamknijcie się w pralni, jak radzi ten zacny człowiek.

Izolda z zazdrością zauważyła, że zwrócił się do Iszrak, w niej pokładając ufność, iż poradzi sobie w chwili zagrożenia.

– Zabierz ze sobą broń na wypadek, gdyby przyszli – powiedział do niej cicho. – Noże z kuchni, siekierę z podwórka. I nie otwierajcie drzwi, dopóki nie upewnicie się, że jest bezpiecznie.

– Oczywiście – rzuciła krótko i ruszyła na górę.

– Idź – szepnął Luca do Izoldy. – Nic nie zdołam

zrobić, jeśli nie będę wiedział, że jesteś bezpieczna.

– I Iszrak – podsunęła, by go wypróbować. – To jej powierzasz naszą obronę.

– Oczywiście – zgodził się, a ona bez słowa odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę, nie życząc mu nawet szczęścia i zostawiając go zdumionego i ogłupiałego.

Luca, Freize i brat Piotr poszli za karczmarzem do przystani.

– My też powinniśmy się schronić – odezwał się z niepokojem brat Piotr. – Nie mamy czym walczyć.

– A choćby i gołymi rękami! – krzyknął zapalczywie Luca. – Będę ich ścigał nawet z młotem!

Freize wymienił strwożone spojrzenia ze skrybą i pobiegł za swoim panem.

Karczmarz zatrzymał się na nabrzeżu i spojrzał na morze, osłaniając oczy. Ludzie mijali go, biegnąc do małego okrągłego fortu, strzegącego wejścia do przystani, gdzie mężczyźni rozdawali piki. Pół tuzina

mężczyzn obracało drewniany kabestan<sup>4</sup>. Drgnął z głośnym trzaskiem i powoli wyciągnął zatopiony w wodzie łańcuch, który zagroził wejście do portu.

– Nie zachowują się, jakby chcieli nas napaść – odezwał się zaskoczony karczmarz. – Nigdy nie widziałem, żeby zbliżali się tak powoli. I przybywają pod białą flagą. Może rozbili się na morzu. Płyną za wolno, na pokładzie nie ma dział... To nie wygląda na atak.

– Może to podstęp – podsunął podejrzliwie Luca, mrużąc oczy, by lepiej widzieć statek, który zbliżał się do nich wolno i ostrożnie. – Ich stać na wszystko.

Pobiegli do małego fortu. Stał tam starszy mężczyzna, który wykrzykiwał rozkazy.

– Czy to napaść? – zwrócił się do niego karczmarz. – Kapitanie, czy chcą nas zaatakować?

– Jestem na to gotowy – odrzekł ponuro kapitan Gascon, dowódca fortu. – Powiedzcie mi, co robią.

Luca podszedł do skraju nabrzeża i po raz

pierwszy wyraźnie ujrzał statek, który żeglował w jego koszmarach od chwili, gdy porwano jego rodziców. Ukazał mu się wąski kadłub, głęboko zanurzony w wodzie, z dziesiątkami wiosł sterczących po obu stronach w dwóch rzędach, jeden nad drugim. Poruszały się powoli, lecz idealnie równo. Przez wrzawę głosów ludzi, którzy biegli po broń i zajmowali swoje stanowiska w wieży, przebijał się miarowy rytm bębna wyznaczającego wiosłarzom tempo. Okrutny szpikulec sterczał z dziobu, jakby miał przebić brzeg. Z morderczego ostrza zwisała biała flaga – symbol chwilowego rozejmu.

Pierwszy żagiel był zwinięty i mocno związany, maszt drugiego był złamany. Marynarze odcięli żagiel, ale cumy nadal zwisały, a pień masztu sterczał, najeżony drzazgami. Na pokładzie stał kapitan, trzymając w ręce szeroką białą płachtę; podobne flagi trzepotały na dziobie i na rufie. Statek zbliżał się powoli do łańcucha, jakby marynarze nie

bali się niczego, a potem, gdy rytm bębna się zmienił, nastąpił nadzwyczajny manewr: wiosłujący jednocześnie unieśli wiosła, pozostawiając je lekko zanurzone w wodzie, tak że statek nie poruszał się ani do przodu, ani do tyłu, pomimo silnego prądu, lecz kołysał się na wzburzonych falach przystani, czekając przed łańcuchem, jakby sądzili, że każde miasto chrześcijańskie przyjmie ich z własnej woli.

– Co oni robią? – krzyknął kapitan, gorączkowo ładując jedyną w forcie broń; starą bombardę.

– Stoją przed łańcuchem – odparł Luca. – Jakby sądzili, że go podniesiemy.

Serce załomotało mu na widok statku, który budził taką zgrozę w całej Europie, w każdym porcie i w każdej nadmorskiej wiosce.

Co roku statki osmańskich łowców niewolników lub barbarzyńskich korsarzy porywały tysiące ludzi; miasta pustoszały, wioski obracały się w ruinę. Te najazdy były przekleństwem europejskich wybrzeży.

Łowcy niewolników pojawiali się od Afryki po Islandię, nocami cicho wpływając w ujścia spokojnych rzek, by napadać na samotne domy i uprowadzać ludzi. Czasami atakowali miasto, rabowali je i palili drewniane domy do fundamentów. Rodziny – takie jak rodzina Luki – przestawały istnieć. Dla Luki, bezpiecznego w klasztornych murach, wiadomość o zaginięciu rodziców była gorsza od ich śmierci. Od tamtej pory zamartwiał się, że jego matka jest niewolnicą w jakimś muzułmańskim domostwie – albo znacznie gorzej: że pracuje ponad siły w polu lub jest bita przez swojego właściciela. Ojciec prawdopodobnie wiosłował w takiej galerze jak ta, przykuty do wiosła, przy których tkwił dzień po dniu, bez chwili przerwy, siedząc we własnych odchodach, w prażącym słońcu, niczym posłuszny muł naprężający mięśnie na rozkaz – aż jego silne serce nie wytrzyma obciążenia i ojciec umrze, wiosłując. Dopiero wtedy zdejmą mu kajdany

i wyrzucą jego wycieńczone ciało za burzę.

– Luca! – zawołał brat Piotr, szarpiąc go za ramię. – Luca!

Chłopak uświadomił sobie, że z nienawiścią wpatruje się w galerę.

– Po prostu... o ile wiem... mój ojciec jest niewolnikiem na takim statku – wyjaśnił. – Idę po pikę.

Kapitan wyszedł z fortu, niosąc w jednej ręce stareńką hakownicę, w drugiej – powoli palący się lont.

– Trzymaj – powiedział, wciskając broń w odporne ręce brata Piotra.

– Nie mogę...

– Czego chcecie? – krzyknął kapitan, osłaniając usta. – Mam działo wycelowane w wasz statek.

– Naprawdę? – zdziwił się Freize.

– Nie – syknął kapitan. – Piccolo nie stać na działo. Ale mam nadzieję, że oni o tym nie wiedzą.

– Nic im się nie stanie, nawet jak przedziurawimy im burtę – powiedział z goryczą Luca. – Moglibyście mieć to działo, wystrzelić, trafić, a statek i tak by nie zatonął. Te galery są prawie niezatapiaalne.

– Czy mogę ci to oddać? – spytał słabo brat Piotr, trzymając jak najdalej od siebie broń i dymiący lont.  
– Naprawdę, nie mam wprawy...

Freize bez słowa przejął broń.

– Potrzebuję masztu i nowego żagla – rozległ się głos kogoś władającego płynnie językiem włoskim. – Dobrze zapłacę.

Kapitan spojrzał na Lucę.

– Widać, że potrzebują masztu.

– To i tak może być podstęp. Nie wpuszczaj ich.

– Jak złamaliście maszt? – ryknął kapitan.

Tamten milczał przez chwilę.

– Straszna fala. Przyszła i tutaj, *Inszallah*.  
Widzieliśmy jej drogę na całym wybrzeżu. I wy, i my,



wszyscy jesteśmy jednakowo bezradni wobec potęgi morza. Wszyscy jesteście marynarzami i czasem potrzebujemy pomocy. Wpuście nas do swojego portu, byśmy mogli naprawić nasz statek, a zapamiętam, że zachowaliście się wobec mnie jak bracia marynarze.

Brat Piotr przeżegnał się, słysząc imię muzułmańskiego boga.

– Widzieliście na wodzie dzieci? Jakież płynące dzieci? – krzyknął kapitan Gascon.

– Niech im Allah pomoże, błogosławmy jego święte imię. Tak, widzieliśmy dzieci, ale uciekaliśmy przed wichrem i nasz maszt się złamał. Wyłowiliśmy tylko dwójkę. Wciągnęliśmy je na pokład. Damy je wam za maszt i żagiel.

– Niech je pokaże – odezwał się Luca.

– Pokażcie je nam! – ryknął dowódca fortu.

Kapitan statku pochylił się i przemówił do kogoś stojącego niżej. Podniósł dwóch chłopców i postawił

ich na dziobie. Malcy chwycili się w objęcia i odwrócili pobielające z przerażenia twarze w stronę nabrzeża

Dowódca wymienił spojrzenia z Luca.

– Musimy ich odzyskać – zdecydował Luca.

– Dlaczego mamy wam pomagać? – zawołał kapitan Gascon. – Jesteście naszymi wrogami.

Mężczyzna zrobił nieznaczny gest, rozkazując niewolnikom nie zmieniać położenia wiosł.

Galera znajdowała się tuż poza łańcuchem, bęben nadal łomotał miarowo.

– Bo wszyscy jesteśmy ludźmi, którzy muszą walczyć z morzem – powiedział. – Bo chcemy zapomnieć o naszej wrogości, ponieważ morze okazało nam większą wrogość. Jeśli sprzedacie nam maszt i żagiel, dobrze wam za nie zapłacimy. I oddamy wam dzieci za darmo.

– Czy zgodzicie się nigdy nie przyplýwać tu z wrogimi zamiarami? – spytał dowódca fortu. – Nie

robić tu najazdów?

Kapitan statku wzruszył ramionami.

– Nie możecie tego wiedzieć, ale nie jestem łowcą niewolników. Podróżuję, nie napadam.

– Czy możesz rozkazać, by galery niewolników nie najeżdżały na nasze miasto?

– Mogę poprosić.

– Zatem przysięgnij, że galery łowców niewolników nigdy tu nie przybędą.

– Przez rok.

– Dziesięć lat.

– Dwa.

– Pięć.

– *Heras*. Dobrze – ustąpił tamten. – Pięć.

– A w zapłacie za maszt niech wypuści wszystkich niewolników z galery – dodał Luca.

Gascon spojrział na niego niepewnie.

– Nie potrzebujecie pieniędzy – powiedział Luca.

– Nie muszą wam płacić za maszt i żagiel. To wielka

szansa. Niech przynajmniej ci nieszczęśnicy wrócą do domu, do swoich rodzin.

– Macie przy wiosłach jakichś chrześcijan? – spytał Gascon.

– Oczywiście.

– Włochów?

Ze statku dobiegł krzyk błagający o pomoc, a potem odgłos uderzenia.

– Możliwe – przyznał ostrożnie mężczyzna na rufie. – Bo co?

– Oddajcie nam ich, a my damy wam maszt i żagle za darmo.

– Nie mogę wypuścić wszystkich, bo nie wrócę do domu.

– Możecie pożegłować! – krzyknął Luca, w porywie gniewu przerywając negocjacje. – Dzięki żaglom, które wam damy! Tych ludzi trzeba uwolnić.

– Poczul, że trzęsie się ze złości, i uświadomił sobie, że wyszedł z fortu. – Przepraszam – powiedział do

kapitana Gascona. – Nie powinienem się wtrącać.

Cofnął się i dołączył do Freize'a.

– Nie mogę tego wytrzymać – rzucił cicho. – Na tym przeklętym statku może być mój ojciec. Może to on wołał. Może to jego uderzono.

– Niech mu Bóg pomaga – szepnął Freize i zwrócił się do kapitana: – Powinni zaczekać poza przystanią, a my dostarczymy im maszt i żagle, żeby nie musieli wpływać poza łańcuch. Bezpieczniej będzie nie dopuszczać ich tu zbyt blisko. Mogą przenosić zarazę, a zresztą raczej nie słyną z honoru i wierności w przyjaźni. Nie żebym był niegrzeczny.

– Podpłyńcie tam – rozkazał Gascon, wskazując na fort od strony morza. – Możecie przycumować na samym końcu. Musicie pozostać w tym miejscu, gdzie będziemy was widzieć, i wasi marynarze mają nie opuszczać pokładu. Przyniesiemy wam maszt i żagle, a wy wypuścicie wszystkich Włochów, których macie na pokładzie. Zgoda?

Ze statku dobiegł jęk więźniów z innych królestw.

– Posłuchaj ich – rzucił zapalczywie Luca. –  
Posłuchaj!

– Wypuszczę dziesięciu Włochów –  
zapropozował kapitan galery.

Nadal było słycać uderzenia bębna, miarowe jak bicie serca. Morze unosiło galerę i opadało wraz z nią, kapitan statku kołysał się, stojąc na dziobie, pełen wdzięku, niczym tancerz, a wioślarze utrzymywali galerę dokładnie tam, gdzie rozkazał: na głębokiej wodzie, skąd mogli odpłynąć.

– Nie, wszystkich – powtórzył spokojnie kapitan Gascon. – Odebrałeś nam tych ludzi, a teraz potrzebujesz naszej pomocy. Musisz nam oddać wszystkich Włochów.

Zapadła chwila ciszy.

– Lub odpłyn! – krzyknął Luca. – Choć fala zaraz znowu się podniesie i tym razem tego nie przetrwacie. Zaniesie was aż do piekła.

Kapitan galery parsknął śmiechem.

– Co możecie wiedzieć o fali?

– Mamy tu wielkich naukowców – oznajmił z godnością dowódca fortu. – To inkwizytor z samego Rzymu. Wie wszystko o morzu, ziemi i niebiosach.

– Czytał Platona? Pliniusza?

Gascon spojrział z nadzieją na Lucę. Ten zacisnął zęby i pokręcił głową.

– Zgadzą się na cenę za maszt czy nie? – odezwał się Freize.

– Chcecie naszej pomocy? – spytał Gascon. – Bo wyznaczaliśmy już cenę.

Kapitan galery mruknął coś pod nosem, a głośno rzucił:

– Tak, zgadzam się.

Wydał rozkaz i natychmiast wiosła z jednej strony statku opuściły się i poruszyły. Wiosła na drugiej burcie pozostały bez ruchu. Luca, choć patrzył na to z nienawiścią, musiał przyznać, że jest

to pokaz mistrzowskiego panowania nad statkiem. Galera obróciła się niemal w miejscu i popłynęła tam, gdzie wskazał dowódca fortu. Wiosła złożyły się niczym monstrualne kościste skrzydło, by galera mogła się zbliżyć do nabrzeża, a dwaj marynarze wyskoczyli na brzeg i chwycili liny na dziobie i rufie.

– Idźcie do żaglomistrza – rozkazał Gascon swoim ludziom. – Weźcie od niego żagiel łaciński. Powiedzcie mu, że rozliczymy się później. A ty biegnij do stoczni i każ im przynieść tu maszt. Powiedz, żeby się pospieszyli. I wyjaśnij dlaczego. Chcę, żeby te łajdaki wypłynęły w morze jak najszybciej. – Po czym zwrócił się do Luki i brata Piotra: – Czy zechcecie dopilnować, żeby uwolniono galerników?

– Tak – powiedział Luca bez wahania.

– Pójdę z nim – dodał Freize.

Brat Piotr zwlekał z odpowiedzią.

– Podróżujemy z młodą kobietą, która znajduje się pod naszą ochroną – rzekł w końcu. – Nie jest



posłuszna rozkazom Kościoła ani naszym, ale zna języki. Sądzę, że czytała... hm... Platona. Może władać ich mową. Może warto by ją przy sobie mieć... na wypadek, gdyby chcieli nas oszukać.

– Muzułmanka? – zgorszył się Gascon. – Wy, duchowni, podróżujecie z heretyczką?

– Jest niewolnicą damy, którą eskortujemy w drodze do syna jej ojca chrzestnego – wyjaśnił szybko Luca.

– A, niewolnica. To w porządku. Możecie ją przyprowadzić?

– To ją narazi na niebezpieczeństwo – rzucił cicho Luca do brata Piotra. – A jeśli zechcą ją uprowadzić?

– I tak już jest niewolnicą – zauważył rozsądnie kapitan. – Co za różnica? A twój przyjaciel ma rację, dziewczyna może słuchać, co tam między sobą gadają, i ostrzec nas, jeśli spróbują nas podejść.

– Sprowadzę ją – zaoferował się Freize, oddał

rusznicę kapitanowi i ruszył truchtem do karczmy.

Wrócił z Iszrak, ale jakże odmienioną! Niemal jej nie poznali. Gospodyni przebrała ją w rzeczy chłopca stajennego: brudne spodnie, obszerną koszulę i kamizelkę. Dziewczyna ukryła długie włosy pod kapeluszem z opadającym rondem, które tak zasłaniało jej twarz, że nikt by się nie zorientował, iż ma przed sobą piękną pannę. Uważny obserwator mógłby ją zdemaskować tylko wówczas, gdyby przypadkiem zauważył smukłe kostki widoczne nad ciężkimi buciorami. Iszrak kryła się za plecami Freize'a jak wystraszony niedorostek.

– To...? – spytał kapitan z dziwną miną, szybko pozbywając się wyobrażenia o pięknej nałożnicy z prywatnego haremu Luki.

– To – mruknął Luca. I zwrócił się do Iszrak: – Nie rzucaj się im w oczy, a jeśli coś pójdzie nie tak, cokolwiek, wracaj biegiem do kryjówki w karczmie. Zamknij się tam i czekaj na nas. Przede wszystkim

ratuj siebie. Ale słuchaj tego, co mówią. Pamiętasz arabski, prawda?

– Oczywiście – potwierdziła cicho.

– Uprzedź nas, jeśli będą knuć za naszymi plecami, tylko udając, że zgadzają się na nasze żądania. W chwili gdy usłyszysz, że coś kręcą, dotknij mojego rękawa. Będę wyczulony na twoje sygnały. Powiedzieli, że potrzebują naszej pomocy, ale to diabły. Diabły...

Jej ciemne oczy zabłyśły w cieniu kapelusza.

– To moi rodacy – odezwała się cicho. – Ci, których nazywasz diabłami.

– Oni nie mają nic wspólnego z tobą. To diabły – powtórzył sucho Luca. – Porwali moich rodziców z ich gospodarstwa. Nie wiem, gdzie jest teraz mój ojciec i moja matka. Nie wiem nawet, czy żyją.

Iszrak już chciała wyciągnąć do niego rękę, ale przypomniała sobie zazdrość Izoldy i wbiła obie dłonie w kieszenie kamizelki.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Freize stanął po jednej jej stronie, Luca po drugiej. Nadeszło czterech mężczyzn, niosąc na ramionach zrolowany ciężki żagiel. Za nimi zbliżał się tuzin mężczyzn dźwigających na linach długi maszt.

Dowódca fortu wyszedł im na spotkanie.

– Wszyscy macie noże? – spytał. Mężczyźni w milczeniu skinęli głowami. – Dobrze je ukryjcie i nie sięgajcie po nie, dopóki nie dam znaku. Jeśli oni będą się zachowywać spokojnie, to my też. Jeśli coś się zacznie dziać, wracajcie do fortu. – Odwrócił się do Iszrak i dodał: – Natychmiast nas ostrzeż, jeśli usłyszysz coś podejrzanego.

Skinęła głową.

– Rozumiem.

Gascon spojrział na Lucę.

– Jesteś gotowy, inkwizytorze?

Chłopak przytaknął i wszyscy skierowali się do miejsca, gdzie nabrzeże zbiegało łagodnie do morza i

gdzie stali dwaj mężczyźni trzymający cumy galery. Jeden był wysoki i barczysty; zapewne pochodził z wybrzeża Afryki. Jego czarna twarz wyglądała jak nieruchoma kamienna maska, ciemne oczy spoglądały przenikliwie. Drugi był wysoki, o białej skórze, jasnowłosa i błękitnooki. Na rufie, mając u boku marynarza uderzającego w bęben, stał kapitan galery – młodzieniec liczący sobie niewiele ponad osiemnaście lat, dostatnio ubrany w szerokie pantalone z granatowego brokatu i piękne buty z czerwonej skóry. Miał też na sobie bogato haftowaną białą lnianą koszulę z bufiastymi rękawami i surdut wyszywany drogimi kamieniami. Przy jego boku pyszniła się długa zakrzywiona szabla, a głowę zdobił – co Luce wydało się najdziwniejsze – mały biały turban z drogocenną broszą i pękiem białych piór. Skóra młodzika miała odcień jasnego brązu, oczy były ciemne, prawie czarne, teraz zmrużone od słonecznego blasku i wpatrzone w nadchodzących

chrześcijan, którzy nieśli żagiel i długi maszt. Kapitan nie różnił się od innych młodzieńców, radujących się swoją siłą i pewnością siebie; widać było, że przywykł do rozkazywania i nigdy nie poznał smaku klęski. Był też, co Luca natychmiast dostrzegł, oszalamiająco przystojny.

Luca, dowódca fortu, Freize i Iszrak stanęli na skraju nabrzeża, by spojrzeć w dół na galerę niewolników. Ukazał im się rozpaczliwy widok. Do każdego wiosła przykuto dwóch mężczyzn w łańchmanach, spalonych na brąz wyschniętego orzecha od ciągłego prażenia się na słońcu. Siedzieli we własnych odchodach, w otępieniu oczekując na łomot bębna. Luca krzyknął ze zgrozą i cofnął się, zasłaniając usta i nos przed smrodem, żeby nie wymiotować.

– Pomożecie nam postawić maszt? – spytał kapitan statku.

Iszrak wsłuchiwała się w jego akcent i powiodła

wzrokiem po marynarzach na brzegu, starając się odgadnąć ich zamiary, sprawdzić, czy zaplanowali podstęp. Niepostrzeżenie zdjęła za duże buciory. Jeśli miała uciekać lub walczyć, nie zamierzała się potykać.

– Najpierw wypuście Włochów – wycedził Luca, a gniew brzmiał w każdym jego słowie wypowiedzanym przez zaciśnięte zęby.

– Ty tu dowodzisz? – spytał uprzejmie młody kapitan, lekko skłaniając głowę. Wielki rubin w jego turbanie zalśnił w słonecznym blasku. – Ty jesteś owym inkwizytorem? Z Rzymu?

– Jestem w tym mieście gościem. Dowódcą sił obronnych jest ten oto kapitan – wyjaśnił Luca.

– Jesteś podróżnikiem?

Luca przytaknął.

– Z ramienia papieża?

– Jestem papieskim inkwizytorem – oznajmił Luca. – Ale to nie twoja sprawa. Co tu robisz?

– Także prowadzę dochodzenie. Interesuje mnie obrona na wybrzeżu.

Iszrak zbliżyła się do Luki.

– To dowódca bardzo wysokiego szczebla – wymamrotała. – Widzisz rubin na jego turbanie i klejnoty na surducie?

– Dokąd zmierzasz? – spytał Luca.

– Do domu – odparł chłopak z kpiącym uśmiechem. – Teraz nazywamy go domem. Wy nazywaliście go Konstantynopolem, lecz dla nas to Istambuł. Wiesz dlaczego?

Słyszając nową nazwę, jaką niewierni nadali chrześcijańskiemu Konstantynopolowi, brat Piotr syknął ze zgrozą i przeżegnał się czym prędzej. Młodzieniec roześmiał się, rozbawiony tym gestem.

– Ta nazwa pochodzi z greki – wyjaśnił.

Luca, który nie uczył się tego języka, przeklął własną ignorancję.

– Greckie słowo *istimolin* oznacza „w mieście”.



Teraz to my jesteśmy w tym mieście i nigdy go nie utracimy. Dlatego tak je nazwaliśmy.

– Jak się nazywasz? – spytał Luca.

– Radu Bej – oznajmił młodzieniec. – A ty?

– Luca Vero.

– Ksiądz?

– Nowicjusz.

– Ach... wiem, kim jesteś! – W oczach młodego kapitana pojawił się błysk. – Jesteś jednym z tych, którzy mają prowadzić dochodzenie dla tajnego zakonu. Jesteś sługą Zakonu Ciemności.

Luca i brat Piotr, wstrząśnięci, wymienili spojrzenia.

– Co wiesz o Zakonie Ciemności?

– Więcej, niż ci się zdaje. O wiele więcej. A więc należysz do zakonu. Mam rację?

– Nie będę o tym rozmawiać.

– Znasz swojego przełożonego? Znasz innych inkwizytorów?

Luca milczał, zachowując kamienną twarz.

– Pewnie nie – rzucił kapitan po arabsku, cicho, niemal do siebie. – Ja bym tak to rozegrał.

– Powiedział: „Pewnie nie. Ja bym tak to rozegrał” – szepnęła Iszrak do Luki.

– Najpierw dzieci – odezwał się Luca, gdy mężczyźni z Piccolo, ociekając potem, złożyli długi, ciężki maszt obok zrolowanego żagla.

– A jeśli nie zechcą przyjść? – spytał Radu. – Zabierzesz je wbrew ich woli?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale dlaczego miałyby chcieć być twoimi niewolnikami?

– Wcale nimi nie będą. Zostaną janczarami. Najwspanialszymi żołnierzami świata. Będą awansować, osiągną rangę dowódców. – Uśmiechnął się do Luki, jakby zachęcał go do zauważenia ironii tej sytuacji. – Kiedy podbijemy Italię, to one będą jechać na czele triumfalnej armii, naszej armii. Któreś z nich może zostać gubernatorem i wrócić do

swojego domu jako wielki pan. Może wmaszerować do swojej wioski i zamieszkać w zamku zamiast chrześcijańskiego władcy. Może wolą taką przyszłość od powrotu do pług i gnoju.

Luca zignorował go i zwrócił się wprost do dzieci:

– Chcecie zejść na brzeg? Dopilnuję, żebyście wrócili do swoich domów. Cudem ocaleliście. Czy chcecie teraz wrócić do domu, do rodziców, i służyć Bogu?

– To bracia – wyjaśnił Radu, przypatrując się chłopcom. – Ojciec bije ich codziennie, matka ich głodzi. Dlatego uciekli. Nie sądzę, żeby chcieli do nich wracać.

– Mogę was umieścić w klasztorze – zaproponował Luca. – Będziecie żyć i pracować w kościele. Tak zostałem wychowany ja i obecny tu mój przyjaciel Freize. Było nam dobrze. Jedliśmy do syta, zostaliśmy wykształceni.

– Ale greki cię nie nauczyli – zadrwił kapitan.

– To nie ma wielkiego znaczenia – rzucił zirytowany Luca.

Chłopcy stali bezradnie, nie potrafiąc się zdecydować.

– Mój brat i ja też zostaliśmy zabrani przez Osmanów – powiedział do nich Radu. – Możemy być dla was przykładem. Obraliśmy różne drogi. On wrócił do chrześcijan i teraz jest wielkim dowódcą, jednym z największych. Możecie go naśladować i stać się tak wielcy jak on. Możecie iść z tymi ludźmi; z pewnością umieszczą was w bezpiecznym miejscu. Ale ja zostałem w imperium i teraz jestem równie wielkim dowódcą jak mój brat. Jem lepiej niż on, z całą pewnością lepiej się ubieram i znajduję się po stronie zwycięzców. Imperium osmańskie podbija świat, nasze granice co roku się rozszerzają. Teraz możecie wybrać. Szansę tę dał wam przypadek: złamanie masztu i utrata żagla. Niewielu chłopców dostaje taką możliwość. To chwila rozstrzygająca

wasz los, wasze przeznaczenie. Zabawne, że spotyka to takich dwóch małych chłopców.

– Zostaniemy z tobą – odezwał się starszy brat. Spojrzał w przystojną twarz kapitana. – Dajesz słowo, że nas nie rozdziela i że nie zostaniemy niewolnikami?

– Zamieszkacie na wsi z turecką rodziną, która będzie was karmić i uczyć. Czeka was ciężka praca, ale przejdziecie żołnierski trening. Nie będziecie mogli się ożenić ani zająć niczym innym oprócz żołnierki. Kiedy staniecie się wystarczająco duzi i silni, wstąpicie do wojska, by służyć sułtanowi Mehmedowi II, podobnie jak ja. Władą on krajami od Wołoszczyzny po Armenię i niewątpliwie pomaszerujecie na wojnę z chrześcijanami aż do bram Wiednia i dalej, do Paryża, Rzymu, Madrytu, Londynu. Z każdym rokiem posuwamy się dalej. Z każdym rokiem chrześcijanie ponoszą więcej klęsk i coraz bardziej się przed nami cofają. Pod moją

komendą znajdziecie się po stronie zwycięzców. Sami chrześcijanie przyznają, że nadchodzi koniec ich świata. A my wiemy, że stanie się to za naszą sprawą.

– Nigdy nas nie pokonacie – rzucił zaciekle Luca.  
– Okłamujesz tych chłopców. Nigdy nas nie pokonacie i nigdy nie wkroczycie do Wiednia, gdyż znajdujemy się pod boską opieką.

– *Inszallah*, jak my wszyscy – odparł spokojnie muzułmanin. – Ale z pewnością nawet ty musisz dostrzegać, że choć każdy z nas wierzy w opiekę swojego boga, nie wpłynie to wcale na to, kto wygra. A w tej chwili, jak pewnie widzisz, wygrywamy my.

– Nigdy nie wyrzekniemy się wiary!  
– Nie prosimy was o to. Możecie wierzyć, w co chcecie. Możecie się nawet modlić, jak chcecie. Ale to my będziemy rządzić światem chrześcijańskim.

– Wróćcie do domu! – zawołał Luca, wyciągając ręce do chłopców, jakby spodziewał się, że skoczą mu w ramiona.

Starszy brat pokręcił głową.

– Bardzo dziękujemy – powiedział uprzejmie – ale ten człowiek uratował nas z kipieli i nauczy nas, jak być takimi żołnierzami jak on. Zostaniemy z nim.

– Nie chcesz znowu zobaczyć domu? Rodziców?

– Nigdy – oznajmił wyraźnie chłopiec. – Traktowali nas gorzej niż swoje psy. Znajdziemy nowy dom.

Luca cofnął się i spojrzał na brata Piotra.

– Nie wiem, co powiedzieć – wykrztusił. – Zawiodłem te dzieci dwukrotnie: raz, nie potrafiąc przewidzieć nadejścia fali, i drugi, gdy nie potrafię ich powstrzymać przed sprzedaniem dusz diabłu.

Radu uśmiechnął się do niego.

– Głowa do góry, inkwizytorze! Galernicy nie zechcą ze mną zostać. Należą do ciebie, biedacy. Teraz będę musiał ich rozkuć. Muszę wziąć moich ludzi i zejść między nich.

Dowódca fortu spojrzał na Luce, który nadal stał

w milczeniu, wpatrując się w chłopców.

– Zejdźcie powoli i rozkujcie ich – rozkazał Gascon, mocniej ściskając broń. – Żadnych sztuczek.

Radu Bej skinął głową mężczyźnie z bębniem, który wyjął potężną szablę i zszedł za nim. Warknął coś po arabsku; Luca zerknął na Iszrak, która skinęła głową i szepnęła:

– Powiedział: „Kto jest Włochem?”.

Kilku mężczyzn podniosło głowy i krzyknęło:

– *Eccomi!*

Jeden odezwał się z lekkim opóźnieniem.

– *Dove sei nato, pretendente?* – warknął Radu Bej.

Galernik najwyraźniej usiłował zgadnąć znaczenie tych prostych słów.

– *Napoli* – wymamrotał, ale z hiszpańskim akcentem.

– Nic z tego – oznajmił Radu Bej, a mężczyzna z rozpaczą oparł głowę o wiosło.



– Musimy uwolnić wszystkich! – krzyknął Luca, patrząc na tę rozdzierającą scenę. – Wszystkich niewolników. Musimy zaatakować galerę i uwolnić tych nieszczęśników!

– To niemożliwe. – Kapitan Gascon pokręcił głową. – Jest ich za dużo. – Wskazał ławy galerników; między niewolnikami siedzieli janczarzy z osmańskiej armii, gotowi wiosłować lub walczyć, jeśli kapitan tak rozkaże. Ich współtowarzysze, uzbrojeni w wielkie bułaty i kordelasy, z bronią palną zatknietą niedbale za pasami, byli rozsiani na całym statku. – Mają na dziobie działo – powiedział. – Na razie schowane, ale mogą je nabić i odpalić. Stracili maszt, lecz nadal mogą wypłynąć tym statkiem na morze. Będę zadowolony, jeśli kapitan dotrzyma słowa i przekaże nam tych Włochów.

– W jednym z takich pływających piekieł może cierpieć mój ojciec – rzucił z rozpaczą Luca.

– Zróbmy, ile możemy – doradził cicho Freize. –

Spróbujmy uwolnić tych ludzi, a potem zajmijmy się resztą.

Radu Bej szedł spokojnie i metodycznie wśród rzędów galerników, od czasu do czasu rozkuwając jednego z nich. Uwolnieni powoli wstawali, lękliwie popatrując na uzbrojonych marynarzy, kładli dłonie na głowach, obracali się, tak jak im kazano, i szli wśród swoich towarzyszy, nie patrząc na boki. Siedmiu mężczyzn z górnego pokładu przeszło chwiejnie po wąskim trapie na nabrzeże; po nich zjawiono się trzech z dolnego pokładu. Gdy poczuli pod stopami kamienie przystani, niektórzy padli na kolana, by podziękować Bogu. Jednemu ugięły się nogi; tak długo siedział przy wiosle, że nie potrafił ustać i nie miał siły się podnieść.

– Zabierzcie ich – rzucił kapitan fortu do mężczyzn, którzy przynieśli żagiel. – Trzeba ich zaprowadzić do chaty, gdzie przebywają trędowaci, umyć i nakarmić.

– Ja dotrzymałem umowy – powiedział Radu Bej, nie zwracając uwagi na mężczyzn płaczących z ulgi na brzegu ani na tych płaczących z rozpacz przy wiosłach. – Pomożecie mi postawić maszt?

– Nasza noga nie postanie na twoim statku – odparł Gascon. – Macie żagiel i maszt i sami je umocujecie. Jeśli nie skończycie do zachodu słońca, odpalę działo.

– Odplyniemy – zapewnił go Radu Bej. – I nie wrócimy, tak jak obiecałem. Sprzedacie nam pożywienie?

– Przyślę je wam wraz ze świeżą wodą. Dajcie ją tym biedakom.

– Chciałbym wejść na pokład tego statku – odezwał się niespodziewanie brat Piotr. – Chciałbym wraz z księdzem przejść wśród galerników, wysłuchać ich spowiedzi i pobłogosławić ich.

Radu zaśmiał się gwałtownie.

– Po co? Myślisz, że wskrzesisz ich z martwych?

Bo ci ludzie sądzą, że umarli i poszli do piekła. Nie schodź tam, kapłanie. Zjedzą cię zamiast chleba.

Brat Piotr zastanawiał się przez chwilę, po czym odrzekł z uporem:

– Powiniennem ich pobłogosławić.

Kapitan galery nie raczył nawet odpowiedzieć. Jasnowłosa mężczyzna, którzy trzymał cumę statku, parsknął śmiechem.

– Połowa z nich i tak przeszła na wiarę muzułmańską – odezwał się po włosku z silnym angielskim akcentem.

– Jesteś Anglikiem? – zawołał Luca.

– Kapitan Marcus, angielski korsarz, doradca generała Radu Beja.

– Jesteś niewolnikiem?

– Skądże. Dostaję zapłatę. W przyszłym roku będę mieć własną galery. Jestem wolnym człowiekiem, dowódcą, służącym imperium. Ochotnikiem, najemnikiem.

– Jak możesz to robić braciom chrześcijanom? – spytał brat Piotr, dygocząc z przejęcia.

– To straszny świat – rzucił wesoło Anglik. – Przewoziłem niewolników z Irlandii dla Francuzów. Potem pływałem na angielskim statku korsarskim, szukając Hiszpanów. Nie obchodzi mnie narodowość. Obchodzi mnie gra po stronie zwycięzców. W tej chwili jestem z nimi. Imperium osmańskie jest niepokonane, uwierzcie mi na słowo.

– Wyślę moich ludzi na brzeg po maszt – przerwał mu Radu, strzelając palcami. Na jego znak pojawiło się pół tuzina marynarzy, którzy stanęli, czekając na rozkazy. – Czy mogę zejść na ląd, by się posilić? – zwrócił się do Luki. – Czy zaprosisz mnie na obiad?

– Jesteś wrogiem mojego kraju, Kościoła i rodziny – odparł Luca.

– A zatem uznajmy to za chwilowy rozejm. Może przyniesiecie tu jedzenie i jakiś stół. Zjemy,

rozmawiając, podczas gdy moi ludzie będą reperować statek.

– Musisz pozbyć się broni – zastrzegł Luca, patrząc na wygięty bułat u jego pasa.

– Oczywiście. A ty musisz dać słowo, że mnie nie porwiesz. Zjemy jako przyjaciele i rozstaniemy się jako wrogowie.

Luca milczał, wciąż się wahając.

– Znam Platona – dodał kusząco Radu Bej. – I Pliniusza. Mam tu manuskrypt, który wszędzie ze sobą zabieram. Opisuje on to wybrzeże i falę. Starożytni o tym wiedzieli. Jest napisany po arabsku, ale przeczytam ci go przy posiłku.

– Opisuje falę? – powtórzył Luca.

– I jest w nim mapa.

– Każę nakryć do stołu – zdecydował Luca, nie potrafiąc się oprzeć pokusie poznania starożytnej wiedzy.

– Uważaj – syknął do niego Gascon.

– Jeśli wiedzą, jak poznać nadejście fali, musimy osiąść tę tajemną wiedzę – odszepnął chłopak.

\* \* \*

Służący pod czujnym okiem Freize'a wyszli z karczmy i w połowie przystani ustawili kozły, a na nich deskę. Iszrak wróciła i uwolniła Izoldę z ukrytej pralni. Powiedziała jej, że Luca zje obiad z niewiernym.

– Jak mógł się na to zgodzić? – zdumiała się Izolda.

Zerknęła na zewnątrz i ujrzała Lucę na końcu przystani, przyglądającego się, jak Radu zdejmuje z siebie mały arsenał, który składa na bruku.

Iszrak milczała przez chwilę. Nie potrafiła opisać siły i uroku Radu stojącego w pięknych błyszczących strojach na statku, który poruszał się tak szybko i z taką mocą, a kiedy się zatrzymywał, był jak sokół zawieszony w powietrzu, a gdy składał wiosła,

wyglądał niczym łagodna turkawka ze stulonymi skrzydłami.

– Luca chce z nim porozmawiać – powiedziała. –  
Chce poznać arabskie nauki.

– Bardzo zbliżył się do grzechu – oznajmił brat Piotr, podchodząc do dziewcząt. – I do niebezpieczeństwa.

Patrzyli, jak Radu wyjmuje z pochwy bułat, a zza pasa – dwa kordelasy. Z wewnętrznej kieszeni surduta wydobył broń potajemnych zabójców – sztylet, a z kabury zaszytej w szerokich spodniach – piękną miniaturową broń palną. Położył to wszystko na bruku u stóp Luki z dumą posiadacza.

– Dołączysz do nich? – zwróciła się Izolda do brata Piotra.

– Nie! Sumienie mi na to nie pozwoli.

– Freize będzie podawał – uspokoiła ją Iszrak. –  
Ma przy sobie nóż i zachowa czujność.

– Dlaczego Luca mu nie odmówił? – spytała



zaniepokojona Izolda. – Niewierny! Handlarz niewolników!

– Bo Radu powiedział, że ma manuskrypt – wyjaśniła Iszrak. – Śmiał się, że Luca nie czytał filozofów. Luca chce wiedzieć, co spowodowało fałę. Radu twierdzi, że wie.

– I jest gotów ryzykować życie za tę wiedzę? – spytała Izolda z niedowierzaniem.

– No tak – rzuciła Iszrak takim tonem, jakby ona także sądziła, że wiedza jest warta niemal każdego ryzyka.

Freize nadszedł szybkim krokiem od strony przystani i dostrzegł ich troje, wyglądających z karczmy.

– Szukałem cię – powiedział do brata Piotra. – Młody pan chce, żebyś spisał wszystko, co mówi niewierny pan. Chce streszczenia manuskryptu.

Brat Piotr milczał przez chwilę, po czym oświadczył:

– Nie będę się przełamywał chlebem z kimś takim.

– Nikt cię nie zaprasza do stołu – warknął Freize.  
– Masz być skrybą. Zapisywać słowa. A ponieważ pojechałeś z nami jako skryba, ponieważ zostaliśmy zmuszeni do podróżowania z tobą, ponieważ powiedziano Luce, że musi mieć skrybę, chyba cię nie dziwi, że teraz masz wystąpić jako skryba. Choćby dlatego, że potrafię usługiwać przy stole i strzec młodego pana, żeby cudzoziemski pan nie obciął mu głowy, nie otrął go, nie zawlókł na tę przeklętą galerę, ale za nic nie zdołam spisywać niekończących się kłamstw, które opowiada ten człowiek. A ty potrafisz. Dlatego powinieneś to zrobić. I zrobisz.

Brat Piotr spojrział wyzywająco na rozgniewanego chłopaka.

– Nigdy. Nie będzie mi dyktować żaden niewierny.

– Jesteś skrybą! – ryknął Freize. – Skrybie się

dyktuje!

– Nie zasiądę przy tym stole.

– To pisz, stojąc!

– Ja pójdę – zgłosiła się Iszrak. – Potrafię pisać.

Skoczyła do karczmy i wróciła z papierem, piórem i kałamarzem.

– Nie możesz iść – powiedziała natychmiast Izolda.

– Muszę.

– To niebezpieczne.

– Luca mnie potrzebuje.

– A co ja mam zrobić? – spytała Izolda, zirytowana ponad ludzką wytrzymałość. – Co mam zrobić, gdy ty będziesz tam z Lucą? Nagle tylko ty możesz mu pomóc? A kiedy będzie potrzebował mnie?

– Idź do swojego pokoju i trzymaj straż – doradził Freize. – Obserwuj morze na wypadek, gdyby pojawiła się inna galera. A jeśli coś

dostrzeżesz, drzyj się jak dusza potępiona. Nie ufam im tak samo jak ty. – Odwrócił się do brata Piotra. – Czy twoje wrażliwe sumienie pozwoli ci pilnować nas? Skoro my jesteśmy o pół kroku od niebezpieczeństwa, a ty będziesz bezpieczny na przystani?

– Tak, oczywiście.

– Więc stań w połowie drogi między karczmą i fortem i jeśli usłyszysz krzyk Izoldy, narób hałasu i wezwij na pomoc mężczyzn z fortu.

Izolda zawahała się jeszcze. Wolałaby znaleźć się przy stole z Iszrak.

– Idź – rzucił Freize. – To musi być Iszrak, bo zna język i potrafi pisać. A Luca chciałby, żebyś była bezpieczna.

– O, wiem, że Iszrak jest niezastąpiona. – Izolda odwróciła się gwałtownie, nie zaszczyciwszy przyjaciółki ani słowem, i wbiegła po schodach.

\* \* \*

Freize i Iszrak szli za służącymi, którzy nieśli kosze chleba oraz butelki oliwy, wina i wody. Luca rozejrzał się, zauważył ich i przeniósł wzrok na galerę.

Radu, już bez broni, przyniósł ze statku skrzynkę owiniętą w natłuszczoną źrebięcą skórę. Trzymając ją przed sobą – by zademonstrować, iż to nie podstęp – podszedł do stołu, który nakrywali służący.

– Dwa manuskrypty – powiedział cicho. – Tylko dwa. Wybrałem akurat te, ponieważ dotyczą tego wybrzeża. Płynąłem wzdłuż niego i porównywałem to, co widzę, z tym, co widzieli kartografowie sprzed ponad tysiąca lat. W naszych bibliotekach znajdują się kopie starożytnych tekstów. Mamy najwspanialsze księgozbiory na świecie, a tłumacze i filozofowie pracują w nich codziennie od rana do wieczora.

Luca pomyślał z nagłym ukłuciem zazdrości, że

on nie miał nauczycieli ani książek, z których mógłby czerpać wiedzę, i że największą biblioteką, jaką widział, była ta klasztorna, z trzema manuskryptami i Biblią przykutą do pulpitu. Ale najpierw musiał zapytać Radu o coś jeszcze.

– Chcę odnaleźć mężczyznę i kobietę. Sądzę, że zostali zabrani podczas najazdu łowców niewolników.

Radu zaczął rozwijać wodoodporną osłonkę manuskryptu.

– Tak? Ostatnio?

Luca z trudem przełknął ślinę.

– Dawno... cztery lata temu. To moi rodzice.

– Wiesz, jaki statek ich zabrał? Jak się nazywał jego dowódca?

– Nie wiem nawet, czy ich zabrano, czy zabito.

– Po tak długim czasie trudno jest odnaleźć człowieka – powiedział Radu obojętnie. – Czasem jednak to możliwe. Co roku zabiera się tysiące

niewolników, ale nie jest to wykluczone. Rozumiem, że zamierzasz ich wykupić? Musisz porozmawiać z ojcem Pietrem z Wenecji. Kupuje od nas niewolników, gdy ich rodziny zbiorą pieniądze; jest przyzwyczajony do odnajdywania ludzi. Co roku wykupuje kilka tysięcy bezimiennych niewolników za pieniądze dostarczone przez twój Kościół i oddaje ich rodzinom.

– Tak? – wykrztusił zdumiony Luca. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Naturalnie. Ktoś musi między nami pośredniczyć. Jesteśmy dwoma potężnymi handlowymi imperiami, które muszą się porozumieć. Zawsze porywaliście naszych ludzi, a my waszych. Istnieje wielu pośredników, ale ojciec Pietro jest najlepszy. Pośredniczy też w sprzedaży relikwii. Wręcz nie nadążamy z ich produkcją. Zdaje się, że macie nienasycony apetyt na ludzkie kości. Można by niemal pomyśleć – dodał ze śmiechem – że ogryzacie

je jak psy. Na szczęście po naszych niezliczonych zwycięstwach mamy ich wiele. Jak brzmi nazwisko?

– Vero. Moja matka i ojciec. Gdzie mogę znaleźć ojca Pietra?

– W Rialto, oczywiście. Sprzedaż niewolników to handel jak każdy inny. W Rialto można kupić wszystko. Ktoś słyszał o człowieku imieniem Vero? – krzyknął w stronę statku.

– Guilliam Vero – dopowiedział Luca.

– Guilliam Vero. Zabrane około czterech lat temu? Wioślarze, możecie przemówić.

Jeden z galerników podniósł głowę.

– Na statku Bayeeda. Dwa lata temu.

– No i proszę – rzucił bez emocji Radu. – Ojciec Pietro może go odnaleźć, jeśli nie jest już za późno.

– Kim jest Bayeed? – spytał gorączkowo Luca. – Gdzie jest jego statek?

Radu wzruszył ramionami.

– Nie znam tego człowieka. Pewnie to łowca



niewolników, a gdzie znajduje się teraz jego statek? Nikt nie wie. Może być wszędzie. Może przeczesuje wybrzeże Italii, Hiszpanii lub Francji. Tacy ludzie po udanych łowach zabierają towar do domu, by go sprzedać. Musisz spytać ojca Pietra.

– Czy można wierzyć temu wioślarzowi? Mogę z nim porozmawiać?

– Można mu wierzyć. Nikt nie odzywa się do mnie, jeśli nie wie czegoś na pewno. Nie możesz z nim porozmawiać.

Luca zacisnął pięści, co nie zrobiło wrażenia na Radu Beju, który wziął sobie krzesło i usiadł, rozglądając się, jakby niezmiernie go cieszył ten niespodziewany obiad na ładzie.

Żołnierze zaczęli schodzić z galery, by zmierzyć maszt z nieheblowanego drewna. Nieśli ze sobą narzędzia stolarskie. Musieli ociosać maszt tak, żeby idealnie zmieścił się w otworze po starym. Poniżej, na statku, inni mężczyźni odcinali złamane reje i

wrzucali je do wody.

– Żyje – powiedział Luca zduszonym głosem. –  
Mój ojciec żyje.

Radu spojrzał na niego bez współczucia.

– Pewnie trudno stracić rodzica, którego się kocha – rzekł obojętnie.– Mój ojciec oddał mnie jako zakładnika sułtanowi Muradowi. Nigdy więcej nie zobaczyłem jego ani mojej matki. Nie wróciłem do domu. Ojciec przehandlował mnie i brata w zamian za tron. Nie wybaczę mu tego. Na jego miejscu pewnie postąpiłbym tak samo, ale nigdy mu nie wybaczę, że nas oddał. Własnych synów...

– Tyle lat modliłem się, żeby rodzice jeszcze żyli i żebym mógł ich znowu ujrzeć.

– No cóż, zapewne – rzucił Radu beztrosko.

– Ojciec! – Luca osłonił oczy drżącą ręką. –  
Przepraszam, myślałem, że nigdy już go nie zobaczę.  
Dałeś mi nadzieję.

Służący przynieśli jedzenie z karczmy: mięso,

chleb, sery, ryby wędzone i gotowane w potrawce, butelkę wina. Radu wyciągnął ręce, a jeden ze służących oblał mu dłonie wodą i podał lniany ręcznik. Następnie kapitan nałożył sobie szczodrze jedzenia i przekazał talerz Luce.

– Wybacz, lecz będę jadł z większym apetytem, jeśli skosztujesz wszystkiego, co mi przyniesiono. Pragnę być uprzejmy, lecz równie mocno pragnę zachować życie.

– Niech będzie – zgodził się Luca.

Radu czekał cierpliwie, aż chłopak zje po łyżce każdej potrawy.

– Jeszcze wino, wybacz moją podejrzliwą naturę.

Radu wskazał butelkę. Iszrak podeszła i nalała nieco trunku do kieliszka, który podała Luce. Ten pociągnął łyk.

– Pijesz wino? – zdziwił się. – Myślałem, że twoja wiara zabrania ci picia alkoholu.

– Nie wtedy, gdy jestem na morzu lub na wojnie.

Radu przyglądał się Luce, wypatrując podejrzanych objawów, ale młodzieniec był tylko poruszony nadzwyczajnymi wieściami.

– Gdybym mógł znaleźć ojca, odzyskać matkę, nie byłbym już sierotą.

– Nie takie rzeczy się zdarzały – oznajmił wesoło Radu i uznawszy, że Luca nie wygląda na ofiarę trucizny, ochoczo zabrał się do jedzenia.

Jednocześnie obserwował postęp prac na statku i od czasu do czasu zerkał na przystań, sprawdzając, czy nikt nie atakuje od strony lądu. Iszrak stała za Freize'em, nie spuszczając wzroku z kapitana.

– Przepraszam. Zupełnie straciłem głowę – powiedział Luca, dochodząc do siebie. – Nie mogę uwierzyć, że ojciec żyje. On, którego już opłakałem! Dzięki Bogu!

Radu, obgryzający kurze udko, skinął głową.

– Rozumiesz, że życie galernika jest trudne? Niewielu potrafi przetrwać dłużej niż kilka lat. Twój

ojciec mógł już umrzeć... lub może umrzeć, zanim go wykupisz.

– Ale do tej pory nie miałem nadziei, a ty mi ją dałeś.

Radu parsknął śmiechem na myśl, że stał się posłańcem dobrych wieści dla sentymentalnego chrześcijanina, i sięgnął po duszoną rybę.

– Miło mi odgrywać rolę... jak wy to nazywacie... anioła zwiastowania. A twoja matka?

– Czy zdołam ją odnaleźć?

– Może nawet łatwiej niż jego. Jeśli pracuje dla jakiegoś pana, on pewnie zna jej imię. Może nawet ulitował się nad nią i sam zaproponował jej wykupienie. Chyba że trafiła do haremu, a jej pan upodobał ją sobie. Jest ładna? Płodna? Może masz już pół tuzina śniadych braci i sióstr.

Luca zacisnął pięści.

– To moja matka – rzucił ostrzegawczo. – Nie życzę sobie ani słowa więcej...

Freize skamieniał, przygotowując się do walki, ale uprzedziła go Iszrak, która w kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy szybko przystąpiła do stołu.

– Jeszcze wina, łaskawi panowie? – Uniosła butelkę i celowo trąciła nią mocno głowę Luki. – Wybacz, panie.

– Niezdarny idiota – stęknął Luca, odzyskując panowanie nad sobą. Odetchnął i zwrócił się do Radu: – Nie będziemy mówić o moich rodzicach. Nie będziesz mówić o mojej matce. A teraz wróćmy do interesów. Manuskrypt. Nie masz nic przeciwko temu, żeby mój młody skryba notował to, co powiemy?

Radu pokręcił głową.

– Ależ skąd. – Spojrzał na Iszrak, która usiadła na zydelku i zanurzyła pióro w kałamarzu. Ich oczy na chwilę się spotkały; czerń z czernią. – Interesujący chłopiec – zauważył. – Arab?

Rzucił parę szybkich słów po arabsku. Iszrak nie pozwoliła sobie nawet na drgnienie powieki, choć powiedział: „Czy jesteś Arabem? Chcesz, żebym cię uwolnił?”.

– Mieszaniec – odparł lekceważąco Luca. – Dziecko niewolnicy.

– Rozumie łacinę?

– Nie. Tylko na tyle, żeby zapisać to, co mówię... tylko do tego się przydaje.

– Powinieneś go uczyć – doradził Radu. – Zdumiewające, jak wiele może się nauczyć mądry chłopiec.

– Byłeś mądrym chłopcem?

Radu uśmiechnął się z wyższością.

– Mój brat i ja byliśmy bardziej niż mądrzy. Byliśmy genialni. Ojciec oddał nas sułtanowi jako rękojmię przymierza i choć tego nie planował, wysłał nas na jedyny dwór, gdzie mogliśmy otrzymać najlepsze na świecie wykształcenie. Wychowaliśmy

się z Mehmedem, synem sułtana Murada. Uczyliśmy się wraz z nim... pięciu języków, matematyki, geografii, filozofii... krótko mówiąc, zrozumienia świata i jego opisywania.

– A teraz?

Przez twarz Radu Beja przemknął cień. Oprócz Iszrak nikt go nie dostrzegł.

– Mój brat wrócił do domu. Odziedziczył tron ojca i zgodził się zachować nasze ziemie dla imperium osmańskiego, ale był niewierny i zwrócił się przeciwko nam. Zrzucono go z tronu, jest teraz na wygnaniu, ale niewątpliwie zbiera armię w nadziei, że odzyska dawną władzę. Dla mnie mógłby nie żyć. Wątpię, żebym kiedyś go jeszcze zobaczył. Wybrał niewłaściwą stronę. Został moim wrogiem. Przeznaczenie zawiodło nas w przeciwne strony: on jest wielkim chrześcijańskim dowódcą, a ja jednym z największych dowódców, jakich mój przyjaciel sułtan Mehmed może posłać w bój.



– I wszędzie wozisz ze sobą manuskrypty?  
Uczysz się?

– Ciągłe czytam, dniem i nocą. W ten sposób można wiele zrozumieć. Wierzę, że pewnego dnia zrozumiemy wszystko. Mam ci przeczytać, co Platon pisze o trzęsieniach ziemi? – spytał Radu z uśmiechem. – To przekład z greki na arabski. Będę ci to tłumaczyć na bieżąco, najlepiej jak umiem.

Ostrożnie rozwinął manuskrypt – piękne arabskie pismo na zwojach pergaminu. Pieczołowicie rozprostował je i rzuciwszy okiem na Iszrak, zaczął czytać.

– O, to cię zainteresuje. Proszę... Platon mówi o wielkiej wyspie na Atlantyku, ogromnym kraju, większym niż Libia i Azja razem wzięte... i pisze tak, hmm... „Pojawiły się trzęsienia ziemi i powodzie; w ciągu jednego dnia i jednej strasznej nocy cała wasza armia w jednym momencie zapadła się naraz pod ziemię. Podobnie znikła także wyspa Atlantyda,

pochłonięta przez morze. Dla tej właśnie przyczyny to morze jest tam jeszcze do dzisiejszego dnia niezeglowne i nawet niezbadane wskutek przeszkód, jakie stawia dno pełne szlamu i pływacz – szlamu zostawionego przez pochłoniętą wyspę”<sup>5</sup>.

– Trzęsienie ziemi i zatonięcie lądu? – upewnił się Luca. – Armia zapadająca się pod ziemię? Wielka wyspa, tonąca w morzu i pozostawiająca po sobie tylko pokłady szlamu?

– Brzmi to tak, jakby trzęsienie ziemi było na tyle silne, że pochłonęło całą armię. Trzęsienie ziemi, które spowodowało, że morze zatopiło wielki kraj – odparł Radu. – Platon mówi o tym, ponieważ Sokrates wspomniał o mieście dręczonym przez trzęsienia ziemi i powodzie. – Jedwabisty głos Radu ucichł. – To tyle.

– Trzęsienia ziemi i powodzie? Jakby występowały razem?

Radu skinął głową.

– Ponadto jeden z naszych arabskich myślicieli sugeruje, że trzęsienie ziemi porusza ziemią znajdującą się pod powierzchnią morza. Jeśli potrafisz to sobie wyobrazić, ziemia pod morzem się podnosi, a woda jest zmuszona odpłynąć.

Luca bardzo starał się nie spoglądać na Iszrak, która siedziała pochylona nad papierem, gorączkowo pisząc.

– O czym jeszcze pisze Platon? Co jeszcze mówi?  
– spytał zafascynowany.

– Właściwie o wszystkim. – Radu dostrzegł zaintrygowanie w oczach Luki. – Ach, musisz zdobyć manuskrypt i kazać jakiemuś Grekowi, żeby ci go przetłumaczył.

– Mogę się nauczyć greki – powiedział żarliwie Luca. – Gdybym miał grecki manuskrypt, mógłbym go zrozumieć. Szybko uczę się języków.

– Czyżby? – spytał z uśmiechem Radu Bej. – W takim razie powinienes zająć się do biblioteki w

Istambule. Jest tam tyle tekstów, że nawet nie zdołam ich wymienić. Na przykład Platon mówi o wszystkim, co można zaobserwować w realnym świecie. Prawi bardzo interesująco o tym, co widział i słyszał.

– I?

– I mówi o ukrytym prawdziwym świecie, którego nie można zaobserwować. Mówi, że istnieje inna rzeczywistość, której nie możemy dotknąć. Świat, którego nie możemy zjeść jak pożywienia, na którym nie możemy się potknąć jak na kamieniu. I jest to rzeczywistość bardziej rzeczywista niż wszystko, co nas tu otacza.

– Więc jak ją możemy dostrzec?

– W tym sedno. To jest niewidoczny świat, ukryty za realnym. Nie widzimy go, możemy go jedynie pojąć umysłem, bo nie zdołamy go chwycić i obejrzeć.

– Czy rzeczy, które widzimy i których dotykamy,

w niczym nie pomogą nam tego zrozumieć?

– To cienie na ścianie. Jak gdyby dziecko bawiło się, tworząc je za pomocą świecy. Prawdziwy świat to świeca, nie cień. Ale dziecko patrzy tylko na cień.

Luca wpatrywał się w Radu, jakby chciał go chwycić i wytrząsnąć z niego informacje.

– Chcę zrozumieć!

Radu wytarł usta i zaczął zwijać manuskrypt.

– Przybądź do Istambułu. Popłynij ze mną. Są tam uczniowie, którzy mówią twoim językiem. Zaprowadzą cię do biblioteki. Będziesz mógł czytać wszystkie dokumenty, uczyć się. Jesteś matematykiem?

– Nie! – wykrztusił zdesperowany Luca. – Nie tak, jak ty to rozumiesz.

Radu uśmiechnął się pod nosem.

– Platon uczył się od Sokratesa, a sam uczył Arystotelesa. Nie jesteś jeszcze matematykiem, bo musisz najpierw zrozumieć pewne rzeczy. Nie chodzi

o nauczenie się jednej rzeczy, lecz o ogół wiedzy; kolejne pokolenia budują na tym, czego dowiedziały się poprzednie. Musisz zrozumieć tych, którzy byli przed tobą, i dopiero wtedy będziesz mógł zadawać pytania i sam się uczyć.

Luca wstał. Ręce lekko mu drżały, więc schował je pod habit, żeby bystrooki osmański żołnierz nie zauważył, jak go kusi myśl o bibliotece pełnej matematycznych manuskryptów.

– To było interesujące spotkanie, lecz muszę pamiętać, że jesteś wrogiem mojej wiary, kraju i rodziny.

– To prawda. Ale możesz zmienić wiarę i kraj, a rodzinę i tak straciłeś.

– Nie zmienię wiary – odparł stanowczo Luca.

– Może wszystkie religie to cienie na ścianie – powiedział Radu Bej, a w kącikach jego ciemnych oczu pojawiły się zmarszczki uśmiechu. – Może istnieje Bóg jak światło ognia, ale my widzimy tylko

cienie, które sami rzucamy, przechodząc przed ogniem. Widzimy wielkie, skaczące sylwetki i myślimy, że to Bóg, ale tak naprawdę to nasz obraz.

Oczy Luki rozszerzyły się lekko.

– Będę się modlić za twoją duszę... to straszna herezja.

– Jak sobie chcesz – odrzekł Radu Bej ze swoim ładnym, leniwym uśmiechem. – Wszystko zapisałeś, chłopcze?

Iszrak nie podniosła głowy.

– Tak, panie.

– Włącznie z herezją?

Iszrak powstrzymała się, by nie spojrzeć na niego i się nie uśmiechnąć.

– Tak, panie.

– Więc zostaw tu swoje papiery i odnieś to na statek – rzucił lekko kapitan.

Wręczył Iszrak skrzynkę z manuskryptami, a do Luki wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie, czując

siłę swoich mięśni.

– Szkoda cię na włączenie się po upadającym kraju i pytanie ignorantów, co złego wydarzyło się w ich nędznym życiu – powiedział Radu spokojnie. – Jesteś zbyt inteligentny, żeby poświęcać się badaniu złych snów staruszek. Znam twojego zwierzchnika... zaprzysiągł życie niewłaściwej stronie i wkrótce się dowie, że zapłaci za to zbyt wysoką cenę. Sprzeda własną duszę, myśląc, że wykonuje dzieło boże, ale przekona się, że świat się zmienia, a on został daleko w tyle. Wejdz ze mną na pokład, a popłyniemy do Istambułu, do bibliotek, gdzie będziesz mógł się uczyć.

Luca puścił jego rękę.

– Dotrzymam swojej wiary – odparł, prawie bez tchu. – Bez względu na pokusę.

– Och, jak sobie życzysz – powiedział łagodnie Radu Bej, odwrócił się i ruszył ku statkowi.

Iszrak rzuciła szybkie spojrzenie na Luce, a kiedy



ten skinął głową, poszła za Radu Bejem, niosąc skrzynkę z manuskryptami. Kapitan odezwał się do niej cicho przez ramię:

– Jeśli jesteś niewolnikiem, uwolnię cię. Przyjdź do przystani o zachodzie słońca i wskocz na statek, a odpłyniemy razem. Jeśli jesteś dziewczyną, jak mi się wydaje, będziesz bezpieczna, dam ci słowo. Jeśli jesteś uczonym... nie, wiem, że jesteś, bez względu na płeć... popłynij ze mną do Istambułu, gdzie możesz studiować.

Ostrożnie powstrzymała się od odpowiedzi.

– Twój pan jest głupcem, skoro wybiera ignorancję zamiast wiedzy. Chce zostać po stronie, która przegrywa. Chce zostać z Bogiem, który potrafi przewidzieć tylko koniec świata. Czy będziesz mnie pamiętać, kiedy znowu mnie zobaczysz?

– Tak! – rzuciła po arabsku, zaskoczona.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej, olśniewająco przystojny w blasku południowego słońca.

– Dobrze mnie zapamiętaj. A kiedy zobaczysz kogoś, kto jest do mnie podobny... a myślę, że będzie to mężczyzna, którego łatwo wziąć za mojego bliźniaka... to wiedz, że znalazłaś się w najstraszliwszym niebezpieczeństwie i że powinnaś przyjść do mnie.

– Nie mogę przyjść do ciebie – odparła po włosku, odzyskując panowanie nad sobą. – Nigdy. Przenigdy.

Rozłożył ręce i z uśmiechem lekko się skłonił.

– Przyjdzie dzień, kiedy tego zechcesz – powiedział, wziął od niej skrzynkę i zstąpił na dziób galery. – Siostró moja, ci chrześcijanie nie są nawet w połowie tak dobrzy, jak się wydają. Wiem to, bo urodziłem się i wychowałem wśród nich i zostałem przez nich opuszczony, tak jak ty.

– A ja nie! – Nagle zaczęło jej bardzo zależeć na tym, żeby go przekonać. – Nikt mnie nie opuścił.

– A jednak. Zrobili to, twój ojciec albo matka. Bo

jesteś tutaj, z tą skórą jak miód i oczami jak daktyle, na usługach *Franj*, a ty nie przyznajesz się do swojego ludu i nie chcesz wrócić do domu, choć ci to proponuję.

– Jestem z moim ludem – oznajmiła uparcie.

– Nie, to *Franj*, obcy.

Na chwilę zapadła cisza.

– Jesteś utalentowana – podjął Radu Bej. – Odebrałaś dobre wykształcenie, chodzisz jak wojownik, a piszesz jak naukowiec.

Nie odpowiedziała.

– Pracujesz dla ludzi, którzy uważają, że pójdiesz do piekła – zauważył.

Iszrak milczała.

– Gdy przyjdzie dzień, w którym zobaczysz mężczyznę podobnego do mnie, powinnaś odwrócić się od niego i przyjść do mnie – powtórzył ostrzeżenie Radu. – W przeciwnym razie ujrzysz straszne rzeczy, zrobisz straszne rzeczy, spojrzysz w

otchłań. Zacznieś wierzyć, że znalazłaś się w piekle, które wymyślili chrześcijanie.

Dziewczyna nasunęła kapelusz na oczy, postawiła kołnierz, jakby chroniła się przed deszczem, odwróciła się i odeszła od niego – choć wolałaby pójść za nim.

\* \* \*

Mieszkańcy Piccolo przez cały dzień obserwowali osmańską galerę przez zasłonięte okna domów na przystani i otwory strzelnicze fortu. Patrzyli, jak mężczyźni ociosują maszt, wprawiają go w pokład, olinowują żagiel i sztagi<sup>6</sup>, a potem, w końcu, zgodnie z obietnicą – odpływają o zachodzie słońca, mijając mały fort i ociekający wodą łańcuch.

– Zatrzymać ten statek! – Ten krzyk odbił się echem w wąskich uliczkach, zlewając się z tętentem kopyt, gdy po brukowanych schodkach prowadzących do portu zjechał mężczyzna na koniu.

Luca odwrócił się gwałtownie, czujny wobec nowego niebezpieczeństwa. – Zatrzymać ten statek! W imię Ojca Świętego, zatrzymać!

Po chwili wahania Luca pobiegł do fortu, machając rękami.

– Zatrzymać statek! Ktoś nadchodzi!

Wierzchowiec wypadł z cienia budynków, z jeźdźcem nisko pochylonym nad jego grzbietem. Zatrzymali się tak gwałtownie, że spod kopyt posypały się iskry. Jeździec zeskoczył i krzyknął:

– Rozkazuję zatrzymać statek!

Z fortu wylegli mężczyźni, którzy chcieli dowiedzieć się, o co chodzi.

Przybysz rzucił się na Lucę.

– Zatrzymać go! Tym statkiem dowodzi największy wróg świata chrześcijańskiego!

– Jak mielibyśmy go zatrzymać? – odezwał się z rozdrażnieniem kapitan Gascon. – Wypłynął pod pełnymi żaglami, w dodatku ma wioślarzy. Nie

znamy sposobu, żeby go zawrócić.

Przybysz tupnął z wściekłości.

– To statek pod rozkazami samego diabła!

– Już odpłynął! – krzyknął Luca. – Poza tym ci ludzie tutaj nie mają dział. Nie mogą do niego strzelać. A kapitan przybył tu pod białą flagą. Dlaczego chcesz, żeby go zatrzymać? Kim jesteś?

Nagle dostrzegł ciemnoniebieską szatę oraz przenikliwe czarne oczy w cieniu kaptura i uświadomił sobie, że są mu nieprzyjemnie znajome. Brat Piotr ukląkł na jedno kolano.

– Mistrzu... – powiedział tylko.

Luca stał niezdecydowany.

– Czy to naprawdę ty, mój mistrzu?

Mężczyzna patrzył na galerę niewolników odpływającą pod wydętymi żaglami. Wioślarze unieśli wiosła, a potem zanurzyli je w wodzie. Wysoka postać stojąca na rufie jakby ironicznie rozwinęła sztandar lśniący wspaniałym metalicznym

błękitem i zielenią, z wielkimi złocistymi oczami i długą wstęgą z cennego złotogłowiu, misternie haftowaną w nakładające się na siebie pawie ogony – symbol szlachectwa w imperium osmańskim, sztandar wielkiego dostojnika ze zwycięskiego kraju.

– Czy to był Radu cel Frumos? – spytał przybysz.

– Odpowiadaj, do diabła! Czy to był Radu cel Frumos?

– Przedstawił się jako Radu Bej – odparł ostrożnie Luca. Szybkie zerknięcie na brata Piotra, nadal klęczącego z ręką na sercu, upewniło go, że rozwścieczony mężczyzna w kapturze jest tym samym, który przyjął go do Zakonu Ciemności. Luca ukląkł obok brata Piotra i również położył rękę na sercu. – Witaj, mistrzu.

– Wstać – warknął mężczyzna, nawet na nich nie patrząc.

– Przepraszam, nie wiedzieliśmy, że chcesz go zatrzymać – powiedział cicho brat Piotr. – Przybył tu,

gdyż stracił maszt. Gdybyśmy wiedzieli... Ale byli uzbrojeni po zęby, a my nie mamy ani działa, ani nic poza miejscową gwardią.

– Na przyszłość będziecie wiedzieć. Jeśli kiedykolwiek go spotkacie... – Przybysz odetchnął głęboko, z trudem się opanowując. – Jeśli kiedykolwiek go spotkacie, macie go schwytać, o ile zdołacie, i wysłać do mnie. Jeśli zaś nie uda wam się go schwytać, zabijcie go na miejscu. To mój największy wróg. Nigdy mu nie wybaczę tego, że ze mną walczy... pod każdym względem jest moim przeciwnikiem. Rangą przewyższa go tylko sułtan Mehmed II. Ten człowiek skruszył mury Konstantynopola. Jest przywódcą ich armii. To największy wróg świata chrześcijańskiego. Nie ma człowieka, którego pojmałbym z większą radością. Nie ma człowieka, którego bardziej pragnę ujrzeć martwego u mych stóp. To prawdziwy wysłannik Szatana. I najpewniejsza oznaka nadejścia końca



świata.

Luca i brat Piotr wymienili niespokojne spojrzenia i stanęli za swoim przełożonym.

Wspaniała flaga pochyliła się w ironicznym pozdrowieniu, po czym została zwinięta. Trzej mężczyźni patrzyli, jak statek staje się coraz mniejszy, odpływając szybko w dal po ciemniejącym morzu. Wkrótce zniknął w mroku.

– A więc umknął i śmieje się z nas – powiedział mistrz. – Traktuje nas jak przykutych do stałego lądu głupców, którzy mogą tylko przeklinać, gdy on odpływa. Ale wy to zapamiętajcie. I następnym razem, bo będzie następnym razem, nie pozwolicie mu tak się potraktować.

– Nigdy – zapewnił go brat Piotr.

Mistrz milczał przez chwilę, usiłując się uspokoić.

– Przeczytałem twój raport o dziecięcej krucjacie i wielkiej fali – zwrócił się do Luki. – Jadąc tu, by

zobaczyć wymarsz krucjaty, spotkałem po drodze waszego posłańca. Możesz opowiedzieć mi więcej przy kolacji.

– To biedna karczma – ostrzegł go Luca. – Jeszcze ją naprawiają i osuszają.

– Nie szkodzi. Byliście w drodze do Splitu?

Luca pokręcił głową.

– Nie, mistrzu. Tamto wybrzeże zostało jeszcze bardziej zniszczone przez falę niż nasze. Nie możemy się tam udać; jego mieszkańcy ściągają w te strony pomimo tutejszych zniszczeń. Mieliśmy napisać do ciebie z prośbą o nowe rozkazy.

Mężczyzna milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– Możecie udać się lądem w stronę Wenecji. Chcę, żebyście tam coś sprawdzili.

Oddał bez słowa cugle swego konia Freize'owi i wszedł do karczmy.

– Więc teraz Wenecja? – mruknął kwaśno Freize

do konia. – Wjeżdża tu jak jeździec Apokalipsy, pewnie trzej pozostali już za nim galopują, tylko ich patrzeć, i oznajmia nam, że jedziemy do Wenecji. No, pięknie. Pięknie, a ty i ja jesteśmy tylko głupimi zwierzętami, o czym ty wiesz, a ja powinienem pamiętać. – Poglaskał szyję konia, który odwrócił ku niemu wielki łeb, żeby go obwąchać. – Wiesz, co on knuje? – spytał konspiracyjnym szeptem. Zaczekał, jakby naprawdę sądził, że zwierzę mu odpowie. – Ściśle tajne? To zrozumiałe. Ale nie wmawiaj mi, że on ci się nie zwierza.... – Gdy koń uparcie milczał, Freize poklepał go po boku i rozpiął jego ciasną uzdę. – No cóż... Człowiek, który nie wyjawia niczego nawet własnemu koniowi, to w rzeczy samej człowiek tajemniczy.

\* \* \*

W karczmie Iszrak i Izolda, które obserwowały z okna sali jadalnej odpływającą galeryę, uciekły do

swojego pokoju, gdy przybysz wezwał karczmarza. Zamówił kieliszek wina, kazał rozpalić na kominku, wynajął najlepszą sypialnię wyłącznie dla siebie, nie zgadzając się jej dzielić z innymi podróżnikami, zgodził się na cenę tego luksusu, a potem, w końcu, usiadł na fotelu, zdjął buty do konnej jazdy i oznajmił, że zje samotnie, lecz Luca i brat Piotr mają do niego przyjść po posiłku.

– Kto to? – Izolda chwyciła brata Piotra za rękę, gdy ten, zgięty w pokłonie, wycofał się z jadalni i z wyraźną ulgą zamknął drzwi.

– To mistrz naszego zakonu.

– Jak się nazywa?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– A jaką pełni funkcję?

Brat Piotr spojrzał na dziewczynę niemal z lękiem.

– Cieszy się wielkim zaufaniem Ojca Świętego – odparł. – Powierzono mu badanie końca świata.

Zakon porusza się na granicy świata chrześcijan i świata niewiernych, patrolując ją. Nie ma pod słońcem człowieka, któremu groziłoby większe niebezpieczeństwo. I człowieka bardziej nieustraszonego.

– Czy jest bogaty?

– Oczywiście.

– Ilu ludzi ma pod swoim dowództwem?

– Tego nie wie nikt oprócz niego.

– Od jak dawna mu służysz?

Brat Piotr zastanawiał się przez chwilę.

– Pięć lat.

– Jak się nazywa ten zakon?

– Niektórzy nazywają go Zakonem Ciemności – powiedział ostrożnie skryba.

– Czy on też go tak nazywa?

Brat Piotr się uśmiechnął.

– Nie wiem.

– Czyli zakon ma inną nazwę?

– Pewnie niejedną.

– Czy Luca złożył śluby? Ślubował być żołnierzem żyjącym w celibacie, inkwizytorem, czy jak to nazywacie?

– Jeszcze nie. – Brat Piotr milczał przez chwilę. – Trzeba najpierw się zasłużyć, udowodnić swoją wartość. Dopiero potem składa się przysięgę. – Odruchowo dotknął swojego ramienia.

– Naznaczyli cię? – domyśliła się Izolda.

Jego milczenie świadczyło o tym, że zgadła.

– Pokaż – poprosiła natychmiast.

Nie zareagował.

– Dlaczego nie chcesz mi pokazać? Wstydzisz się swojej lojalności?

– Skąd! – rzucił, ugodzony do żywego.

Powoli podwinął rękaw, odsłaniając ramię z ciemnym tatuażem – znakiem zakonu.

Izolda patrzyła w milczeniu na smoka pożerającego własny ogon – symbol wieczności i

błędnego koła strachu, który żywi się sobą.

– Czy Luca ma taki znak? Czy mistrz i jego okaleczył?

– Nie. Jeszcze nie.

– Musi złożyć śluby zakonne, a potem zostanie tak naznaczony? – spytała, wiedząc, że mężczyźni w taki sposób tworzą więzi między sobą.

Milczenie skryby świadczyło, że zgadła.

– Bracie, doprawdy pytam nie jako ciekawska dziewczyna, lecz jako dusza czekająca na Królestwo Niebieskie. Luca to wybraniec Boga; czy nie sądzisz, że powinien być wolny od więzów? Nie sądzisz, że powinien móc swobodnie podróżować, uczyć się i nikomu nie służyć? Nie sądzisz, że to wyjątkowy młodzieniec, nadzwyczaj dalekowzroczny i mądry, który nie powinien być zależny od żadnego człowieka?

Brat Piotr pokręcił głową.

– Możesz tak myśleć. Możesz myśleć, że

powinien swobodnie uczyć się i prowadzić badania, doskonalić umiejętności, ale to nie są zwykłe czasy. W zwykłych czasach przyznałbym ci rację, ale to koniec świata. Zakon może nas przed nim ocalić lub przez niego przeprowadzić. Zakon potrzebuje ludzi takich jak Luca, w lot rozumiejących istotę rzeczy. Luca potrafi liczyć tak szybko, jak większość ludzi wymawia słowa. Ma talent do języków i każdego uczy się błyskawicznie. Nie rozprasza go i nie staraj się go uwieść. Luca jest niezbędny do działania zakonu. Widziałem wielu inkwizytorów, ale żaden nie pojmował spraw tak szybko, tak trafnie wnikając w ich istotę jak Luca Vero. Zadałaś mi wiele pytań, a ja ci na nie odpowiedziałem, więc mogę oznajmić i to: celem zakonu jest ratowanie świata. Nie ma nic ważniejszego. Jedyne, co powinnaś zrobić, to wspomagać Lucę w pracy dla zakonu. Wszystko inne to dzieło Szatana. Zapamiętaj.

Izolda spuściła głowę. Brat Piotr doznał chwili



głębokiej radości – wydawało mu się, że dziewczyna przyjęła jego wskazówki.

– Wiem, że nie ma nic ważniejszego od jego zadania – odrzekła pokornie. – Poza tym nie mam na niego żadnego wpływu.

Brat Piotr pokiwał głową i poszedł na górę, by znaleźć Lucę.

\* \* \*

W sypialni na poddaszu Luca i brat Piotr starali się doprowadzić do jak najlepszego stanu – co nie było łatwe, zważywszy na to, że wszystkie ich ubrania albo ledwie przetrwały powódź, albo pochodziły ze skromnej oferty miejscowego krawca.

Luca zniósł swoje buty do kuchni, by wybłagać tłuszcz do ich nabłyszczania.

– Spotkamy się w jadalni – rzekł brat Piotr. – Będzie wyglądać lepiej, jeśli przybędziemy kolejno, nie razem. Czy powiemy mistrzowi, że rozmawiałeś z

niewiernym?

– Czemu nie?

Skryba wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej mistrz nie jest jego przyjacielem.

Ledwie go zobaczył, zaczął krzyczeć, by go pojmać.

– Niewierny znał historię fali. Musiałem go o nią spytać. Musiałem napisać raport o jej pochodzeniu.

– Powiesz mistrzowi, że nie poszedłem z tobą, by zapisać słowa niewiernego?

– Jeśli mnie o to spyta, to tak. Ale sądziłem, że jesteś posłuszny swojemu sumieniu? Że chętnie się pochwalisz, iż nie zgodziłeś się rozmawiać z wrogiem?

Brat Piotr ponownie wzruszył ramionami. Nie potrafił przewidzieć, czy zostanie pochwalony za unikanie niewiernego, czy potępiony za to, że nie wypełnił swoich obowiązków jako skryba.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Luca. – Czy rozmawialiśmy z nim, czy nie, to nieistotne wobec

tego, co się zdarzyło! Omal nie zginęliśmy. Widzieliśmy krucjatę. Byliśmy w drodze do Jerozolimy, maszerowaliśmy po morskim dnie. Fala wielka jak dzwonnica ścigała nas, zatapiając wszystko na swojej drodze. Niemal codziennie wokół nas działy się nadzwyczajne rzeczy.

Brat Piotr wciągnął za duże spodnie i przewiązał je sznurem od sutanny na chudych biodrach.

– Nigdy nie widziałem, żeby opuścił Rzym – wyznał. – Niepokoję się.

Luca spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Nigdy dotąd nie przyjechał do inkwizytora?

– Nigdy.

– Dlaczego zrobił to dla mnie?

– Sam chciałbym wiedzieć.

\* \* \*

Freize, który miał podawać do stołu, był w kuchni i pomagał przejętej karczmarce nakładać

gulasz do wydrążonych bochenków świeżego ciemnego chleba. Iszrak i Izolda zamierzały zjeść w swoim pokoju.

– Zaniosę paniom jedzenie – zaproponował Freize.

– Właśnie po nie zesłam – odezwała się Iszrak od progu. – I odniosę naczynia. Wiedziałam, że będziecie zajęci w kuchni.

– Niech cię Bóg błogosławi! – zawołała gospodyni. – Gość z samego Rzymu, a tu wszędzie wilgoć!

– Nie szkodzi, obsłużymy się same – zapewniła ją Iszrak.

Wzięła dwie miski gulaszu i parę kromek razowego chleba i ruszyła do wyjścia. Freize otworzył jej drzwi.

– Co ci powiedział? – spytał cicho, gdy go mijała. Podniosła głowę.

– Kto?

– Niewierny pan. Przemówił do ciebie w swoim języku. Kiedy niosłaś jego skrzynkę. Widziałem, że jak z nim szłaś, mówił coś cicho do ciebie. Nie wiem tylko, co powiedział... ani co ty powiedziałaś do niego.

– Nie zrozumiałam go – odparła bez namysłu. – Za szybko mówił.

– Więc co odpowiedziałaś?

– Że nie rozumiem.

Jej ciemne oczy na ułamek sekundy umknęły w bok i Freize zrozumiał, że Iszrak kłamie.

– Wygląda na kogoś ważnego – rzucił od niechcena.

– Z tego, co mówił Luce, wynika, że jest bardzo uczony – odrzekła obojętnie i ruszyła po schodach.

– Podajesz do stołu czy flirtujesz z tą młodą damą? – zawołała gospodyni znad huczącego paleniska, gdzie polewała tłuszczem kaczkę piekącą się na rożnie.

– Flirtuję – odpowiedział Freize bez namysłu. – Najpierw z młodą damą, a teraz, skoro już sobie poszła, chwalić Boga, mogę się zabrać do znacznie smakowitszego kąska: ciebie. Pójdziemy do twojej pralni? Zapomnisz o kacuszce i zniewolisz mnie na stercie pościeli?

\* \* \*

Przybysz z Rzymu zjadł posiłek, jakiego nie spodziewał się dostać w miejscu dotkniętym katastrofą. Odsunął talerz i odgryzł kęs jabłka. Luca i brat Piotr przybyli z owocami i słodyczami. Stanęli przed stołem i zaczęli zdawać raport o krucjacie, fali i galerze. Potem zamilkli, czekając na opinię swego zwierzchnika.

Ten zaś siedział odprężony, w szacie z pięknego ciemnoniebieskiego materiału i w kapturze, rzucającym cień na jego twarz.

– Słyszałem o tym Platonie, o którym mówicie –

powiedział – i czytałem go, lecz tylko po grecku. W Rzymie mamy jego tekst, lecz niedoskonały. W naszej bibliotece w Konstantynopolu mieliśmy znacznie lepszy, ale teraz, tak jak i reszta chrześcijańskich skarbów, znajduje się ona w muzułmańskich rękach. Bracie Piotrze, daj mi zapiski z tego, co powiedział niewierny.

Skryba skinął głową. Nie wyjaśnił, że notatki zrobiła Iszrak.

– A teraz dowiaduję się, że podróżujecie z dwiema damami – dodał przybysz. – Nadal tu są?

– Nieustannie starałem się je wysłać z innymi podróżnymi! – wykrzyknął brat Piotr z ubolewaniem.

– Sytuacja sprawiła, że wciąż z nami pozostają.

– Kim one są? – zwrócił się zwierzchnik do Luki, ignorując skrybę.

– To pani Izolda z Lucretili i jej służąca Iszrak – wyjaśnił Luca. – Uciekły z klasztoru, jak wiesz, a my spotkaliśmy je na drodze. Znalazły się w tarapatach,

gdyż podróżowały bez ochrony. Dołączyły do nas dla swego bezpieczeństwa, do czasu gdy znajdą inną grupę podróżnych. Jak pisałem, pomogły nam w Vittorito i tutaj również. Pani Izolda wygłosiła tak dobre przemówienie, że zapobiegła wybuchowi szaleństwa tłumu, gdy ignoranci rzucali oskarżenia o przywołanie fali. A Iszrak jest nadzwyczaj uczona. Bardzo nam pomogła ze statkiem niewiernych, gdyż mówi po arabsku.

Mistrz wzruszył ramionami, jakby kobiety niewiele go obchodziły, ale ponieważ światło nie docierało w mrok kaptura, nie sposób było odgadnąć wyrazu twarzy mężczyzny.

– No dobrze – powiedział obojętnie. – A zatem niewolnica jest wykształcona?

– To wolna kobieta. Półkrwi Arabka, lecz wychowana na zamku Lucretili. Zna wiele języków i uczyła się w Hiszpanii. Dawny pan Lucretili chciał, by została uczoną. Pozwolił jej studiować medycynę i



arabskie dokumenty. Dziewczyna ma rozległą wiedzę, czego możesz się dowiedzieć z mojego raportu.

– Jaką religię wyznaje? – spytał mistrz, przechodząc do głównego, jedyne go, tematu.

– Chyba nie wyznaje żadnej – odezwał się ponuro brat Piotr. – Nie chodzi do kościoła, lecz nie widziałem też, żeby modliła się na muzułmański sposób. Może to niewierna, muzułmanka albo nawet jakaś poganka. Na pewno nie chrześcijanka. W każdym razie nie sądzę. – Zawahał się, po czym dodał słowa, które mogły obronić Iszrak przed oskarżeniem jej o herezję. – Uważamy ją za Mauretankę. Jest posłuszna chrześcijańskim prawom. Nie wywołuje skandali. Zachowuje się skromnie, jak na dziewicę przystało. Nie znajduję w niej żadnego uchybienia.

Luca spuścił wzrok na swoje świeżo wypolerowane buty i nie wspomniał o tym, jak Iszrak weszła do męskiej sypialni, mając na sobie tylko

nocną koszulę i opończę, jak wspięła się na dach po kotkę i jak wylądowała w jego ramionach.

– Dokąd się udają? Czy nie pisałeś, że do Budapesztu?

– Pani Izolda jest córką chrzestną zmarłego hrabiego Władysława z Wołoszczyzny. Chce poprosić jego syna o pomoc w odzyskaniu spadku, który w całości zawłaszczył jej brat. Nowy hrabia przebywa na dworze węgierskim, jego królestwo zagarnął uzurpator.

– Pani Izolda go zna? – spytał mistrz z nagłym zainteresowaniem. – Hrabiego Władysława? Syna lub ojca? Czy kiedykolwiek go widziała?

– Nie, nie sędzę.

Mężczyzna roześmiał się nagle, jakby usłyszał coś zabawnego.

– Jak to się wszystko łączy! – powiedział. – No cóż, jeśli sobie życzą, a ty nie masz nic przeciwko temu, mogą z tobą podróżować, gdyż chcę, byś udał

się do Wenecji. Leży ona na trasie, którą pojedą te damy, ponieważ z powodu fali nie mogą popłynąć do Chorwacji. Możecie wyruszyć jutro. Jeśli coś się wydarzy lub po drodze o czymś usłyszycie, musicie się zatrzymać i przeprowadzić dochodzenie; lecz gdy dotrzecie do Wenecji, czeka was zadanie. Słyszysz się o wielkiej ilości złota na rynku.

– Złota?

– Monet, złotych monet. Interesuje mnie to, bo najwyraźniej ktoś odkrył złoża tego kruszcu, bardzo bogate, wydobywa go i zalewa nim wenecki rynek. A może ktoś znalazł lub ukradł zapas złota, które teraz rozprowadza. W każdym razie to interesująca sprawa. Ponadto złoto występuje w Wenecji w postaci monet, nie sztab, co jest nietypowe. Dlatego sądzę, że na weneckiej wyspie Ghetto Nuovo kryje się fałszerz, który czerpiąc z tego nowego źródła złota, wytwarza bardzo dobre jakościowo monety, nie wiedzieć czemu angielskie noble. Piękne angielskie

noble z królem Edwardem na statku z jednej strony i angielską różą z drugiej. Tyle tylko że są idealne.

– Idealne?

Mistrz sięgnął między fałdy szaty i wyjął monetę. Luca wziął ją, poczuł jej solidny ciężar, obrócił ją, przyglądając się pięknemu grawerunkowi – ozdobnej róży i literom biegnącym wokół krawędzi.

– Zauważyłeś coś?

– Lśniaca... piękna.

– Otóż to, za ciężka i nieużywana. Nikt jej nie pocierał, nikt nie nadgryzał, by sprawdzić, czy jest prawdziwa. Nie krążyła wśród ludzi, dziesiątki drobnych oszustów nie starały się zdrapać z niej wierzchniej warstwy. Ma przepisową wagę. – W cieniu kaptura zamajaczył przelotny uśmiech. – Jest za dobra na ten świat... I właśnie to nas interesuje: coś zbyt dobrego na ten świat.

– Chcesz, bym przeprowadził dochodzenie? – spytał Luca. – Znalazł fałszerza lub mincerza?

– Mam powód – powiedział krótko mistrz, nie wdając się w wyjaśnienia. – Pojedź tam, wmieszaj się w tłum, kupuj i sprzedawaj, obracaj pieniędzmi, wymieniaj je, graj w hazardowe gry, jeśli będziesz musiał...

– Hazard? – wtrącił brat Piotr, gwałtownie podnosząc głowę.

– Tak, i poznaj tych, którzy obracają pieniędzmi, zrób, co trzeba, żeby zgromadzić jak najwięcej tych monet i przyjrzeć się im z bliska. Jeśli jest tam jakiś wyjątkowo utalentowany fałszerz, chcę o tym wiedzieć. Znajdź go i napisz do mnie natychmiast. Podaj się za młodego, szastającego pieniędzmi kupca. Mów, że masz udziały w statku; kupuj przedmioty, nie licz się z groszem, obnoś się z bogactwem, pokazuj, że masz w bród tych monet. Zatrudnij paru służących, zabierz ze sobą te dwie kobiety, jeśli zgodzą się ci towarzyszyć. Udawajcie rodzinę, która chce kupić dom w Wenecji. Brat Piotr i ty możecie

uchodzić za braci, ta twoja pani Izolda może być waszą siostrą, a jej służąca damą do towarzystwa. Wymyślcie coś, żeby dotrzeć do rynku złotych monet.

– Mamy kłamać? – upewnił się brat Piotr ze zgrozą. – Udawać kogoś innego? Przyjmować sfalszowane monety i grać w gry hazardowe?

– Handel? Hazard? – spytał Luca.

– Dla szlachetnego celu – odparł mistrz bez skrepowania.

– Żeby dobrze zrozumiał... Chcesz, żebyśmy udawali kogoś, kim nie jesteśmy, żeby zdobyć te złote monety, prawdopodobnie sfalszowane. Mamy żyć w fałszu, by przyciągnąć do siebie fałszywe pieniądze.

– Inkwizytorze, wiesz równie dobrze jak ja, że dwie fałszywe rzeczy mogą stworzyć prawdziwą. Idź przez fałsz, by dotrzeć do prawdy. Sprawdź, co zdemaskujesz, gdy będziesz się ukrywać pod maską.

Luca i brat Piotr wymienili spojrzenia, nadal oszołomieni tym niezwykłym poleceniem. Ale potem

Luca przemówił we własnej sprawie:

– Dowódca galery powiedział, że w Rialto mieszka pewien człowiek, który może mi pomóc odnaleźć ojca – zaczął z wahaniem. – Muszę go odszukać. Przysięgam, że jednocześnie będę szukać i złota. Nie zaniedbam mojego zadania, ale muszę porozmawiać z tym człowiekiem.

– Myślałem, że twój ojciec nie żyje? – rzucił mistrz od niechcienia.

– Zaginął – poprawił go Luca, jak zawsze zwykł poprawiać wszystkich. – Ale ów niewierny miał na galerze niewolnika, który widział mojego ojca na statku niejakiego Bayeeda.

– Prawdopodobnie kłamał.

– Być może. Ale muszę to sprawdzić.

– Cóż, może zdołasz go wykupić tym tajemniczym złotem – powiedział mężczyzna, kryjąc uśmiech w cieniu kaptura. – Może zdołasz wykonać dzieło boże z korzyścią dla Kościoła.

– Będziemy potrzebować funduszy – wtrącił brat Piotr. – Taka maskarada kosztuje.

– Przywiozłem je dla was. Sam Ojciec Święty wyraził zadowolenie z waszej pracy. Rozkazał mi osobiście wręczyć wam środki na następną sprawę. Jutro rano po prymie spotkamy się znowu. Potem wyjadę. A teraz chcę porozmawiać z bratem Vero. – Zamilkł, a po chwili dodał: – Na osobności.

Brat Piotr skłonił się i wyszedł.

\* \* \*

Za drzwiami wpadł na Iszrak i Freize'a. Iszrak, z pustymi naczyniami po obiedzie, jawnie podsłuchiwała. Freize najwyraźniej trzymał straż.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał brat Piotr z dobitnym sarkazmem.

– Dziękuję – odrzekła natychmiast Iszrak, bez cienia zażenowania. – Jesteś bardzo uprzejmy. – Podała mu ciężką tacę.



– I chcieliśmy wiedzieć... dokąd teraz? – odezwał się Freize.

– Już ty dobrze wiesz – burknął brat Piotr, dźwigając tacę do kuchni. – Skoro tak się przykleiliście do drzwi, pewnie usłyszeliście słowo „Wenecja”. A mistrz pozwolił nam zabrać panie, tak jakbyśmy podróżowali razem. Mamy przedstawiać się jako rodzina kupiecka, a wy macie być służącymi. – Urwał i rzucił im karcące spojrzenie. – A żeby wszyscy uwierzyli, że nimi jesteście, będziecie musieli pracować. Na przykład nosić talerze. Mam nadzieję, że nie zrobi wam to różnicy.

Postawił ciężko naczynia na stole kuchennym, zignorował podziękowanie speszzonej żony karczmarza i wszedł po schodach do sypialni na poddaszu, którą zajmował z Lucą i innymi podróżnikami. Iszrak i Freize zostali sami.

– Odetchniemy świeżym powietrzem? – zaproponował Freize, wskazując drzwi, za którymi

szarzało niebo i morze.

Dziewczyna wyszła pierwsza, a on podał jej ramię, skromnie i z uszanowaniem. Uśmiechnęła się i ruszyła obok niego. Wyglądali niczym para młodych narzeczonych. Iszrak zauważyła, że lubi jego dotyk, jego bliskość, ciepło jego ręki, delikatne podtrzymywanie, gdy szli po bruku. Czuła się z nim swobodnie, ufała mu na tyle, by pozwolić mu się zbliżyć.

– Chodzi o to, że... – zaczął Freize – chodzi o to, że słyszałem, jak rozmawiasz z niewiernym panem na przystani, i trochę mnie niepokoi, że przemówił do ciebie życzliwie i że mu odpowiedziałaś. Wiem, że mówił do ciebie w obcym języku, może po arabsku. Potem spytałem cię o to, a ty odparłaś, że go nie rozumiałaś. Nie chciałbym zarzucać kłamstwa młodej damie, ale pojmujesz, że mogę się niepokoić.

Przez chwilę milczała.

– Chcę wiedzieć, co powiedział ci niewierny i co

mu odpowiedziałaś. A ponadto, dlaczego twierdziłaś, że mówił zbyt szybko, byś mogła go zrozumieć.

Zrobili jeszcze parę kroków, zanim się odezwała.

– Nie ufasz mi?

Pokręcił głową.

– Tego nie powiedziałem. Ale słyszałem, jak mówi do ciebie w obcym języku, a ty mu odpowiadasz w tej samej mowie. A kiedy cię spytałem, zaprzeczyłaś. – Freize milczał przez chwilę, jakby szukał właściwych słów. – Każdy by się zdziwił. Nie musimy rozmawiać o zaufaniu. Porozmawiajmy o zdziwieniu.

Iszrak zatrzymała się i oswobodziła ramię.

– Przeprowadziłeś mnie tutaj na przesłuchanie?

– Kochanie moje, muszę to wiedzieć. Nie unosi się tak. Po prostu muszę, gdyż niewierny jest wrogiem zwierzchnika młodego pana. Słyszałaś go. Oznajmił, że to najgorszy wróg na świecie. Dlatego muszę się tym zainteresować. Przysięgałem młodemu

panu miłość i wierność, a on złożył przysięgę temu dość małomównemu jegomościowi w niebieskim kapturze, dlatego muszę się dowiedzieć, co powiedziałaś do jego najbardziej zacieklego wroga.

– Nie ufasz mi – stwierdziła sucho. – Po tym wszystkim, co przeszliśmy.

– Gołąbeczko – rzekł przepraszająco Freize. – Zwykle nie ma bardziej ufego człowieka ode mnie, każdy ci to powie! Taki ze mnie ufny dureń, że aż żal. Ale w tych okolicznościach przepelnia mnie zwątpienie. Rzuciła mną wielka fala, omal nie utonąłem, a teraz niepokoją mnie nasi nowi znajomi. – Podniósł swoje duże ręce i zaczął wyliczać na palcach przyczyny swego zatroskania. – Nie ufam niewiernemu panu, to raz. Uznałem go za niezwykle władczą i uroczą osobę, a żywię małoduszną awersję do osób władczych i uroczych, jako że sam jestem skromny i zwyczajny, z wyjątkiem tych chwil (tak dla przypomnienia), gdy zdobywam się na wielki

heroizm. Dwa: nie ufam zwierzchnikowi młodego pana, którego twarzy nie udało mi się zobaczyć, a którego brat Piotr najwyraźniej boi się do nieprzytomności. Człowiek ten jest zaufanym sługą papieża, a to oznacza, że jest dość ważny, ja zaś mam awersję do ludzi ważnych, jako że sam znaczę bardzo niewiele, z wyjątkiem tych chwil (żebyś nie zapomniała), gdy zdobywam się na wielkość. Zjawia się taki bez uprzedzenia, ubrany w najlepsze stroje i buty, jakie widziały moje skromne oczy, a to mnie niepokoi, bo nie spodziewam się ujrzeć duchownego w stroju, który przystoi raczej wielkiemu panu. Trzy: nie zawsze ufam twojej pani, zważywszy na to, że jest płocha i lękliwa, a przy tym jako kobieta, z natury skłonna do pomyłek i fałszywych osądów. Dziś zachowywała się jak wilk w klatce. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie odzywa się nawet do ciebie. I cztery: ledwie ufam samemu sobie, a to przez tę powódź, przystojnego niewiernego, cuda, kapryśne

dziewczęta, zbyt dobrze ubranych kapłanów i tyle rzeczy, na których rozumiem się nie lepiej od konia... no, właściwie nie tak dobrze jak on. Jesteś tylko jedną z tych, którym nie ufam. Jesteś numerem pięć na mojej liście lęków i zmartwień. Najdroższa, nie ufam wielu osobom i boję się wielu rzeczy. Wierz mi, wątpię we wszystko, nie tylko w ciebie.

Ta wyliczanka nie rozbroiła jej, na co liczył. Iszrak spojrzała na niego lodowato i bez słowa zawróciła do karczmy. Patrzący za nią Freize pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział kobiety, która potrafi stąpać jak rozdrażniony kot.

Zrozumiał, że ją obraził, i to bardzo głęboko. Dwoma długimi skokami dogonił ją i zatrzymał przy drzwiach.

– Nie złość się na mnie – szepnął jej do ucha. – Nie po tym, jak byłaś dla mnie taka słodka, kiedy wróciłem do ciebie z powodzi. Nie po tym, jak byłaś taka dobra dla tej malutkiej koteczki i taka kochająca

i czuła dla potwornego idioty, jakim jestem.

Iszrak nie złagodniała.

– To i tak nieważne, bo jedziecie do Wenecji – oznajmiła zimno. – Może moja pani nie zechce wam towarzyszyć. Może natychmiast pojedziemy do Budapesztu i zostawimy was samych. A wtedy będziesz mógł do woli nie dowierzać komu innemu.

– O nie – rzucił szybko Freize, chwytając Iszrak za rękę, by delikatnie obrócić ją ku sobie. – To ważne, dokądkolwiek się udamy. Ale musicie pojechać z nami do Wenecji. Stamtąd bardzo łatwo się dostać do Budapesztu. W dodatku ten zakapturzony mężczyzna daje nam pieniądze na wynajęcie domu w Wenecji. To ci się spodoba. Urządzimy się jak zamożna rodzina. Twoja pani choć przez chwilę będzie mieszkać, tak jak powinna, we wspaniałym pałacu, otoczona pięknymi przedmiotami. Wszyscy będziemy się kąpać w gorącej wodzie... tylko pomyśl! Kupisz sobie piękne

stroje. Może zbijemy fortunę. Może Wenecja ci się spodoba.

– Nieważne, co mnie się podoba – rzuciła z rozdrażnieniem – tylko co podoba się jej.

– Wiem. Ale znowu będziecie przyjaciółkami.

– Słucham?

– Pogodzicie się.

– Nie pokłóciłyśmy się. Za kogo ty nas uważasz? Nie jesteśmy głupimi dziewczynami, które kłócą się o byle co. Przez całe życie nigdy się nie poróżniłyśmy. Nawet sobie nie wyobrażaj, że potrafisz nas zrozumieć. Nic o mnie nie wiesz.

– To przystojny młodzieniec – powiedział Freize łagodnie, nie zdradzając, jak go bawi jej uraza. – Może narobić zamieszania w kocim koszyku. Parę koteczek rzuci się sobie z pazurkami do oczu.

Prawie się roześmiał, kiedy Iszrak uniosła dumnie głowę, a w jej ciemnych oczach błysnął ogień. Ale potem zauważył z podziwem, że szybko się



opanovała i przyznała mu rację.

– Nigdy dotąd się nie kłóciłyśmy – wyjaśniła.

– Nigdy dotąd nie byliście sam na sam z przystojnym młodzieńcem – odrzekł. – Nie miałyście prawdziwego powodu do kłótni.

Roześmiała się.

– W twoich ustach brzmi to, jakbyśmy były całkiem... zwyczajne.

– Jak rozeźlone kury w kurniku – potwierdził beztrąsko. – Bardzo, bardzo zwyczajne. Ale przynajmniej będziesz mogła wesprzeć się na mnie.

– Kiedy miałabym się na tobie wesprzeć?

– Kiedy on wybierze ją. Kiedy podejmie decyzję i to nie na ciebie padnie jego wybór. Kiedy będziesz musiała się zadowolić byle kim.

Na jej policzki wypłynął rumieniec, ale zdołała się roześmiać.

– Ach, przecież już jej przysięgłeś wierność. Nie jestem taka głupia, by nie wiedzieć, że wszyscy

zawsze wolą ją. Zawsze.

– Chyba w to nie wierzysz – odparł, znów kładąc sobie jej rękę pod ramię. – Czczę ją z daleka. Obiecałem jej służyć niczym rycerz. Zaofiarowałem jej wierność, oczywiście. Ale ty...

– Ja? – podchwyciła Iszrak z urazą. – Mnie nie czcisz z daleka?

– O, nie. Ciebie przyparłbym za stogiem siana, podniósłbym ci spódnicę i sprawdził, jak daleko mnie to zaprowadzi!

Uskoczył, zanim zdążyła go uderzyć, roześmiał się i pozwolił jej odejść.

Ona także śmiała się, idąc po schodach do pokoju, który dzieliła z Izoldą, by jej powiedzieć, że wszyscy udają się do Wenecji i że obie mogą jeszcze przez jakiś czas pozostać przy tych dwóch młodzieńcach, bez względu na to, kto kogo kocha, kto zostanie wybrany i co się wydarzy.

\* \* \*

Zapadał coraz gęstszy mrok. Luca i jego przełożony rozmawiali cicho o przyczynie fali, o naukach starożytnych i o oznakach końca świata. Wreszcie chłopak wyszedł, zostawiając mistrza, by ten mógł pomodlić się w samotności, a potem iść do swej osobnej sypialni.

W kuchni palenisko zostało już wygaszone. Freize drzemał przed nim, siedząc na krześle i opierając nogi o gzyms kominka. Drgnął, usłyszawszy stuk zamykanych drzwi jadalni.

– Czekałem, żeby odprowadzić cię do sypialni – powiedział, trąc oczy i ziewając.

– Zdaje mi się, że potrafię sam wejść po schodach – zauważył Luca. – Nie musisz mi śpiewać kołysanek.

– Wiem. Ale miło być znowu razem. Chciałem ci życzyć dobrej nocy.

– Gdzie będziesz spał? – spytał Luca. – Nasza

sypialnia jest pełna gości. A mistrz nie zaprosi cię do siebie.

– Gospodyni pozwoliła mi położyć się tutaj – odparł Freize, wskazując posłanie z sianem w kącie kuchni, gdzie spała już smacznie koteczka. – Będzie mi cieplej niż wam wszystkim.

– Dobranoc. – Luca otworzył ramiona i młodzieńcy uścisnęli się serdecznie. – Jak to dobrze, Freize, że wróciłeś.

– Nie potrafię wyrazić, jak to wspaniale znaleźć się bezpiecznie na łodzi i wiedzieć, że tobie i dziewczętom nic nie grozi. Ucieszyłem się nawet na widok tego żalostnego mnicha.

Luca wszedł cicho po schodach. Skrzypnęły drzwi i zapadła cisza. Freize zdjął buty i rozpiął pas, delikatnie przesunął koteczkę i wyciągnął się na posłaniu. Podłożył ręce pod jasnowłosą głowę i powoli zaczął zapadać w sen. Prawie śpiąc, usłyszał, jak mistrz idzie cicho do swojej sypialni i zamyka

drzwi na zasuwę. Kotka umościła się na ramieniu Freize'a i chłopak zapadł w głęboki sen.

Zatonął w przyjemnych rojeniach, gdy jakiś cichutki odgłos gwałtownie przywołał go do rzeczywistości. Brzmiał jak syk, jak oddech śpiącego węża, szelest ubrania. Freize uniósł powieki, ale dziwne poczucie zagrożenia kazało mu leżeć bez ruchu. Przez otwarte drzwi kuchni widział ciemny korytarz karczmy, a dalej – uchylone drzwi wejściowe. Nie drgnął nawet, tylko leżał i patrzył, aż na tle rozgwieźdzonego nieba ujrzał dwie ciemne sylwetki. Jedna należała do kobiety o wąskich ramionach i bosych stopach – na jednej z nich zaśniło srebro. Towarzyszył jej mężczyzna w długiej szacie z kapturem. Freize rozpoznał natychmiast zwierzchnika Luki, którego brat Piotr nazywał mistrzem i który uparł się, by spać osobno. Obok niego stała Iszrak. To jej szept i szelest jej nocnej koszuli obudziły Freize'a. Dziewczyna zatrzymała się

w drzwiach, z ręką na ramieniu mężczyzny; ten odwrócił się ku niej i coś powiedział, ale tak cicho, że Freize nie zdołał tego usłyszeć.

Cokolwiek rzekł, zadowoliło to Iszrak, która puściła mężczyznę, a on szybko wyszedł na zewnątrz. Freize zauważył, że poruszał się cicho jak kot, stąpając bezszelestnie po bruku. Po chwili zniknął w mroku.

Dziewczyna stała jeszcze przez chwilę, patrząc za nim, ale on wręcz rozpląnął się w ciemnościach, jakby za sprawą czarów.

Iszrak zamknęła ostrożnie drzwi, trzymając palec pod zasuwą, żeby nie uczyniła najmniejszego hałasu. Obejrzała się na kuchnię. Freize natychmiast zamknął oczy, by nie dostrzegła ich lśnienia w ciemnościach, i lekko westchnął, jakby przez sen. Czuł na sobie jej wzrok. Niezmacona cisza świadczyła, że dziewczyna stoi i przygląda mu się, i Freize poczuł – pomimo całej sympatii do niej, mimo

całej fascynacji – zimny dreszcz na myśl, że te ciemne oczy wpatrują się w niego w mroku. A tymczasem jej towarzysz – współspiskowiec – skradał się cicho do przystani, kto wie, z jaką misją.

Potem dobiegło go skrzyknięcie pierwszego schodka – cichuteńkie, jakby osiadał stary dom schnący po powodzi – i Freize zrozumiał, że Iszrak ruszyła na górę. Lekki powiew powietrza wskazywał, że otworzyła i zamknęła drzwi sypialni.

Freize odczekał chwilę, wsłuchując się w ciszę; wiedział już, że ta dwójka – młoda kobieta i zakapturzony pan – umie się poruszać bezszelestnie jak duchy. Nie potrafił jednak zgadnąć, co wyprawia zwierzchnik Luki – dlaczego rozmawia z Iszrak, której nawet nie powinien znać, i czemu wykrada się na przystań. Nie rozumiał też, dlaczego Iszrak zamknęła za nim cicho drzwi, niczym jego służąca. Leżał nieruchomo, zastanawiając się nad tymi zdradami i niejasnościami, aż w końcu usiadł i przez

resztę nocy drzemał na krześle przy kominku, zachowując czujność – choć nie wiedział, przed jakim wrogiem miałby się bronić. W pewnej chwili, przed świtem, przyszło mu do głowy, że tym wrogiem jest chyba sam strach i że go słychać, gdy cicho wsącza się do karczmy przez dziurkę od klucza.

\* \* \*

O świcie karczma zaczęła się budzić do życia. Chłopak stajenny przyniósł drewno do paleniska, żona karczmarza, ziewając, zeszła do kuchni, by upiec chleb z ciasta, które wyrastało przez całą noc niczym pachnący drożdżami kopiec, a sam karczmarz biegał po schodach z dzbankami gorącej wody dla gości, którzy chcieli się umyć, zanim pójdą do kościoła na prymę. Rozległ się dzwon kościelny – i w tej samej chwili z piętra dobiegł krzyk.

Freize drgnął, wypadł z kuchni i popędził po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, do



drzwi sypialni mistrza. Luca zbiegł z tupotem z pokoju na poddaszu. Drzwi były otwarte na oścież, a w środku mistrz stał z wyciągniętą, lekko drżącą ręką. Kiedy Luca i Freize weszli, odwrócił głowę, by ukryć twarz, i włożył kaptur. Potem pokazał im, co trzyma w dłoni.

– Radu Bej – powiedział natychmiast Luca, rozpoznając kolory.

Mistrz trzymał idealnie okrągły, piękny kawałek materiału, bogato haftowany złotem, turkusem, zielenią i indygo, tak by wyglądał jak pawie oko, symbol dostojeństwa w imperium osmańskim. Takie same kolory miał sztandar, który Radu Bej kpiąco rozwinął na pokładzie, gdy zwierzchnik Luki bezsilnie żądał zatrzymania statku.

– Jak...? – wykrztusił Luca. – Co to znaczy? Skąd się to wzięło?

– Znalazłem to dziś rano na sercu. Na sercu! Przypięte złotą szpilką do mojej szaty. Wysłał

zabójcę, żeby mnie tym oznaczył. To ostrzeżenie, wiadomość od Radu Beja. Ma oznaczać, że noszę jego piętno. Mógł mi równie łatwo przeszyć serce nożem.

Mistrz wcisnął idealnie okrągłą, piękną przypinkę w dłoń Luki.

– Zabierz to! – rzucił. – Nie chcę tego nawet dotykać. To tak, jakby położył na moim sercu tarczę strzelniczą.

– Dlaczego zrobił coś takiego?

– Żeby mnie ostrzec. Żeby się pochwalić, iż mógł mnie zabić. Tak działają. Takie mają metody. Ostrzegają cię, a kiedy zjawiają się ponownie, to już po to, by zabić.

– Kto? – spytał Freize. – Kto tu był?

– Asasyni – rzucił krótko mistrz. – Nasłał na mnie asasyna.

– Asasyn? – zdziwił brat Piotr, który właśnie nadszedł. – W karczmie był asasyn?

Izolda i Iszrak, zaniepokojone hałasem, wyłoniły

się z sypialni na poddaszu, w opończach narzuconych na nocne koszule.

– Co się dzieje? – spytała Izolda, schodząc do nich.

Luca odwrócił się do niej.

– Ktoś zakradł się w nocy do karczmy i zostawił mistrzowi wiadomość. Groźbę.

Freize przyglądał się Iszrak, która stała na szczycie schodów. Dziewczyna – nieruchoma, z kamienną twarzą – patrzyła na mistrza.

– Jak tu wszedł? – spytała Izolda.

Powoli, jakby czując na sobie spojrzenie Freize'a, Iszrak zwróciła na niego oczy. Nie wyrażały niczego.

– Potrafią się wspinać po ścianach jak koty, potrafią biegać po dachach – mówił wstrząśnięty mistrz. – Latami uczą się, jak zakraść się bezszelestnie do pokoju, zabić bez ostrzeżenia i z powrotem się wymknąć. To świetnie wyszkoleni zabójcy. Obierają sobie ofiarę i ścigają ją, dopóki nie

pozbawią jej życia. – Głos mu się załamał. – To ostrzeżenie dla mnie.

– Dostał się przez okno? – Luca przeszedł energicznie przez pokój i otworzył okiennice; jedna z nich głośno zaskrzypiała. – Nie, usłyszałbyś to.

– Drzwi frontowe nie są zamykane na noc – odezwał się Freize. – Mógł po prostu wejść. – Iszrak nie spuszczała z niego wzroku. – I znowu wyjść.

Dziewczyna lekko uniosła brwi i spojrzała w bok.

– Co to znaczy? – spytał Luca. – Dlaczego to zrobił?

– To znaczy, że wydano na mnie wyrok śmierci – oznajmił mistrz. Odetchnął i roześmiał się niepewnie. – Jestem już martwy. – W cieniu kaptura zobaczyli jego gorzki blady uśmiech. – Asasyni dostali rozkaz, by mnie zabić. Wyślą jednego, potem drugiego i trzeciego, i będą ich wysyłać, póki nie zginę lub póki nie otrzymają innego rozkazu.

– Kim są ci asasyni? – spytała Izolda, schodząc z

ostatnich stopni, a Iszrak wreszcie ruszyła za nią.

– To zakon – wyjaśnił brat Piotr. – Lub raczej cech. Przyjmują bardzo młodych, utalentowanych ludzi, uczą ich sztuki walki, szpiegowania, całej mrocznej wiedzy o broni i działaniach taktycznych. Potem można ich wynająć: zlecasz im cel i płacisz, a oni wysyłają jednego asasyna po drugim, aż któryś z nich wykona misję i zabije ofiarę.

– W takim razie dlaczego cię nie zabił? – spytała bez ogródek Iszrak.

– Tak samo postąpili z Saladynem – wyjaśnił brat Piotr. – Kiedy spał w pilnie strzeżonym namiocie, położyli mu tarczę strzelniczą na sercu jako zapowiedź, że jeśli nie ustąpi, straci życie.

– I co zrobił?

– Wycofał się – odrzekł krótko brat Piotr.

– To niewierni, a jednak zwrócili się przeciwko jednemu ze swoich? – zdziwił się Luca. – Grozili bratu?

– Cenią swój zakon ponad wszystko – odpowiedział mistrz. – Przyjmą zlecenie na każdego, bez względu na jego wyznanie i narodowość. Służą sobie, nie religii czy państwu.

– Ale dlaczego ten łowca niewolników miałby chcieć cię zabić? – spytała zaskoczona Izolda.

– To nie jest łowca niewolników – odparł mężczyzna, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do niej. – To jeden z najważniejszych ludzi w imperium osmańskim, dowódca wszystkich wojsk, zwierzchnik janczarów, elitarnej jednostki bojowej. To prawa ręka sułtana Mehmeda, tego, który niedawno podbił Konstantynopol; obaj zaprzysięgli sobie wierność do końca życia. To symbol wszystkiego, z czym walczę: zwycięstwa imperium osmańskiego nad chrześcijaństwem, arabskiej inwazji na Europę, terroru, końca świata. To człowiek, któremu pozwoliliście odpłynąć, choć mieliście go w ręku. Teraz ostrzega mnie, że jeśli ja

wpadnę w jego ręce, nie będę miał tyle szczęścia. Kpi ze mnie. Dla niego to gra. Gra na śmierć i życie. Wie, że rozkazałem ci go zabić. W ten sposób daje mi do zrozumienia, że on także zlecił moje zabójstwo.

Wszyscy zamilkli, przerażeni.

– Zatem co zrobisz, mistrzu? – spytał w końcu cicho Luca.

Mężczyzna, już spokojniejszy, wzruszył ramionami.

– Pójdę na prymę. Zjem śniadanie. Porozmawiam z tobą i bratem Piotrem i wyruszę w drogę. Będę dalej walczyć za Chrystusa.

– Będziesz się bronić?

– Jeśli zdołam, dopóki będę mógł. Ale już wiem, że stracę życie. Nie porzucę mej pracy. Złożyłem przysięgę, że poprowadzę Zakon Ciemności do walki z samym strachem, i nigdy się nie poddam.

Luca spojrział na niego z wahaniem.

– Czy nie powinniśmy ci towarzyszyć? Żeby cię

bronić? Ktoś powinien być u twego boku dniem i nocą.

– Będę walczył do śmierci – zapowiedział mistrz głosem bez wyrazu. – Mojej lub jego. Jednak ani moje, ani jego życie nie mają takiego znaczenia jak twoja misja. Kiedy umrę, moje miejsce zajmie inny mistrz, a ty nadal będziesz miał co robić. Na razie pojedziesz do Wenecji, by śledzić oznaki końca świata. A ja uczynię wszystko, by ocalić życie. – Spojrzał na pawie oko w dłoni Luki. – Pozbądź się tego – polecił. – Nie chcę tego oglądać.

Iszrak bez słowa wyciągnęła rękę i zabrała przypinkę. Freize patrzył, jak chowa ją do kieszeni peleryny.

\* \* \*

Trzej mężczyźni i Izolda poszli do kościoła na wzgórzu. Freize obserwował ich z progu karczmy. Iszrak ruszyła na górę, by spakować skromny



dobytek.

– Pewnie nie słyszałaś niczego tej nocy? – zagadnął ją Freize obojętnie.

Odwróciła się, spojrzała mu prosto w oczy i skłamała:

– Nie, spałam twardo.

– Bo pewnie musiał wejść po schodach i stanąć na podeście pod waszą sypialnią, a potem zakradł się do pokoju, który mieści się pod waszym.

– Tak. Ale przeszedł i koło kuchni. Słyszałeś coś?

– Nie. Pomyśleć, że mógł zabić mistrza! Straszne. To zwierzchnik mojego pana. Muszę go strzec. Luca także.

– Ktokolwiek to był, nie zabił go – zauważyła. – I nie zamierzał. Przekazał mu wiadomość i odszedł. To mistrz mówi o wyroku śmierci. Ja widziałam tylko przypinkę w barwach sztandaru.

– To wiadomość od naszego wroga – sprzeciwił się Freize. – I to nie byle jaka. Wyrok śmierci.

– Od waszego wroga – poprawiła go. – Dla pana twojego pana. Ale nie wiem, czy tak bardzo lubię zwierzchnika Luki. Nie wiem, czy jest moim przyjacielem. Nie wiem, czy jestem po jego stronie. Nie wiem, czy jest moim panem. Nie wiem, czy jego wróg jest moim wrogiem. Nie wiem nawet, czy jest bardzo dobrym panem dla Luki. Może powinieneś się nad tym zastanowić, zanim mnie zapytasz, jak spałam?

\* \* \*

Gdy cała czwórka wróciła z prymy, wszyscy razem zjedli śniadanie w kuchni, tylko mistrz postanowił zjeść u siebie. Po posiłku dwie młode kobiety poszły do pokoju na poddaszu, by przygotować się do podróży.

– Co z tym zrobisz? – spytała Izolda, widząc, że Iszrak rzuca pawie oko na dno swojej małej torby podróżnej.

- Nie wiem. Pewnie zatrzymam.
- Zwierzchnik Luki bardzo się bał – zauważyła Izolda. – Nie chciał na to patrzeć.
- Wiem.
- Może powinnaś to spalić.
- Może. – Iszrak zastanawiała się przez chwilę. – Ale nie rozumiem, dlaczego pan Luki tak się przestraszył. W końcu nic mu się nie stało.
- Jeśli asasyn przypiął mu to jako ostrzeżenie...
- Nie asasyn, tylko Radu Bej. A pan Luki musiał go wpuścić potajemnie do swojego pokoju, bo widziałam, jak Radu Bej wychodzi. Sama wypuściłam go z karczmy.
- Dlaczego nic nie powiedziałaś?
- Bo zwierzchnik Luki spotkał się z nim w tajemnicy, a potem zmyślił tę historię o asasynie. Nie wiem, co to znaczy. Teraz powątpiewam w jego prawdomówność.
- Namaścił go sam papież – zaznaczyła Izolda.

– To jeszcze nie znaczy, że to dobry człowiek. Wielu wybrańców papieża krzywdzi i niszczy. A z Radu Bejem łączy go więcej, niż wiemy. Ponadto Radu Bej ostrzegł mnie, odchodząc.

– Przed czym?

– Spytał, czy kiedykolwiek widziałam twarz mistrza, i dodał, że zawsze chodzi on w kapturze i trzyma się w cieniu. Potem roześmiał się i powiedział, że boży człowiek nie działa w ciemności. I oznajmił, że zrozumie więcej, kiedy ujrzę jego twarz. I...

– I co? – spytała Izolda cicho, jakby bała się, że mistrz je podsłuchuje.

– Powiedział, żebym nie pozwalała mu się do siebie zbliżać.

– Dlaczego?

Iszrak potrząsnęła głową.

– Tego nie wyjaśnił. Ostrzegł, żebym nie pozwalała mu się dotknąć. Ani... – Urwała na chwilę.

– Ani pocałować.

– Złożył śluby zakonne!

– Wiem. Ale nie chodziło o grzech. Radu Bej mówił tak, jakby to było... niebezpieczne. Jakby jego dotyk był groźny.

Zapadła trwoźna cisza. W końcu Izolda pokręciła głową.

– Nie możemy ufać nikomu.

– Możemy ufać Freize'owi i Luce – odrzekła Iszrak. – Z nimi jesteśmy bezpieczne. I wiem, że brat Piotr jest dobrym człowiekiem. Ale nie ufam zwierzchnikowi Luki ani jego zakonowi.

– Możemy ufać sobie nawzajem – odezwała się Izolda nieśmiało.

Wyciągnęła ręce do przyjaciółki, a ona podeszła i ją objęła. Przez chwilę stały razem, potem Iszrak cofnęła się o krok.

– Możemy ufać sobie nawzajem – powtórzyła. – I musimy. Bo zdaje się, że jesteśmy same na tym

bardzo niebezpiecznym świecie.

\* \* \*

Po śniadaniu mistrz zszedł do kuchni i wręczył bratu Piotrowi kilka zapieczętowanych rozkazów oraz ciężką sakiewkę z pieniędzmi.

– Masz tu także wiadomość do żydowskich lichwiarzy z Wenecji – dodał. – Niczego wam nie zabraknie podczas szukania fałszerzy.

Brat Piotr schował listy pod kamizelkę. Freize wzniósł oczy do nieba.

– Popilnujesz pieniędzy? – spytał go brat Piotr.

– Rozkazy też mogę ponieść, jeśli chcesz.

– Nie. Nie sędzę, żeby u ciebie były bezpieczne. Sam je przechowam i otworzę wtedy, gdy otrzymam rozkaz, ani chwili wcześniej. Ale byłbym rad, wiedząc, że strzeżesz sakiewki.

Freize skinął głową, w głębi ducha zadowolony, że został obdarzony takim zaufaniem. Gdy brat Piotr

przekazywał mu ciężką sakiewkę, mistrz odwrócił się do Luki.

– Przed wyjazdem chcę z tobą porozmawiać na osobności – rzekł i ruszył do jadalni.

Chłopiec stajenny właśnie rozpałał w kominku. Widząc wchodzących, skłonił się im i wyszedł pospiesznie. Luca zamknął za nim drzwi. Jego przełożony usadowił się przy stole, plecami do ognia, i wskazał krzesło naprzeciwko.

– Możesz usiąść – powiedział.

Luca usłuchał w milczeniu.

– Wiele widziałeś – zaczął mistrz. – Zakończyłeś cztery dochodzenia i widziałeś pewne przerażające i dziwne zjawiska w tych niebezpiecznych czasach. Patrzyłeś na nie bez drżenia.

– Zadrzałem na widok fali – wyznał Luca. – Bardzo się bałem.

– Strach nie jest problemem. Strach przed czymś prawdziwie strasznym ratuje życie. Bałem się, gdy

ujrzałem barwy Radu Beja przypięte do mojej piersi przez asasyna. Na tym świecie istnieje wiele strasznych zjawisk. Wśród członków mojego zakonu nie mogę tolerować tylko jednego: strachu przed tym, co jeszcze się nie wydarzyło, strachu, że coś się może wydarzyć, strachu przed czymś, co prawdopodobnie się nie wydarzy. Nie doznajesz takiego lęku?

– Nie boję się cieni na ścianie – odparł Luca.

Ciemne oczy spojrzały na niego przenikliwie.

– Co wiesz o cieniach na ścianie?

– Radu Bej, niewierny pan, powiedział...

– O tak, jest odczytany – wycedził mistrz miażdżącym tonem. – Jestem pewien, że wszyscy możemy się od niego wiele nauczyć. Miał wspaniałych nauczycieli. Oddał swoją duszę, swoje nieśmiertelne życie, by poznać ten świat. Spójrz na jego sprzymierzeńców! Zbratał się z zakonem asasynów; czy to nie czyni go jednym z nich?



Luca milczał. Mistrz powoli ochłonął z gniewu.

– Nieważne. W tej chwili on się nie liczy. Przyglądam ci się, Luco Vero, i raduje mnie to, co widzę.

Luca skłonił głowę, dziwnie zadowolony z tej pochwały.

– Czy jesteś posłuszny moim rozkazom? Czy uznajesz regułę zakonu?

– Tak.

– Czy rozumiesz, na czym polega dzieło, któremu przysięgliśmy wierność, i czy będziesz je kontynuował?

Luca skinął głową.

Mistrz przysunął do siebie szkatułkę z drewna różanego.

– Jeśli odsłonisz ramię, położę na nim pierwszą pieczęć zakonu. W miarę jak będziesz kontynuował swe dzieło, będę dodawać kolejne znaki, aż symbol stanie się kompletny, a ty zostaniesz pełnoprawnym

członkiem zakonu. Będziesz mógł mnie poznać, poznać moje imię, zobaczyć moją twarz. Będziesz działać wraz z innymi rycerzami zakonu.

Luca zawahał się; myśl o znaku na ręce dziwnie go odpychała.

– Nie chcesz? Wzdragasz się przed przyjęciem tego zaszczytu?

– Czy to coś takiego jak śluby kapłańskie? Bo nie wiem, czy jestem na to gotowy.

Mistrz uśmiechnął się lekko.

– Nie. Właściwie nie. Czy dlatego się wzdragasz?  
– Roześmiał się pod nosem. – No tak, młodzieniec! Nie, w naszym zakonie nie składamy ślubu ubóstwa; wysyłam cię do Wenecji z wielkopańską fortuną. Nie składasz przysięgi czystości; twoje życie prywatne to twoja sprawa, wszystko zostaje między tobą i twoim spowiednikiem. Nie obchodzi mnie żaden grzech czy występki, o ile nie ma on wpływu na twoją pracę dla zakonu.

Luca wpatrywał się w swego zwierzchnika, nie wierząc własnym uszom.

– Pamiętaj, że nie ukończyłeś nowicjatu. Nie wiążą cię śluby kapłańskie. Możesz je złożyć później.

– Nie bardzo rozumiem...

– Mój zakon wymaga jedynie posłuszeństwa. Musisz być posłuszny mnie i moim rozkazom, musisz wiernie wypełniać naszą misję, którą jest strzeżenie granicy świata chrześcijańskiego przed diabłem, poganami i heretykami. Zostaniesz inkwizytorem i sługą zakonu. Na ile przestrzegasz dziesięciorga przykazań, to już rzecz między tobą, spowiednikiem i Bogiem. Czy oddajesz się zakonowi?

– Tak, mistrzu. – Luca pochylił głowę.

W cieniu kaptura mignął przelotny uśmiech. Mężczyzna podszedł do nowo roznieconego ognia na kominku i zbliżył do niego cienką świeczkę, od której zapalił wszystkie świece w pokoju. Postawił je na stole, by oświetlały Lucę jasno niczym słońce. Ze

szkatułki wyjął zestaw przyrządów z brązu, podobnych do igieł do haftowania, oraz mały słoiczek czegoś, co wyglądało jak czarny inkaust.

– Obnaż ramię – rozkazał cicho.

Luca podwinął rękaw szaty i wyciągnął rękę.

Mistrz ujął igłę, ostrą niczym czubek sztyletu.

– Czy odnajdziesz swego ojca, czy nie, masz w tym zakonie rodzinę – szepnął. – Czy rozmawiasz z muzułmańskim panem, czy nie, nie masz pana nade mnie. Czy będziesz podróżować z tą kobietą, czy nie, swoje serce oddasz misji spisywania rzeczy przerażających. Cokolwiek zobaczysz podczas swojej podróży, rozkazuję ci, żebyś zajrzał nawet w paszczę piekła, by przekazać mi, jak jest wielka. Zrobisz to?

Wbił igłę w rękę Luki, po wewnętrznej stronie przedramienia; Luca wzdrygnął się z bólu. Na skórze pojawiła się kropla krwi.

– Zrobię to – wykrztusił.

Zacisnął pięść z bólu i patrzył, jak czubek igły raz

po raz wbija się w ciało i kłuje je boleśnie, w dotkliwym bólu tworząc kształt – charakterystyczny zarys.

Ból nasilał się coraz bardziej, w miarę jak tatuaż stawał się coraz pełniejszy. Widać było już ogon smoka, misternie wykłuty w bladej skórze. To wszystko: pierwsze piętno zakonu, łuskowaty ogon, obrysowany szkarłatem krwi.

Luca patrzył na krwawy rysunek, a tymczasem mistrz pochylił zakapturzoną głowę. Chłopak zachłysnął się, czując na ranie jego miękkie wargi. Poczuł na wrażliwej skórze przedramienia drapanie jego zarostu na brodzie i górnej wardze, zmysłowe jak pocałunek. Poczuł odpływ krwi z małych ranek, którą ten wysysał, a potem wilgoć jego śliny. Wreszcie mężczyzna wyprostował się i szybko nasunął kaptur na twarz, tak że Luca tylko przez chwilę widział jego zakrwawione wargi i błysk w czarnych oczach. Potem mistrz bez słowa wziął mały

pędzelek, zanurzył go w kałamarzu i z metodyczną dokładnością zaczął nanosić barwnik na wycięte linie. Następnie wyjął ze szkatułki lnianą serwetkę i przycisnął ją do czerwonych znaków, teraz zabarwionych czernią. Podniósł głowę i spojrzał w twarz Luki. Chłopak był blady, oddychał szybko i płytko, a w jego brązowych oczach pojawił się cień. Obaj siedzieli w milczeniu, jakby wydarzyło się coś bardzo dziwnego i ważnego.

– Gotowe – powiedział cicho mistrz. – Naznaczyłem cię moim symbolem. Skosztowałem twojej krwi. Tak rozpoczyna się twoja przynależność do zakonu. Tak rozpoczyna się twoja przynależność do mnie.

1 Rzemieślnik zajmujący się wyrobem pasów, frędzli i taśm do obszywania ubrań i tkanin.

2 Biblia Tysiąclecia, wyd. Pallotinum, Poznań 2000.

3 PIW, Warszawa 1986, przeł. Józef Bielawski.

4 Kołowrót używany na statkach do wciągania lin, cum itp.

5 Z *Dialogów* Platona, przeł. Władysław Witwicki.

6 W żeglarstwie: lina olinowania stałego, utrzymująca maszt w pionie.

## OD AUTORKI

Mam nadzieję, że wszyscy czytelnicy odczują ogromną przyjemność, z jaką pisałam tę książkę, która pozwoliła mi wyobrazić sobie bohaterów całkowicie fikcyjnej opowieści na historycznym tle. Luca, Freize, Izolda i Iszrak zdają się dorastać niemal na własną rękę i stawać się ludźmi, jakimi będą w kolejnych tomach tego cyklu. W tej powieści na pierwszy plan wysuwają się odwaga i poczucie humoru Freize'a oraz splątane uczucia Luki, dotyczące jego dzieciństwa, jego powołania i dwóch młodych kobiet. One obie także nabierają własnych cech. Coraz bardziej interesuje mnie, dokąd zaprowadzi Iszrak jej umysł naukowca i wschodnie pochodzenie i w jaki sposób brutalny świat, w który wchodzi Izolda, wystawi na próbę jej poczucie uprzywilejowania i wysokiej rangi społecznej. Dyskusja tych młodych kobiet o tym, czy lepiej być



wolnym, czy też przystosować się do obowiązujących norm, jest typowa dla ludzi żyjących w czasach średniowiecza, a także dla późniejszych pokoleń. Dysputa o tym, jakie zachowanie przystoi kobietom, trwa po dziś dzień.

W powieści pojawiają się też postacie, które odegrają dużą rolę w następnych tomach. Tajemniczy przełożony Luki prezentuje się tu jeszcze bardziej złowrogo, choć po raz pierwszy widzimy, ile kosztuje go walka z imperium osmańskim. W przyszłości lepiej poznamy mistrza i zrozumiemy przyczyny jego zacieklej wrogości, która odbiera mu zdolność współczucia. Jego nieprzejednanym wrogiem – i lustrzanym odbiciem – jest obdarzony wielką władzą i urokiem Radu Bej, który powróci w kolejnych tomach, olśniewając Lucę i Iszrak swoją wiedzą i urodą.

Legenda o dziecięcej krucjacie przetrwała całe średniowiecze i ma korzenie w wielu krótkotrwałych

zgromadzeniach młodych ludzi i biedaków, nazywanych „chłopcami” i „dziewczętami” bez względu na wiek. Istnieje wiele wzmianek o małych armiach nędzarzy, które maszerowały do pobliskiego miasta, napadały na getto religijne lub oblegały kościół, by wkrótce potem się rozproszyć albo przyjąć pieniądze w zamian za odejście. Obecnie historycy skłaniają się do przekonania, że nie było wielkiej dziecięcej krucjaty do Ziemi Świętej, lecz legenda o niej nadal się utrzymuje i niektórzy wciąż wierzą, że dzieci i młodzi ludzie podjęli co najmniej dwie liczące się próby dotarcia do Ziemi Świętej w krucjacie – a ja na potrzeby książki przyjąłam ich punkt widzenia.

Ogromna fala, która zatopiła dzieci, także jest wytworem mojej wyobraźni, jednak potężne trzęsienie ziemi, o którym opowiada ojciec Benito, naprawdę miało miejsce w 1348 roku we Friuli; ostatnio w tym regionie incydenty takie powtórzyły się kilkakrotnie. Filozofowie tamtych czasów nie

rozumieli, jak trzęsienie ziemi może spowodować powódź, lecz uważali, że może ono przyczynić się do wybuchu zarazy; trzęsienie ziemi z 1348 roku doprowadziło do uwolnienia się wstrętnego odoru, po czym, zgodnie ze słowami ojca Benita, nastąpiła straszna zaraza.

W owym czasie rzeczywiście sądzono, że burze można sprowadzać, rozchlapując wodę w położonych na odludziu jeziorach i stawach. My, dysponując wynikami badań naukowych i mając dostęp do globalnej komunikacji, możemy dziwić się wierze w takie fantazje, ale ludzie, których życie niemal stale było zagrożone, łatwo dopatrywali się we wszystkim działania niewidzialnych, niszczycielskich sił.

Pod koniec powieści mistrz daje piątce podróżników nowe zadanie: mają się udać do Wenecji, wielkiego ośrodka handlowego w średniowiecznym świecie, i ustalić, skąd na rynku pojawiły się tak ogromne ilości złota. Ta historia

zostanie opisana w następnym tomie cyklu *Zakon Ciemności*.

Więcej informacji znajdziesz na stronie

*[www.orderofdarkness.com](http://www.orderofdarkness.com)*